

ATENEUM

PISMO
NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LVI.

ROK XIV.

TOM IV. — ZESZYT II.

Listopad.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1889.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 4 Listopada 1889 r.



WIELOJĘZYCZNOŚĆ.

Prawie możnaby przysiądz, że żaden naród na świecie nie uczy się tylu języków, ilu my się uczymy. Oprócz swojego, uczymy się ruskiego, cerkiewno-słowiańskiego, greckiego, łacińskiego, niemieckiego, francuskiego, a czasami angielskiego i włoskiego; zatém 7—8 języków martwych i żyjących. Oczywiście, nie wszyscy, którzy jakiekolwiek szkoły publiczne lub prywatne przechodzą, wszystkich wymienionych uczą się języków: jednak ci, co odbyli edukacyą średnią lub wyższą, musieli ich się uczyć. Czy się nauczyli i jak się nauczyli, to inne pytanie, na które znajdzie się poniżéj odpowiedź. Tymczasem, dla uniknienia nieporozumień dodajmy, że nie chodzi nam tutaj o krytykę programatu szkolnego jako przepisanego ustawą, lecz raczéj o tę pochopność naszą do wielojęzyczności, która się przejawia nie od dzisiaj poza programatem i planem szkolnym. Mianowicie, chcemy się zastanowić nad szkodami wynikającemi ztąd dla rozwoju umysłu i pogłębienia fundamentów naszéj wiedzy.

A najprzód, co mówi historya pedagogiki o nauce języków w starożytności. Mówi ona, że lepiéj znane nam starożytne narody, jak Grecy lub Rzymianie, filologii w dzisiejszém znaczeniu nie uprawiali. Rzymianie zaczęli się uczyć po grecku dopiero po zdobyciu Grecyi; tylko zaś magnaci rzymscy kazali niewolnikom lub wyzwoleńcom greckim uczyć dzieci swoje tego języka. W średnich wiekach uczą trochę gramatyki łacińskiéj, a łacina tych czasów nazywa się klasztorną lub kuchenną, od któréj Cyceron lub Tacyt uciekliby za dziesiątą granicę. Byli wprawdzie i tacy, co znali i pisali poprawniéj, ale liczba ich była nadzwyczaj mała. Jeszcze łacina Długosza jest wielce niepoprawna, a cóż dopiéro jakiegoś Galla. Dzięki przecież kościołowi łacińskiemu, język Rzymian stał się ję-

zykiem piśmiennym tych czasów, a nawet wtenczas, gdy już rodowite języki zaczęto uprawiać, pozostał on mową dyplomacyi, literatury, umiejętności, wykładów szkolnych i uniwersyteckich, słowem, językiem względnie powszechnym. Greka odżyła dopiero z odrodzeniem klasycyzmu w XV wieku. W czasach nowszych języki rodowite wydobywają się z pieluch, podrastają i spychają łacinę i grekę wyłącznie do szkoły. Odtąd zaczyna się uprawa języków nowożytnych, uczeni piszą niemi swoje dzieła, mowa swojska wchodzi do kościoła, książki, szkoły, salonu. Stosownie do tego jak który naród zdobywa przewagę polityczną i przodownictwo umysłowe, mowa jego staje się potrzebą innych narodów. Zaprowadzają wykład jéj u siebie w szkołach i w domu, ażeby sobie ułatwić stosunki handlowe i przyswoić zdobycze naukowe. Języki: włoski, hiszpański, francuski, angielski i niemiecki kolejno lub spółcześnie zdobywają sobie grunt u obcych. Moda przyczyniała się i przyczynia również do upowszechnienia jednego lub drugiego języka; nigdzie jednakże tyle co u nas. Dziwią się nieraz nasi temu zacofaniu cudzoziemców. Ktoś niedawno pisał w korespondencyi z zachodniego brzegu Afryki, że przybyli tamże Hiszpanie, oprócz swojego, nie mówili żadnym językiem. Przybywający do nas zrzadka cudzoziemcy zwykle nie znają naszego języka, ani nawet innego, oprócz swojego. Opowiadano nie tak dawno, że pewien Anglik, przybywszy do Warszawy i znając tylko swój język, porozumiewał się z tubylcami oryginalnym sposobem: brał rubla w zęby i ten był jego tłómaczem. Wiadomo, że francuscy uczeni dopiero w ostatnich czasach zaczęli się więcéj zapoznawać z niemczyzną i angielszczyzną. Oczywiście mamy na myśli wyjątki. Wogóle przecież możnaby się odważyć na twierdzenie, że im który naród bogatszy materyalnie i umysłowo, tém mniéj dba o wielojęzyczność. Jest w tém pewna duma, poczucie wyższości i siły: żebracy muszą wieloma językami mówić, bo z jałmużny żyją.

Dlaczego my się tylu języków uczymy poza programatem szkolnym? Dla czerpania ze skarbnicy mowy cudzoziemskiéj, dla korzystania ze źródła wiedzy obcéj, mówią naiwni. Jest że tak w istocie? Zobaczmy.

Najbardziéj upowszechnionym u nas językiem obcym jest francuski, za nim idzie niemiecki a już rzadziéj angielski. Ci, którzy się tych języków uczą dla czerpania wiadomości z obcéj literatury, są nadzwyczaj nieliczni. Biorą się oni do tego najczęściéj dopiero po rozpoczęciu studyów uniwersyteckich, jeżeli przypadkiem w dzieciństwie już ich nie nauczono jakiego obcego języka, biorą się zaś do gramatyki i słownika, a przysiedziawszy fałdów, po pa-

ru latach dochodzą do tego, że mogą czytać i rozumiéć dzieła obce, wchodzące w zakres pewnéj specyalności. Tacy mówią zwykle obcym językiem kulawo, piszą gramatycznie ale chropowato, tak iż cudzoziemiec zaraz rozpozna, że ten nabytek nie został należycie przyswojony umysłowi. Dowodem téj lichéj znajomości obcych języków są, między innemi, nasze tłómaczenia. Brak dobréj znajomości i swojego i obcego języka, a często brak znajomości przedmiotu, czyli rzeczy tłómaczonéj, sprawiają, że gdy się te tłómaczenia czyta, włosy na głowie wstają: niewiadomo, czemu się dziwić, grubemu nieuctwu, czy téż naszéj rycerskiéj śmiałości.

Daleko więcéj ludzi u nas uczy się obcego języka, oczywiście francuskiego, dla odróżnienia się od służby i plebejuszów. Tak jest: pycha, czy może próżność są pod tym względem główną pobudką. Co to za roskosz, gdy pani domu przemawia do pana domu i do paniąt po francusku lub niemiecku! Ani Jagna, ani Wojtek nic tego nie rozumieją, chociaż może o ich skórę chodzi; czasami może chodzić o szwindel, o ploteczki, albo o tłuste żarty, bo i tak bywa. Bezeceństwa po francusku nie rażą uszu, nie gorszą prostaczków, bo moralność przedewszystkiém. Kiedyindziéj sąsiadki zejdą się lub zjadą i znów słyszysz, nie język, lecz gwarę francuską stanowiącą jedyny nabytek z pensyonatów i wycieczek zagranicznych. Z czego ten chychot nadsekwański a częściéj nadwiślański? Przecież mowa o lnie i przędziwie, o kurach, kaczkach i gęsiach nie może kazić ust dostojnych obywatelek. Przedmiotem rozmowy jest ostatni romans Zoli, czy téż innego koryfeusza naturalizmu i realizmu, ostatni jesienny dziennik mód, ostatni, najświéższy, i najwonniejszy skandalik paryski lub w braku chociażby ryczywolski. Teraz rozumiemy, dlaczego pani dziedziczka oddając Niutę na pensyą, zaklinała *madame* na wszystkie świętości, żeby jéj chluba przyszła, nowa matka Grachów, szczególniéj wprawiała się w akcent francuski. *R* gardlane toż to zenit cywilizacyi. Co jéj po zoologii lub fizyce? Przecież, ani kurcząt hodować nie będzie, ani jakiejś tam elektryczności nie potrzebuje.

Najistotniejszą wszakże pobudką do uczenia się obcych języków jest u nas, a zapewne i wszędzie wśród mało ucywilizowanych narodów, moda. Wszechwładna ta pani rządzi nietylko strojami; panowanie jéj rozciąga się i do naszego ukształcenia. Moda zaś idzie z Zachodu na Wschód; więc nietylko kapelusz, lecz i plany nauk, jakie porządni obywatele i obywatelki dla dzieci swoich wybierają; że zaś moda francuska rozgościła się u nas od XVII a szczególniéj od przeszłego wieku: zatem najmodniejszym w planie edukacyjnym stał się w klasach zamożniejszych język francu-

ski. Bywa on między niemi często jedyną cechą cywilizacyi. Można nie znać gramatyki i literatury swojskiéj: nikomu to nie ubliża; ale nie można obejść się bez francusczyzny. Zarówno w domach arystokratycznych jak szlacheckich język francuski jest dotychczas modnym. Dodawszy do niego grę na fortepianie, mamy skalę edukacyi przeważnéj części kobiét z klasy zamożniejszéj. Potém cały aparat naukowy pensyonarski, nawet gra na fortepianie wietrzeje, pozostaje tylko francuzczyzna. Nawet modlitwa i skonanie odbywają się po francusku. Przechodząc ulicami Warszawy, spacerując po ogrodzie, jadąc koleją żelazną, słyszy się mimowoli żargon francuski, niemiecki lub angielski. Chwilowo ogarnia nas złudzenie, że jesteśmy nad Sekwaną lub Spreą i modrym Dunajem. Jesteś przypadkiem w księgarni; najwięcéj książek z zagranicy przyszło francuskich, a znowu wśród nich najwięcéj romansów. Poczytywano naszym powieściopisarzom za zasługę, że wyrugowali francuskie romanse z pośród publiczności. Jest-to dobrowolne zamykanie oczu na wprost przeciwną rzeczywistość. Pisarze ci stworzyli nowe koło czytelników, głównie w tych warstwach, które nie czytają po francusku lub angielsku. W salonie, a gdzież salonu nie ma, stoły i stoliki założone są dotychczas książkami francuskiemi. Bo to, proszę pani, kształci smak i uszlachetnia uczucia; niech tam co chcą mówią te obrzydliwe Niemczyska, Francya była, jest i będzie przodownicą cywilizacyi. Amen.

Jak widać z powyższego, pobudki i argumenta, przytaczane w obronie nauki cudzoziemskich języków, nielada: wyższa cywilizacya. Tak samo zapewne rozumował nagi murzyn, gdy się ubrał w cylinder.

Gdyby nasza wielojęzyczność prowadziła tylko do śmieszności, możnaby ją zostawić w pokoju; przecież dotychczas nikomu jeszcze nie zabroniono być śmiésznym. Ale wynikiem daleko zgubniejszym jest obniżenie poziomu umysłowego, bo ani języków obcych dobrze nie znamy, ani w umiejętnościach innym dorównać nie możemy. Jakim zaś sposobem z wielojęzyczności naszéj taki wynik mógł nastąpić, zaraz zobaczymy.

Błędem bardzo rozpowszechnionym jest mniemanie, że każdy człowiek, z wyjątkiem idyotów, wszystkiego nauczyć się może, byle chciał i byle go uczono. Tymczasem praktyka co innego pokazuje; możemy się nauczyć tylko niektórych wiadomości, tylko pewnéj zręczności a jednych i drugiéj tylko pewną ilość. Umysł ludzki, rozumiejąc przezeń uczucie, rozum i wolę, jest wprawdzie bardzo rozległy, ale nie bezgraniczny, w każdym człowieku inny a inny. Jeden może sobie przyswoić więcéj, drugi

mniéj. Gdybyśmy chcieli użyć wielce grubego w téj dziedzinie przykładu, powiedzielibyśmy, że jeden może sobie przyswoić rozmaitych wiadomości i zręczności tysiąc, drugi dziesięć tysięcy. Nabytki te rozpoczynają się od najwcześniejszego dzieciństwa, ciągną się przez okres szkolny, jeżeli ktoś szkołę przechodzi, i uzupełniają przez całe życie. Zawsze jednak nie mogą one przejść po za pewną granicę, zakreśloną przyrodzoném uzdolnieniem umysłu. Uzdolnienie to, czyli przyrodzona energia w każdym człowieku jest inna. Przypuściwszy jednakową sumę i natężenie pracy oraz jednakowe okoliczności, dwa umysły nie dochodzą do jednakowych i tych samych rezultatów, z powodu właśnie téj różnicy w przyrodzonéj ich energii. Ztąd jasno wynika, że ani wszyscy wszystkiego, ani w jednakowym zakresie mogą się uczyć i nauczyć. Wiemy o tém z doświadczenia bez żadnych fizyologicznych i psychologicznych danych; późniéj fizyologia i psychologia potwierdzają to empiryczne postrzeżenie. Pomimo tego, wielu zdaje się, że byle człowiek chciał i miał sposobność, wszystkiego nabyć i nauczyć się może.

Postrzeżeniu, że umysł ma granice, zdaje się zaprzeczać fakt również znany, mianowicie, że się do śmierci uczymy, że nam przybywa coraz nowych wiadomości, że proces ten mógłby trwać wieki, gdybyśmy wieki żyli. Jest to także złudzenie. Nowe nabytki zwykle okupują się zapomnieniem dawnych, szczególniéj wtenczas, gdy umysł nasz już przyswoił sobie taką sumę wiadomości, na jaką stać było jego przyrodzoną energią. Ten lub ów zaczął się uczyć, dajmy na to, nowéj jakiéjś umiejętności, nowego języka, nowego rzemiosła lub sztuki i uczynił w nich widoczne postępy. Jeżeli te nowe nabytki zaczął sobie przyswajać już po nasyceniu, że tak powiem, przyrodzonych swoich zdolności; niezawodnie dawniejszych w odpowiedniéj mierze zapomniał. I znowuż, gdybyśmy chcieli użyć grubego porównania, powiedzielibyśmy, że umysł każdego człowieka jest naczyniem pewnéj objętości. Mógłby się w tém naczyniu mieścić jeden lub dwa litry pewnéj cieczy, ale więcéj się nie zmieści, choćbyśmy nie wiem jak tłoczyli; wtłoczone *plus* wyprze za brzegi ciecz objętą, ale naczynia nie powiększy. Jest to oczywiście tylko grube porównanie, które ma uwydatnić tę myśl, że umysł nasz, chociaż bywa rozmaitéj energii, zawsze przecież ma granice. Zastosujmy teraz powyższe rozumowanie do nauki języków.

W rodzinach zamożniejszych nauka dwóch, trzech języków rozpoczyna się bardzo wcześnie. Bony, nianie i rozmaitéj nazwy ochmistrzynie cudzoziemskie, mówią z dziećmi swojemi językami

i po kilku latach dochodzą do tego, że pupile i pupilki szczebiocą mniéj więcéj biegle obcą mową. Odbywa się ta edukacya w domu, na przechadzce, w podróżach za granicą, zanim nadejdzie pora na szkolną, systematyczną naukę rozmaitych przedmiotów. Nabycie zatém dwóch lub trzech języków dokonało się nieznacznie, bez wielkiego mozołu dla dzieci, prawie bez kosztu dla rodziców, słowem przyszło, jak mówią, darmo. Otóż w tém mniemaniu leży nowy błąd i nowe złudzenie jakoby te nabytki nic nie kosztowały umysłu dziecinnego, jakoby on również był zdolny jak przedtém, do przyswojenia sobie nowych i trudniejszych nabytków, jakie mu szkoła poda. Umysł, który sobie przyswoił kilka tysięcy wyrazów i ich kombinacyi, zwrotów, wyrażeń, mniéj będzie mógł przyswoić sobie wiadomości z matematyki, fizyki, historyi, geografii itp. Jeżeli oprócz języków zaczęto uczyć, jak to bywa, muzyki, tańca, gimnastyki itp., i dziecko zrobiło pewne postępy w tych sztukach i zręcznościach; wówczas do nowych nabytków okaże się o tyle mniéj zdolném, albo jeżeli je sobie przyswoi, wiele z dawniejszych zapomni, wyleją się one za brzegi, ulotnią się i przepadną.

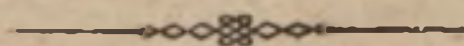
Teraz rozumowanie i dane powyższe zastosujmy do obchodzącego nas pytania, to jest dlaczego i w językach i w umiejętnościach nie daleko zachodzimy. Skoro umysł nasz ma granice przyrodzone, o czém dawno wiedziano, to oczywiście będzie mógł sobie przyswoić tylko pewną ilość wiadomości i mocno je zatrzymać. Otóż nawet dwa języki obce, przypuśćmy francuski i niemiecki, zawierają tysiące wyrazów i kombinacyi wyrazów w zdaniach, a nadto rozmaitą ich pisownią, modulacyą dźwięków podczas ich wymawiania, co wszystko razem wzięte czyni ogromny ciężar dla pamięci i rozumu. Potrzeba wielu lat, ażeby dojść do porządnego mówienia temi językami, poznać literaturę obu i rozporządzać na zawołanie nagromadzonym zasobem lingwistycznym. Oczywistém jest, że nianie i guwernantki temu zadaniu nie podołają. Co najwięcéj nauczą one po parę tysięcy wyrazów najpospolitszych wystarczających do banalnéj konwersacyi salonowéj i czytania romansów. Ztąd pochodzi, że gdy tacy Francuzi i Niemcy nadwiślańscy wezmą książkę cokolwiek poważniejszą, nieco specyalniejszą, nie rozumieją jéj, ani tém bardziéj dobrze przetłómaczyć nie zdołają. Tak samo gdy konwersacya towarzyska zejdzie na grunt twardszy, w zakres naukowy, musi się urwać; dlatego téż podtrzymuje się w kole utartych frazesów takich jak: *ah comme c'est joli* itp.

Jeżeli do nauki weźmiemy nie dwa, ale trzy lub sześć języków, wówczas trudno myśléć na seryo o zapanowaniu nad materyałem lingwistycznym potrzebnym chociażby do miernego rozumienia

czytanych autorów, a cóż dopiero do poprawnego temi językami mówienia! Jest to zatém jedna szkoda: zużycie mózgu w porze gdy jest najpodatniejszy, zmarnowanie czasu i znacznych kosztów. Drugą szkodę stanowi niemożność korzystania z bogatéj literatury obcéj, a przecież do korzystania z tych skarbów cudzych miały rzekomo doprowadzić obce języki. Największą zaś szkodą jest zaniedbanie umiejętności, na które ani czasu, ani energii umysłowéj, pochłoniętéj przez języki, nie starczy. Nad tym ostatnim punktem jeszcze się chwilę zastanówmy.

Uczymy się obcych języków dla korzystania z bogactw ich literatury; tak mówią i czynią bardzo nieliczni. Większość uczących się nie myśli wcale o tém korzystaniu; jéj chodzi o to, by się popisać, wyróżnić od tłumu obcą mową. Jest-to jedyny i decydujący moment w matkach i ojcach, ale szczególniéj w pierwszych, gdy każą dzieci uczyć obcych języków. Tak się dzieje od stu i więcéj lat, tak się działo, lubo na mniejszą skalę, dawniéj, gdy za szczyt uczoności uważano możność dorównania Horacemu lub Liwiuszowi. Uprawa języków obcych oto programat edukacyi naszéj przez całe wieki. Dzisiaj, gdy spojrzymy na plany nauk, uderza w nich dysproporcya języków w stosunku do umiejętności. Na trzydzieści godzin tygodniowych przypada trzy lub cztery poświęconych matematyce; reszta na przedmioty filologiczno-historyczne. Potém dziwimy się, że uczniowie i uczennice tak mało czynią postępu w matematyce lub innych umiejętnościach. Może to będzie zaśmiały wniosek, ale gotowibyśmy temu przeładowaniu umysłu wyrazami przypisać tak mały stosunkowo procent i niegdyś i dzisiaj ludzi celujących u nas w umiejętnościach. Żywimy się tylko okruszynami wiedzy spadłemi z cudzego stołu. Dowodem tego niezbitym, jak się zdaje, jest liczba tłómaczeń lepszych lub gorszych, z obcych języków w porównaniu z pracami oryginalnemi. Sami cudzoziemcom nic za to dać nie możemy, a gdy ci jakąś naszą powiastkę na swoje języki przetłómaczą, niemasz końca radości w Izraelu. Nie jest to wynik naszéj mniejszéj zdolności umysłowéj—bo o zdolności téj nie wątpią i obcy; lecz dysproporcyi między filologią, lingwistyką, sztukami pięknemi, którym najwięcéj poświęcamy czasu i nakładu, a umiejętnościami, które są nudne, suche i niepiękne. Wielojęzyczność obezwładnia w końcu umysł i czyni go niezdolnym do zgłębienia choćby jednéj umiejętności, do interesowania się postępem wiedzy; pyta on się jedynie o najświeższe romanse.

K.





KWESTYA WYKSZTAŁCENIA KLASYCZNEGO
W NIEMCZECH.

(Unser Gymnasial-Unterricht. Bekenntnisse von Alethagoras, Braunschweig. 1889).

II.

W drugiéj części swéj broszury Alethagoras stara się dowieść, że klasycyzm taki, jaki w szkołach niemieckich panuje, nie tylko nie przynosi przypisywanego mu pożytku, lecz jest poprostu szkodliwym.

Autor zna całą doniosłość swego twierdzenia i uzbroił się w argumenty, które kolejno przed czytelnikami rozwija.

A przedewszystkiém zwraca uwagę na stronę czysto-pedagogiczną, mówiąc, że klasycyzm, jako podstawa wyższego wykształcenia, wyrządza w dziedzinie duchowéj nieobliczone szkody już przez to samo, że swemi 117 godzinami nauki tygodniowéj, wobec 151 godzin na wszystkie inne przedmioty poświęconych zabiéra miejsce rzeczom o wiele ważniejszym i potrzebniejszym.

Na zarzut, że takie postawienie kwestyi trąci materyalizmem, Alethagoras odpowiada, iż bynajmniéj nie myśli być rycerzem wykształcenia, któreby miało na celu zdobycie praktycznych jeno wiadomości, ale utrzymuje, że idealizm wśród młodzieży zaszczepić się daje o wiele skuteczniéj za pośrednictwem poważnéj wiedzy realnéj, niż przy pomocy dwu umarłych języków, jeżeli naturalnie przez idealizm rozumiéć będziemy nie odwrócenie się od rzeczywistości, ale zdolność poznawania wyższych zadań doby spółczesnéj i wybierania najodpowiedniejszych środków do przeprowadzenia tychże celów.

A jakżeż poznać te wyższe, idealne zadania doby spółczesnéj, jeżeli się z tą dobą nie zaznajomimy już w szkole; jakżeż spożytko-

wać najlepsze środki do osiągnięcia celu prowadzące, gdy w szkole nie wdrożymy się w należyte rozumienie cywilizacyi nowożytnéj?

Nauki przyrodnicze, jak wiadomo, zdobyły sobie w naszych czasach naczelne stanowisko wśród dążeń i zagadnień życia cywilizacyjnego i każdy ukształcony człowiek musi tyle przynajmniéj wiedzy przyrodniczéj posiadać, żeby mógł potężny ruch w téj dziedzinie pojmować w rysach ogólnych i za nim postępować. Takiemu wymaganiu nie może uczynić zadość gimnazyum klasyczne; gdyż nie tylko nie daje dostatecznego zapasu wiadomości przyrodniczych, ale nadto, przez upośledzenie w planie szkolnym umiejętności przyrody, zabija w młodzieży wszelki interes do tak podrzędnego przedmiotu. Wskutek tego powstaje półwykształcenie, które pociąga za sobą skutki jaknajniepożądańsze. „Nierzadko się zdarza — mówi Alethagoras — że młodzieniec starannie w szkole chroniony od trującego tchnienia zarazy przyrodniczéj, w życiu późniejszém nabiéra zaciekawienia do nauki przenikającéj tak silnie wszystkie stosunki życiowe. Ponieważ jednak brak mu samodzielnego sądu w rzeczach przyrodniczych, ba nawet zdolności myślenia w tym kierunku, musi tedy czerpać mądrość w dziełach popularyzatorów przyrodnictwa. Jeżeli te popularne dzieła są pisane sumiennie, to stają się z powodu swéj gruntowności nieprzystępnemi dla wykształconego w gimnazyum klasyczném, który zatém udawać się zwykł do lichych popularyzatorów, przedstawiających częstokroć hipotezy naukowe, jako niezawodne wyniki umiejętności, przeciw czemu w swoim czasie Virchow musiał stanowcze *veto* założyć. Zasilając się z takich źródeł z całą naiwną wiarą dyletanta w danéj gałęzi naukowéj, popaść łatwo w najskrajniejszy materyalizm“.

Za daleko jeszcze gorsze w bezpośrednich swych skutkach, aniżeli brak wykształcenia przyrodniczego, uważa Alethagoras przytępienie zmysłu do pojmowania dzisiejszych stosunków ludzkich, będące wynikiem zacieśnionego planu nauki dziejów. Rozumiéć należycie swój czas i wedle sił swoich starać się o urzeczywistnienie tych ideałów, jakie on z sobą przynosi, powinnoby stać się najwyższym celem prawdziwie ukształconego człowieka. A że teraźniejszość jest sumą tymczasowych następstw wynikłych z rozwoju żywiołów, jakie przeszłość w życie ludzkości wszczepiła, ten więc tylko naprawdę zna teraźniejszość, kto poznał rozwój owych następstw, kto gruntownie z całą historyą powszechną się zaznajomił. Tymczasem gimnazyum klasyczne, mało poświęcając godzin na naukę dziejów, zajmuje je przeważnie na rzecz historyi starożytnéj, z zaniedbaniem średniowiecznéj i nowożytnéj

nie pomnąc, że zasady naszego dzisiejszego rozwoju tkwią nie w zamierzchłych czasach Greków i Rzymian, lecz w wielkim procesie przekształcenia, jakiemu ulegają państwa i narody europejskie od rządów Ludwika XIV aż do dni obecnych. W planie gimnazyów niemieckich na naukę dziejów i geografii dano 3 godziny tygodniowo w *sekundzie* i tyleż w *primie*; jeżeli rok szkolny obliczymy na 40 pełnych tygodni, to w dwu latach wypadnie 240 godzin na te przedmioty. W *sekundzie* dawana jest historya starożytna, w *primie* — średniowieczna i nowa. Czyż jest rzeczą możliwą, aby najdzielniejszy nawet nauczyciel mógł przebiedz tak olbrzymią dziedzinę, inaczéj jak w najszaleńszym galopie? Kontent być musi, jeśli mu się uda załatwić z naznaczoném pensum przynajmniéj zewnętrznie. Pospolicie zaś zatrzymują się nauczyciele niemieccy na okresie Fryderyka II tj. tam, gdzie historya staje się najbardziéj zajmującą. Dopełnienie reszty muszą pozostawiać prywatnéj pilności kończącego szkołę; ten zagląda do tablic dziejowych Plötza i przyswaja sobie na egzamin mniéj więcéj następujące daty:

1806. Bitwa pod Jena i Auerstädt. Najgłębsze upokorzenie Prus.

1807. Pokój w Tylży.

1812. Wyprawa Napoleona do Moskwy.

1813—1815. Wojny o niepodległość. Bitwy pod Dreznem i Lipskiem. Ustąpienie Napoleona. Pokój paryski.

Od téj ostatniéj daty młodzieniec śmiałym krokiem przerzuca się w r. 1866, a stąd robi mały skok, by się znaleść w bitwie pod Sedanem i przy założeniu cesarstwa niemieckiego.

Tym sposobem ostatnie sto lat dziejów, na które przypadają właśnie najważniejsze w swych skutkach zdarzenia, są dla młodzieńca opuszczającego szkołę z patentem dojrzałości duchowéj prawie zupełną tajemnicą. O rewolucyi francuskiéj i Napoleonie wié on jeszcze coś-niecoś, ale o czasach restauracyi i rewolucyi lipcowéj oraz ich następstwach nie pytać go zgoła. Doba dzisiejsza istnieje, według jego wyobrażenia, od bardzo już dawna, choć naturalnie ściśléj oznaczyć téj dawności nie potrafi.

Wieki średnie są abituryentowi lepiéj znane od nowożytnych, ale w sposób zupełnie powierzchowny. W najlepszym razie umié on wyrecytować wszystkich cesarzów niemieckich i królów pokolei z podaniem daty ich rządów, zna wszystkie układy i wojny o następstwo i wogóle zdoła skreślić zewnętrzny przebieg wypadków politycznych w Europie. Nazwę hanzy czytał gdzieś lub słyszał, ale istotne jéj znaczenie, jak wiele innych rzeczy, jest mu niejasne. Że wieki średnie „była to złota epoka księżéj głupoty, mni-

szego zabobonu", twierdzi napewno. Ale, że te wieki średnie, podobnie jak starożytność, tworzą świat odrębny, który powinien być rozumiany i sądzony według siebie, a nie według dzisiejszéj miary, że posiadały one właściwą sobie, wysoce rozwiniętą kulturę, że w architekturze, malarstwie, poezyi i muzyce kościelnéj rozwinęły taką działalność, iż dziś jeszcze budzi zapał u prawdziwych znawców sztuki—nie wié on wcale, jak i o tém nie ma pojęcia, iż dzieje polityczne to tylko mniéj zajmująca łupina wewnętrznego rozwoju ludzkości. Toż on słyszał jedynie zawsze o bitwach i zdobyczach; bitwy téż i zdobycze pozostają dla niego powiększéj części przez całe życie wyłączną treścią dziejów.

Taki wykład historyi nie może oczywiście przygotować ucznia do zrozumienia dzisiejszych stosunków cywilizacyjnych. Przeciętnie biorąc, kończący gimnazyum niemieckie zna dość dobrze urządzenie „geruzyi" spartańskiéj, stosunek ateńskiéj „bule" do „ekklezyi", wié co były „*comitia centuriata*" itp. Ale co to jest rada związkowa (*Bundesrath*) i jaki jéj skład, jaka zachodzi różnica między sejmem rzeszy a sejmem krajowym, jak się odbywają wybory do obu zgromadzeń, jakie są zasadnicze podstawy konstytucyi niemieckiéj i pruskiéj, jakie obowiązki nań wkłada, ba, co to jest konstytucya i jak narody europejskie doszły do konstytucyjnéj formy rządu,—o tém 99% najlepszych abituryentów nie ma najmniejszego wyobrażenia. Podobneż uwagi można zrobić co do wiadomości uczniów z zakresu ekonomiki i statystyki.

Niektórzy lękają się wprowadzenia tych przedmiotów do szkoły, twierdząc, że gdyby uczono polityki i ekonomiki, toby się wytworzyło pokolenie samych czytelników gazet i piszących do gazet, jak się wyraził znany historyk pruski Treitschke. Alethagoras nie boi się tego. Nawet gdyby się tak stać miało—powiada—zysk byłby niemały. Gazety bowiem stały się dzisiaj potęgą, któréj nie zmogą najzłośliwsze i najbardziéj cięte napaści historyografów królewskich; a oto tylko chodzi, żeby ile możności ograniczyć zły wpływ, jaki one obok nieskończenie wiele dobrego wywrzéć mogą na czytającą publiczność; a na to nie ma lepszego środka nad dopomaganie publiczności do wyrobienia sobie własnego sądu przez ukształcenie jéj polityczne, które w gimnazyum rozpocząć się winno.

Od wskazania tych braków, jakie musiały w gimnazyum wyniknąć wskutek rozpanoszenia się języków klasycznych, przechodzi Alethagoras do zaznaczenia fałszywych, ujemnych poglądów, jakie zaszczepia w młodzieży bałwochwalstwo starożytności. Skupia je w trzech grupach: idealizowanie świata starożytnego, zamie-

szanie poglądów moralnych, odsunięcie chrześciaństwa na korzyść pogaństwa.

Idealizowanie świata klasycznego wywołuje przedewszystkiém fałszywy pogląd na dzieje Greków i Rzymian, każąc je uważać za jakieś niedościgłe wzory doskonałości duchowéj. Dzieje te, rozpatrywane nie przez mgłę uwielbienia, ale trzeźwém okiem badacza, nie przedstawiają się wcale piękniéj i szlachetniéj, niż historya wieków średnich i nowożytnych. Historya Grecyi—mówi Alethagoras—to wcielenie najgrubszego i najciaśniejszego samolubstwa państw greckich i jeżeli się z niéj wyjmie wojny perskie, to nie przedstawia nic, czémby się serce rozradować mogło. A nawet i świetność wojen perskich czyż nie ćmi się takiemi faktami, jak oburzająco nędzne zachowanie się Arystogorasa podczas powstania jońskiego, postawa Tebańczyków w ciągu całéj walki narodowéj, drobnostkowe względem siebie zazdrostki państewek greckich wobec spólnego wroga, przedajność Temistoklesa, zdradzieckie plany Pauzaniasza, bezprzykładna niewdzięczność Ateńczyków względem Miltyadesa i nikczemne postępowanie Spartan względem Temistoklesa. Bądź-co-bądź jednak są tu wspaniałe rysy dzielności i poświęcenia, które czynią ten ustęp dziejów greckich podniosłym i uszlachetniającym. Tém jaskrawiéj potém uderzają i wstrętem przejmują szczegóły wojny peloponeskiéj, a jeszcze bardziéj t. zw. świętéj.

Życie wewnętrzne Greków bywa naumyślnie w szkołach przedstawiane jednostronnie, ażeby w fantazyi młodzieńczéj pozostawić obraz życia pełen prostoty, poczucia piękna i szczęścia. Uczeń wychodzący z gimnazyum sądzi, że Spartańczycy byli wcieleniem najczystszego bohaterstwa, ponieważ nigdy mu nie ukazywano twardości i wyłączności ich ograniczonéj żołnierskiéj natury, a to co częstokroć było wynikiem najgrubszego egoizmu politycznego, przedstawiano jako szlachetny owoc miłości sławy i ojczyzny, przemilczając wszędzie o bezwzględności i dyabelskiéj przewrotności tego plemienia w stosunku z innemi, gdzie tylko chodziło o jego interesa; albo téż starając się ile możności przytłumić zbyt krzyczące barwy w wypadkach, o których przemilczéć było niepodobna.

A cóż mówić o obyczajach Greków, o ich religijności i moralności! Najwięksi nawet wielbiciele starożytnych nie mogą ukryć, że religijność była tu czysto zewnętrzna, a podstęp, oszustwo, wiarołomstwo, zbrodnie nawet przeciw naturze należały do bardzo zwykłych zjawisk w życiu Hellenów.

A z rzymskiéj historyi jakież ostatecznie wrażenie otrzymuje abituryent? Bitwy, tryumfy, pozyskiwanie nowych prowincyi i zno-

wuż pozyskiwanie nowych prowincyi, tryumfy, bitwy—oto temat tych dziejów, który w duszy młodéj kładzie podwaliny poglądu, że bez bitew i zdobyczy niéma prawdziwéj wielkości ducha...

Przedstawiając dzieje grecko-rzymskie w świetle idealném, nie osiąga przecież nauczyciel celu zamierzonego; nie budzi wśród młodzieży poczucia ideału, tylko zamąca w nim zdolność chwytania rzeczywistości wzrokiem pewnym i jasnym. Bo téż taka nauka nie może nawet budzić poczucia ideału, gdyż nosi na czole wybitne znamię sztucznego wytworu i zapalnéj siły prawdy nie posiada. A gdzie te wymyślone bajeczki zdają się przyjmować, tam wyrasta nie piękny kwiat zdrowego, pełnego energii idealizmu, lecz wątła roślinka pustego i bezpłodnego rozmarzenia, które w życiu na nic się nie przyda, owszém szkodliwém stać się może.

Przy czytaniu autorów greckich i rzymskich często się napotka słowa cnota, obowiązek, piękno i dobro, καλὸν κἀγαθόν; ale na czém to dobro i piękno polega, co należy czynić a czego zaniechać, ażeby wśród dzisiejszych okoliczności stać się mężem dzielnym, o tém nie słyszy się nigdy. Co więcéj, nauki, jakie młodzieniec znajduje pod tym względem u Cycerona czy Platona, wywołują w nim tylko zamieszanie pojęć. Zarówno bowiem greckie ἀρετή i ἀγαθός, jak i łacińska *virtus* zawierają, jak wiadomo, inne znaczenie niż nasze nowożytne pojęcia „cnoty“ i „dobrego“ i są od nich o wiele poziomsze. Co zatém uczeń u klasyków wyczytuje, to nie przypada do tego, co mu daje nauka chrześciańska i życie samo. A na tę niezgodność wyrażeń nikt nie zwraca mu uwagi; słowa zatém ἀγαθός ἀρετή, *virtus* pojmuje w znaczeniu z praktyki życia przejętém. Ale tym sposobem popada w kółko błędne, bo takie znaczenie nie pasuje do sfery pojęć, w któréj przebywali pisarze starożytni, gdy się w teoretyczne wdawali wywody. Tak powstaje w duszy myślącego młodzieńca zamieszanie pojęć, nieraz mogące spowodować zmącenie całéj moralnéj jego istoty.

Doszedłszy do tego punktu w rozumowaniu swojém, Alethagoras robi wielki nacisk na przeciwieństwo chrześciańskiego poglądu na świat względem pogańsko-materyalistycznego pojmowania życia, i twierdzi, że „w gimnazyach niemieckich chrześciaństwo nie ma przynależnego mu stanowiska“ i że „nieobliczone są spustoszenia, jakie porobił i ciągle robi w tym kierunku klasycyzm“. Nauka religii postawiona tam faktycznie na tym samym stopniu co historya naturalna i ma przy opiniowaniu o postępach uczniów toż samo znaczenie, tj. nie bywa wcale brana pod uwagę. Dwie godziny tygodniowo na nią wyznaczono; a w tych dwu godzinach trzeba

przejść historyą biblijną, katechizm, dzieje kościoła, dogmatykę, etykę; trzeba uczyć się na pamięć pieśni i zdań z pisma ś. a nawet czytać księgi Nowego Testamentu w tekście greckim. A i to czytanie ksiąg świętych odbywa się raczéj dla filologiczno-archeologicznego interesu niż w tym celu, aby młodzieniec przyswoił sobie w duszy treść czytania, żeby mu wyjaśnić doniosłość zawartych tam zasad i nauk i dać odczuć olbrzymią różnicę pomiędzy starożytném a chrześciańskiém pojmowaniem zadań życia. Jakżeż inaczéj traktuje zapalony filolog taką np. „Apologią Sokratesa"! Wyczerpującemi objaśnieniami stara się ją zrobić zrozumialszą dla uczni, przedstawia ją jako najwyższy wyraz moralności greckiéj, starając się zaakcentować punkta styczne pomiędzy nią a nauką chrześciańską. „Natomiast nigdy uczeń nie posłyszy od niego — mówi Alethagoras— o powszechno-dziejowém znaczeniu chrześciaństwa, nigdy nie dowié się, że pojęcie człowiek w tém wzniosłém rozumieniu, jakie Zbawiciel cierpiącéj ludzkości zwiastował, było całkiem obce starożytnemu pogaństwu i że nawet to, co jest najlepszego pod tym względem u myślicieli klasycznych, nie warto pół wiersza z pisma św., gdzie o tém mowa; nie dowié się również, że dopiéro chrześciaństwo uczyniło ludzkość wewnętrznie wolną i że wzniosłą swą nauką o bezwzględnéj równości ludzi wobec Boga i o miłości bliźniego wytworzyło jedyną, prawdziwą, wszystkich obejmującą i wszystkich uszczęśliwiającą, nigdy nie przemienną ideę ludzkości..." Co gorsza, nietylko się o tém młodzieniec nie dowiaduje, lecz przez 9 długich lat ciągle mu kładzie się w uszy, że świat klasyczny stanowił najpiękniejszy okres w cywilizacyjném życiu ludzkości, że był okresem ideałów? A jak się tego dowodzi? Oto unaocznia ono ile można jaknajdotykalniéj uczniowi za pomocą odlewów, rysunków, fotografii i kolorowych odtworzeń malowideł ściennych w Pompejach wspaniałość uroczystości i igrzysk publicznych, przepych uczt, zbytek w życiu prywatném i publiczném, świetność pochodów tryumfalnych, a szczególniéj dzieła sztuki, boskiéj, nieporównanéj... A ponieważ ta zewnętrzna strona życia uderza najwięcéj i zapamiętywa się najłatwiéj, wrażliwy więc umysł młodzieńca, któremu dzień w dzień wykładano, iż starożytność była dobą najwyższego rozwoju, ponieważ w zewnętrzném ukształtowaniu życia dosięgła najwyższéj doskonałości, dochodzi w końcu do mniemania, że właśnie ta zewnętrzna, błyskotliwa strona życia stanowi treść życia samego i pochłania w siebie mimo wiedzy i chęci pierwiastki pogańsko-materyalistycznych poglądów.

A gdzie się zagnieździ materyalizm, tam znajdzie się zazwyczaj brat jego mleczny, pesymizm. Szkoła, ufundowana na filologii, sprzyja rozwojowi téj choroby nie tylko przez wyparcie nauki chrześciańskiéj z należytego jéj stanowiska, lecz także przez zupełne oderwanie wychowańców od życia rzeczywistego. Nie otwiéra ona młodzieńcowi oczu na piękno i dobro, jakie w świecie obecnym istnieje, lecz owszem nadużywa jego naiwnéj wiary, aby uczucie jego zwrócić ku światu, którego ideały już przeminęły na wieki i nigdy wskrzeszonemi być nie mogą. Cóż więc dziwnego, że taki młodzian pogardza w końcu swoją dobą, któréj nie może należycie zrozumiéć, i że poczucie niemocy duchowéj wskutek niezaspokojonych pragnień rzuca go w objęcia pesymizmu?

Wreszcie klasycyzm wytwarza najwięcéj „proletaryatu umysłowego" i rozszerza przepaść pomiędzy ludem a inteligencyą. „Codzień widziéć można — powiada Alethagoras — jak wstępujący do sieksty chłopak dlatego patrzy z góry na swego ojca, że ten, będąc prostym rzemieślnikiem, nigdy nie odmieniał *rosa, rosae*, nigdy nie tłómaczył: *Mundus est rotundus* i *Lupus est bestia*, albo że ten, co w *quarcie* promocyi nie dostał, poczytuje rzemiosło za niegodne siebie dlatego, że czytał niedawno Neposa. Nauka gimnazyalna dzisiejsza robi, niestety, wychowańców nie tyle rozumnymi, ile zarozumiałymi a co gorsza skłonność tę w nich do przechwalania się wiedzą podsyca gimnazyum, wmawiając w nich, gdzie tylko może, że są oni czemś inném niż *plebeje*, co nie mieli szczęścia zażywać dobrodziejstw wykształcenia klasycznego, a w upomnieniach akcentując nie to, że dobrze wychowany młodzieniec wogóle nie powinien robić tego i owego, tylko, że to i owo nie przystoi uczniowi gimnazyum". Z takiego punktu widzenia gimnazyasta patrzy jako na niższego na ucznia szkoły realnéj, choćby nim był brat rodzony; a tym sposobem wytwarza się pomiędzy członkami tegoż samego społeczeństwa mur nieprzebyty, oddzielający lud od „klasycznie wykształconych". Pomiędzy ukształconymi mało jest takich, coby lud rozumieli, a równie mało takich, którychby lud rozumiał. Czyż to ma być zadaniem i zaletą szkoły?

Żyjemy w czasach pełnych przeciwieństw i niepokoju, grożących przewrotami zewnętrznemi. Czy te przewroty dokonać się mają na drodze pokojowéj czy gwałtownéj, zależéć to będzie głównie od stanowiska klas panujących. Jeżeli się chce dopomódz do pokojowego rozwiązania zagmatwanych stosunków, to klasy kierownicze muszą miéć jasno w głowie i pozostawać w żywych

z ludem stosunkach. Ażeby zaś tym warunkom zadość uczynić, musi przybrać wykształcenie inny kierunek, musi zbliżyć się do wymagań teraźniejszości a zaprzestać zabawiać się wspomnieniami świetności przed dwudziestu wiekami w gruzy zamienionych. Jak za czasów odrodzenia scholastyka, tak dzisiaj klasycyzm rolę już swoję całkowicie odegrał i winien ustąpić miejsca innym, nowożytnym czynnikom.

Taka jest treść broszury Alethagorasa. Podając ją, nie mielibyśmy zamiaru wchodzić w jéj rozbiór krytyczny, lubo na niektóre punkta się nie zgadzamy; pragnęliśmy tylko zaznajomić czytelników z ruchem bardzo ważnym a nader znamiennym na polu wychowawczém w Niemczech, ażeby pobudzić do zastanowienia się i wyrobienia sobie zdania samodzielnego.

P. R.





WOŁYN A PODOLE

WOBEC SAMYCH SIEBIE

na łonie skonsolidowanéj ostatecznie Rpltéj, u schyłku XVI wieku.

(Paralella Historyczna).

(Źr. Dz. t. XIX).

W obliczu krytycznego kierunku naszych badań dziejowych dzisiaj, pod przemożném działaniem wszystko rozkładającéj na faktyczne pierwiastki analizy, obowiązującéj już badacza, i sam obraz historyczny tak stosunków zewnętrznych, jak i rozwoju wewnętrznego życia naszego społeczeństwa, przybierać zaczyna z dniem każdym coraz wyrazistsze rysy, barwy i tony. Po przez powłokę ogólną, ustalonych poglądów i wierzeń poczynają przedzierać się promienie faktów i stosunków, wcale nieprzeczuwanych nieraz, a oświetlających całe obszary zamroczone odziedziczoną nieświadomością. Przedewszystkiém zachodzi to w zakresie życia wewnętrznego, tak całéj Rpltéj, jak i składowych onéj cząstek—ziem poszczególnych. Mniejsza bowiem, że z góry wiemy doskonale, co za różnorodne żywioły etniczne złożyły się na wytworzenie politycznéj rzeszy, znanéj pod klasyczną nazwą Rzeczypospolitéj—które to żywioły pod działaniem niwelacyjném kultury ogólnéj, przybrały były powierzchownie pozór ujednostajnienia; lecz dziś z pod téj jednéj powłoki cywilizacyjnéj wydobywają się oto, jako ludowe indywidualizmy, roztapiające się znowu w masach bardziéj jednorodnych grup etnograficznych. Mało przecie kto się domyśla, na ile w jednéjże grupie najbliższe siebie cząstki jéj składowe przebyły poprzednio proces życiowego rozwoju zupełnie samoistnie, jakkolwiek pod osłoną jednéj pierwotnéj kultury, nim weszły w skład téj Rpltéj.

Jeśli zaś do jakiéj z nich da się ta uwaga zastosować, to najbardziéj do grupy „ziem ruskich".

Co do Rusi wogóle, to żadna nazwa nie przedstawia, przy pozorach jednorodności zewnętrznéj, takiego urozmaicenia wewnątrz jak ta właśnie. Najprzód obejmuje ona cały odłam wschodnich ludów słowiańskich, równoważny odłamom południowo-słowiańskiemu i lechickiemu na zachodzie. Jak i tamte rozpada się on na oddzielne grupy, z tą wszakże różnicą, że gdy w południowym i zachodnim odłamie, każda z tych grup nosi poszczególne swe miano narodowe: Bulgarów, Serbów etc, lub Polaków, Czechów—tutaj generyczna nazwa Rusi pozostaje wspólną dla wszystkich, a grupy narodowe jedna od drugiéj wyróżniają się tylko epitetami: „Mała“ „Biała“ itp. Nazwa ta, począwszy od Staréj-Russy i jéj Nowego-grodu, obejmuje powoli całe przestwory wschodniéj Europy, lecz jest mianownikiem prędzéj jednéj kultury cerkiewno-politycznéj, aniżeli mianem narodowém. Epoka rurykowska nie była w stanie skonsolidować odłamu wschodnio-słowiańskiego w jeden naród. A nawet grupie południowo-ruskiéj nie daje ta epoka przyjść do narodowéj świadomości; jak się pokazuje, wytwór to późniejszych czasów. Bo też i dzieje południa tak szły rozstrzelenie, że żadna późniejsza pragmatyzacya, nie zdołałaby ich ujednotnić. Zamykając się nawet w ściślejszym obrębie, toż samo można powiedzieć i o połaci jéj Czerwieńskiéj—w onéj naturalném czy przymusowém rozczłonkowaniu.

Tymczasem w pamięci ludzkiéj warstwy faktów późniejszych tak zasłaniają sobą poprzednie, tak je mocno przykrywają, że powszechnie świadomość o tamtych zupełnie się zatraca. W pojęciu pospolitém cząstki składowe owéj Czerwonéj Rusi, w szerokiém znaczeniu, mianowicie Wołyń i Podole, tak są zespolone z sobą, uchodzą za tak ujednostajnione w charakterze swego historycznego rozwoju, nie tylko w bliższéj lecz i dalszéj przeszłości, że zdawałoby się, iż mogły je różnić tylko warunki geograficzno-ekonomiczne co najwięcéj. Wié się wprawdzie powszechnie, że krainy te przedstawiają pod względem geograficznym dwa różne zupełnie ziemi przestwory. Dzieli je i zwraca ich pochyłości we wręcz przeciwne sobie strony wododziałowa grzęda, ciągnąca się między dorzeczem Prypeci a Bohu; z któréj to grzędy, nie o znacznéj skądinąd wyżynie, jedna z tych pochyłości stacza się, z biegiem swych wód, ku północy, ku błotom Rokitna, druga zaś, przekroczywszy Boh, spada, przerznięta licznemi równoległemi strumieniami, ku łożysku Dniestru, na południe. Ta jest krainą słoneczną, czemu już i herb jéj potém ma przyświadczać; owa zaś—ku ciemni puszcz zmierzać się zdaje. Skład ich i układ geologiczny podobnież inny; w jednéj przeważa glina i piasek, w drugiéj czarnoziem; tu bory, am dąbrowy; obfitość wód tylko jednostajna.

Ani się wszakże przypuszcza odrębnego poprzednio rozwoju tych dwóch sąsiednich, dwóch bratnich ziem, pod względem politycznym, społecznym i wogóle cywilizacyjnym, w epoce, kiedy one poraz pierwszy zbliżyły się z sobą, ściśléj ogarnięte, mocą unii Lubelskiéj, bezpośrednim zakresem Korony i zaliczone wspólnie już do jéj „prowincyi małopolskiéj“, po raz pierwszy powiadamy, gdyż w epoce rurykowskiéj Podole, jak o tém świadczą specyalne jego dzieje (Ateneum 1887 r.) usiłowało wciąż trzymać się odrębnie od Halicza nawet, a cóż dopiero od Wołynia!

Przy rozpatrywaniu źródeł archeologicznych z epoki owéj, nastręczają się nam same przez się co do tego przedmiotu—uwagi ogólne, które nas równie upoważniają do twierdzenia, że naprawdę zbliżające się ku sobie, skutkiem unii 1569 r., ziemie Wołynia i Podola nie były podobne do siebie!

Na dnie samém, u podłoża etnicznego spoczywał tam zawsze zaczyn jednorodny, pierwiastek narodowy południowo-ruski, łączyły masy ludowe—jeden język, jeden prawie obyczaj, obrządek cerkiewny jeden; ale u wyżyn, na powierzchni, w warstwach przewodniczących obu ziemiom, wszystko było inne, system polityczno-społeczny inny, inna kultura, świadomość narodowa inna. Wołynie było dotąd integralną częścią w. ks. Litewskiego, pomimo dość szerokiéj autonomii względnéj; gdy Podole, przeszedłszy próbę stuletniéj z górą zwierzchności bezpośredniéj mongolskich Tatarów, po krótkiéj dobie opieki litewskiéj, zostało faktycznie już prawie na początku XV wieku wcieloném do Korony. Na Wołyniu zakorzenił się mocno feudalny porządek litewski, z całém onego wielostopniowém szczeblowaniem; gdy po Podolu rozwielmożniło się już było, spotężniałe na Rusi Czerwonéj, a odwzorowane podług małopolskiéj normy, z wielkopańska alodyalne szlachectwo. Porządki też prawne były inne: na Wołyniu obowiązywał statut litewski, na Podolu zaś wiślicki.

Wobec czego i kultura była różną. Na Wołyniu utrzymywała się jeszcze dosyć silnie kultura wschodnia z obrządkiem słowiańskim z językiem litewsko-ruskim; gdy na Podolu dawno już była przeważyła cywilizacya zachodnia, z obrządkiem w wyższych warstwach łacińskim i językiem przeważnie polskim.

Nakoniec uderzająca różnica i pod względem samego przeświadczenia narodowego ziemian obudwu krain: ziemianie wołyńscy, jeśli przestali już się uważać politycznie za Litwinów, za Polaków się też jeszcze nie uznawali, co najwięcéj—byli wołynianami, obyczajowo i tradycyjnie członkami „narodu ruskiego“; ziemianie podol-

scy, nawet nie polskiego pochodzenia, razem z całą „szlachtą ruską“ (Czerwono-r.) już się prawie bez wyjątku uważali nie tylko politycznie lecz i narodowo za Polaków—„*gente Rutheni, natione Poloni.*“

Przejdźmy nieco do szczegółów faktycznych.

Unia lubelska sprawiła, że dotychczasowa „ziemia wołyńska“ została ostatecznie ścieśnioną, ograniczoną, zamkniętą w zakresie późniejszego województwa; „Ukraina“ jéj stepowa na Pobożu odcięta dla wytworzenia osobnego (Bracławskiego) województwa; przynależne zaś do niéj niegdyś integralnie Nadbuże (gdzie Chełm i Bełz) jeszcze za epoki halickiéj pochyliło się ku Rusi czerwonéj właściwéj. Na województwo przecie złożyło się same jądro Wołynia.

Mimo takiego uszczuplenia, województwo wołyńskie przeważało atoli nad podolskiém. Najprzód pod względem rozległości; zajmowało ono bowiem 742,18 mil kw. obszaru, gdy to drugie znacznie niż o połowę mniéj, bo mil kwadr. 347,83. Zatém i pod względem zaludnienia; w woj. wołyńskiém wypadało mieszkańców ogółem *minimum* 293,780 głów, z których 248,690 wiejs., 45,090 zaś miejs., w podolskiém zato ogółem *minimum* 97,736 głów—z tych 70,850 we wsiach, 26,885 po miastach i miasteczkach. Co dawałoby średnio na 1 milę kw., na Wołyniu ogółem głów 396,9 (ludn. wiejs. 335, miejs. 61,9); na Podolu—ogółem 280,3 (wiejs. 203, miejs. 77,3). Świadectwo wyraźne, że w owéj epoce woj. podolskie znacznie mniéj od wołyńskiego jest zaludnione nawet stosunkowo: względna jego ludność wiejska słabsza od wołyńskiéj, choć ludność miejska silniejsza; gdy na Wołyniu ludność miejska 6 razy mniejsza od wiejskiéj, na Podolu zaledwie razy 4.

Odpowiada temu oczywiście i stan uprawy. Zestawiając dane ekonomiczne Podola z odpowiedniemi na Wołyniu i jego Polesiu, widzimy ze zdumieniem może, iż wogóle w sercu woj. wołyńskiego uprawa daleko szersza niż na Podolu. Tu nie spotykamy nigdzie tyle ziemi zajętéj pod pług, co we włościach wołyńskich—biskupim Torczynie lub królewskim Krzemieńcu. Co więcéj, przeciętna norma uprawy w woj. podolskiém nie dorównywa nawet normie wielkich włości środkowych południowego pasa Polesia, a Zazbrucze, czerwonogrodczyzna ani się mierzyć może z porzeczem Ługu, włość kamieniecka nie ma na 1 mili kw. i połowy łanów, jakie posiada krzemieniecka, starostwo barskie nie wiele przeważa, co do przeciętnego stosunku łanów, nawet dubieńską lub ostrogską włości. Chmielnik wszakże lepiéj osadami broni swego podzamcza niż sąsiednie Lubar lub Połonne—nie zaś Ostropol, a dolny bieg Zbrucza

więcéj uprawiony niż jego rozlewiste wierzchowiska na Wołyniu. Z innéj znów strony—norma ludności wsi w woj. podolsk. wogóle mniejsza od takiéjże woj. wołyńskiego—tu na 1 wieś przypada przec. głów 101 tylko, gdy tam 120; choć norma ilości głów na 1 łan kmiecy i tu i tam jednostajna. Rzućmy z kolei okiem na stan ekonomiczno-społeczny.

Zamknięte w ściślejszych granicach województwa Wołynie już na pierwszy rzut oka przedstawia się nam jako kraina najbardziéj gniazdowa rodów książęcych. Pokrzyżowane między sobą przeróżne linie Ruryka i Gedymina ogarnęły jakby siecią gęstą cały jéj przestwór rozległy; poza kniaziami zdawałoby się niema tu już miejsca dla nikogo. Niezmordowanie oskubywane przez kniaziów, królewszczyzny hojnych Jagiellonów zeszczuplały w niwecz; przy jednym Krzemieńcu zabiegliwa królowa Bona coś była samochcąc uratowała nadal.

Zastanawiając się przecię głębiéj, zmuszeni jesteśmy niemal przyjść do przekonania, że w tak szczodrobliwém trwonieniu dóbr „hospodarskich“ przez potomków Jagiełły na Wołyniu nie należy upatrywać lekkomyślnéj hojności jedynie. Niewątpliwie działo to się w części i pod przymusem wymagań przezornéj polityki. Dom Jagielloński znajdował się w bardzo trudném położeniu. Raz wydostawszy się na szerszą europejską widownię polityczną, miał on za zadanie utrzymać się przy Koronie i w. księstwie razem, umacniając wciąż i ustalając ostatecznie ich unię. Lecz na to trzeba było przedewszystkiém uciszać, jeśli już nie uroszczenia, to zachcianki dynastyczne, nie mogących zapomnieć praw swéj udzielności potężnych rodów kniaziowskich w. księstwa. Po zniweczeniu ostateczném zamachów wrogich, co dosięgły swego punktu kulminacyjnego w ruchu, na czele którego stanął Gliński, łatwiejszém to się stało na właściwéj Rusi litewskiéj: ale na Wołyniu wypadało nie tylko suto wynagradzać dynastów (osobliwie z domu Ruryka) za okazaną wierność, lecz nadto skarbić ich sobie jeszcze nadal. Wiadomo, iż Zygmunt I rozdał kniaziom i panom, w powiatach łuckim i włodzim. tylko, 6 zamków, 4 dwory, 2 włości, 105 siół z liczbą znaczną przysiołków i dworzyszcz. Kiedy zaś dla tém skuteczniejszego umocowania unii ostatecznéj z Litwą, wypadło przychylić wszystkie jéj ziemie południowo-ruskie, wspierające się o Wołyń, ku Koronie, stało się już nieodzowném ujęcie sobie potężniejszych rodów wołyńskich.

Oczywiście najsilniejszy z nich, posiadający najwięcéj może praw ku uroszczeniom do samego Wołynia, jako dom domniemanie bliższy od innych krwią względem dawnych jego władców, z rodu Monomacha idących, jednèm słowem dom książąt na Ostrogu najso-

wiciéj téż musiał być obdarowany. Otrzymuje on téż od Zyg. Star. jeszcze całą włość Kuzmińską w powiecie krzemien., z któréj 1 zamek i 73 siół dostaje się linii ostrogs., zaś wsi 11 z zameczkiem zasławskiéj. Ztąd istotnie, rzuciwszy okiem na mapę historyczną Wołynia z epoki króla Stefana, ze zdumieniem się dostrzega, że bez mała trzecia część téj krainy jest oznaczona jedną barwą, wskazującą posiadłości domu ostrogskiego. Ciągną się one od topielisk pińszczyzny (Stepań) do jaru Hańczarychy u rubieży Podola, bliżéj kresów bracławskich—z północy na południe; z zachodu zaś na wschód—od granicy czerwonoruskiéj (Dubno) nieprzerwanym łańcuchem przez gniazdowy Ostróg do miedzy kijowskiéj, na któréj przecie nie kończą się jeszcze ich granice. Zagarnięte tu całe dorzecze Słuczy, począwszy od jéj wierzchowisk, z zawrotem u Lubaru po granicy kijowszczyzny przez Zwiahel, aż znów ku poleskim moczarom. Jedném słowem mil. kw. 242,50 to jest 32,67% rozległości całego województwa czyli blisko $^1/_3$ tegoż. A ileż przytém oderwanych włości! Spojrzawszy na te obszary, na Wołyniu tylko, łatwiéj się rozumie, że nie było może konceptem jedynie znane powiedzenie niby księcia Dominika po sromotnéj pamięci Pilawcach! Dom książąt na Ostrogu dumnie trzymał się swego ruskiego rodowodu; jego téż przychylność najbardziéj widocznie skarbią sobie Jagiellonowie.

Mniéj znacznego obszaru na Wołyniu, lecz zaraz w pierwszym rzędzie po ostrogskich, przedstawiają się dziedziny domu Zbarazkiego. Zajmują one cały narożnik południowo-zachodni Wołynia, ze Zbarażem i Wiśniowcem, gdy dzielnica Kołodeńska już dawniéj na rzecz ostrogskich utracona. Ztąd przez tych ostatnich są one teraz jakby ściśnięte. Ograniczony w swém gnieździe o skromniutkiém pochodzeniu pierwotném (z Nieświcza) ród ten ambitny a krwi burzliwéj, wcześnie usiłuje wydrzéć się na szerszą widownię potęgi i działalności. Z jednéj strony tedy wydaje się za pochodzący bezpośrednio od Gedymina, a więc bliższy samym Jagiellonom; z drugiéj zaś szuka sobie nowego punktu oparcia i zażywa na dalekiéj Ukrainie—mniejsza gdzie, na jakich „dzikich polach“, Zaporożu czy Zadnieprzu. Osobliwie linia rodu tego na Wiśniowcu! Rozrodzeni członkowie onego nie znajdują na Wołyniu przestworu dla siebie; w domu zaś widzimy dwa te gniazdowe rody Wołyńskie—książąt na Ostrogu i Zbarażu w ciągłéj między sobą antagonii: jeden panuje w powiecie łuckim, drugi usiłuje przeważyć w krzemienieckim, gdzie zajmuje obszar 51,92 mil. kw. czyli 21,22%, to jest blizko $^1/_4$ powierzchni powiatu.

Trzecim rodem, nie mniejszéj od innych ambicyi, choć słabszéj nierównie siły, jest ród książąt Czartoryskich, wydający się też

z głębszego wyrachowania politycznego za Gedyminowiczów, choć dotąd wątpliwego dla heraldyków pochodzenia. Dziedzina ich gniazdowa—to dorzecze dolne Styru na głębszém Polesiu, od Pińszczyzny, mil. kw. 40,13. Ale wcześnie oni sadowią się i na właściwém Wołyniu, zagarniając dawniejsze księstwo Peresopnickie z Klewaniem mil kw. 10,44, a następnie otrzymują nadto jeszcze w południowéj włodzimierszczyźnie, od granicy bełskiéj włość Litowiż mil kw. 4,28. Tak uposażeni decydują w chwili stanowczéj (1569 r.) łącznie z Ostrogskimi o losach całego Wołynia.

Obok tych trzech rodów stoi jeszcze na równéj im wyżynie dom książąt Sanguszków (ze krwi Gedymina, lecz nie od Lubarta) usadowiony na Polesiu włodzimierskiém wzdłuż Turyi całéj, przy granicy chełmskiéj, na przestrzeni 64,59 mil kw., stanowiącéj 52,15% czyli większą połowę powiatu. Rozszczepieni oni już na dwie linie, a nawet utracili Kowel; wzbogaceni za to innemi dobrami w tymże powiecie włodzimierskim.

Między potężniejsze rody Wołynia policzyć jeszcze należy dom książąt Koreckich. Dziedziny onego zajmowały znaczny obszar na dorzeczu dolnego Horynia i Słuczy, od południa i wschodu przytykające do posiadłości książąt Ostrogskich, mil kw. 36,79.

Poprzestając jedynie na ogarnięciu wzrokiem posiadłości tych pięciu rodów, mamy przed sobą całe już prawie Wołynie bez mała. Posiadłości zaś te—to nie jakieś dobra o rozproszonych osadach, to ściśle zwarte włości rozległe, najczęściéj dawniejsze dzielnice książęce i obecnie jeszcze noszące charakter bardziéj działów dynastycznych aniżeli wielkopańskich latyfundyów. Żeby zaś ocenić potęgę tych rodów, dość sobie unaocznić, że tacy Ostrogscy naprzykład, wprawdzie najpotężniejsi na Wołyniu, władają oprócz innych licznych włości, kilku księstwami razem; obok gniazdowych Ostroga i Zasławia—Kołodno, Stepań, Równe, Zwiahel i w znacznéj części Drohobuż. Posiadacze takich obszarów, ze krwi dawnych władców Rusi czy Litwy, tyle tylko że raczyli pozwolić na zaliczenie się do grona wielkopańskiego téj krainy!

A dodajmyż do tego rody i domy książęce pomniejsze i zaliczmy do powyższych dzielnic ich téż gniazdowe oraz nabyte, czy „wysłużone na hospodarach" posiadłości. Zacznijmy od domu Światopełków, dalekich potomków zapewne zepchniętego przez Monomachowiczów, na zapadłą wśród trzęsawisk dzielnicę poleską (Turów) rodu starszego z synów Jarosławowych, Izjasława. Dziedzina ich Czetwertnia, mil kw. 3,62, ściśnięta pomiędzy posiadłościami silniejszych od nich Sanguszków i Czartoryskich, nie wystarcza im do utrzymania się na odpowiedniéj wyżynie, przy roz-

rodzeniu się. Ztąd również konieczność szukania sobie szerszego przestworu na ukrainnych pustkowiach ziemi wołyńskiéj, na których istotnie urosła późniéj potęga domu Czetwertyńskich, w swoim czasie (XVI w.) jednego z najwybitniejszych na Bracławszczyźnie. Drugi dom miernéj zamożności u gniazda, który podobnież dopiéro spotężniał na Ukrainie, był dom książąt Różyńskich, niepewnego pochodzenia; gniazdo ich Rohowica i Rożyn, nie stanowiące rozleglejszéj włości, nie mogło nawet wyżywić butnych kniaziów. Założyli oni sobie nowe gniazdo (Rużyn) w Kijowszczyźnie i ztamtąd atamanili nieraz nawet Zaporożcom. W niedalekiém sąsiedztwie Rożyńskich, po nad linią między Włodzimierzem a Łuckiém, pomniejsze gniazda książąt: Sokolskich, Wielickich, Lubeckich, a daléj Kozików, Bułyhów i innych, dopełniają zakres drobniejszych posiadłości zubożałych dynastów.

Nie zagłębiając się w dalsze szczegóły, widzimy ztąd wyraźnie, iż Wołynie w epoce unii nosi charakter krainy przedewszystkiém udzielno-feudalnéj, w któréj wszelkie inne żywioły, z ich uposażeniem terytoryalném (dobra królewskie, duchowieństwa i ziemian) nikną prawie niewidomie w wezbranéj powodzi dynastyzmu, mocnego dziś przedewszystkiém wysługami na „hospodarze".

Inny zupełnie widok pod tym względem przedstawia Podole. Ani jednego tu gniazda rodowego kniaziów miejscowych, ani jednéj dzielnicy książęcéj. Nie bez możnowładztwa i tutaj, ale jest ono tu innego rodzaju: nie feudalne już, bez pretensyi dynastycznéj i przeważnie nie gniazdowe podolskie, lecz napływowe, obce.

Władza monarsza, słabsza niby w Koronie niż na Litwie, nie rozprasza tu dóbr w takim stopniu jak na Wołyniu. Dla czego? nie łatwa odpowiedź. Może Podole, jako kraina kresowa Korony od południa, potrzebuje bardziéj upewnionéj obrony, a więc zamków w rękach królewskich, a więc i dóbr i ludzi (rodów) wojennych ciążących ku nim. Może sama rada koronna powstrzymywała z czasem hojną zawsze dłoń królewską, gotową do darowizn i w téj stronie.

Lustratorowie długie czasy uporczywie zapisują jako koronne, dobra zastawione (onerowane), dawno i bezpowrotnie. Stracono wprawdzie wiele i tu już: przy Kamieńcu, Smotryczu, Skale, Czerwonogrodzie mało co pozostało; ale to co utrzymano przy Latyczowie, Chmielniku i Barze było o wiele poważniejszém od wszystkich królewszczyzn razem wziętych Wołynia.

Licznym włościom książęcym na Wołyniu odpowiadało tu w téj epoce zaledwie kilka większych latyfundyi, pomiędzy któremi pierwsze miejsce zajmują zawsze dobra Jazłowieckich— z gnia-

zdem w Jazłowcu, ogarniające 17,85 mil kw. (czyli 1/3 z górą powiatu) w Czerwonogrodczyźnie tylko; a obok nich włość międzyborska Sieniawskich, mil kw. 30,53, stanowiąca 16,36% rozległego latycz. powiatu, oraz posiadłości Herburtów: Felsztyn, Dunajówce etc.— 15 mil kw. z górą. Do których dodaćby chyba jeszcze dobra Lanckorońskich — Jagielnica, Zbrzeź, włość Czarno-Ostrowską, Świerszczów to Piaseckich i dziedziny Sroczyckich, Żwaniec, oraz Pretwiczów — Szarawka. Ale posiadłości to nie rodów miejscowych, lecz przybyszów, po większéj części Polaków, lub za takowych się mających. Poczucia odrębności jak na Wołyniu—żadnego. Owa „ruska“ i „podolska“ szlachta, tak dobrze jest już polską, jak małopolska rodowita.

Możnowładcze jéj ideały—koronne, przyswajane sobie od rycerstwa zachodniéj Europy, wręcz przeciwne litewskim.

Podobneż przeciwieństwo w całym układzie ziemiańskim Wołynia a Podola.

Na Wołyniu widzimy każdy zamek królewski lub niedawno z rąk królewskich wyszły, otoczony wieńcem osad ziemiańskich, z których każda stała się już gniazdem osobnego (nie raz głośnego późniéj) rodu szlacheckiego. Przy niektórych z nich da się wyszczególnić po dwadzieścia, trzydzieści gniazd takich. Lecz to tylko przy zamkach hospodarskich. Kniaziowie potężniejsi trzymają téż przy swych zamkach nie tylko bojarów lecz i ziemian, ale nie dozwalają im, z małym wyjątkiem, wydźwignąć się na szlachtę. Znaczenie ich mniejsze od hospodarskich.

Za króla Stefana jeszcze spotykamy, obok ziemian „wołyńskich“, ziemian książąt Ostrogskich, Koreckich i innych. W obrębie swych włości duszą oni najwidoczniéj warstwy wolne wojenne, gdzie tylko mogą. Tuby téż prędzéj niż gdzieindziéj wypadło szukać głębszéj przyczyny późniejszéj zawziętości „rycerstwa“ kozackiego (nie czerni) przeciw „dukom“. Na rębach przecie dziedzin kniaziów możniejszych wydźwiga się na wyżynę możnowładczą, prawdopodobnie przed spotężnieniem tamtych, jeszcze kilka starych rodów bojarskich: Swentoldowiczów Kisielów, Czapliców na Szpanowie, Kierdejów na Hoszczy i Mylsku, Sieniutów na Lachowcach, Bożeńców na Jełowicy potém Łanowcach, Czołhańskich, Łabuńskich, oraz przybyszów z Litwy, Radziwiłłów na Ołyce, Moniwidów na Drohostajach, Bohowitynów na Szumbarze etc. Typ to najbardziéj może zbliżony do typów średniéj ręki panów podolskich i sympatyczniéj usposobiony dla wpływów zachodnich. W téj bowiem sferze zjawia się niebawem już wyższa kultura europejska, a więc i polska, co większa — kultury téj najskrajniejszy wyraz

i dźwignia — szkoły aryańskie; wszystko z czasem wylewem łacińskiego katolicyzmu zatopione—fakt, który swoją drogą sprowadza jeszcze ściślejsze zbliżenie się warstwy przewodniczącéj Wołynia i Podola.

Na Podolu wytwór ziemiaństwa wręcz odmienny jak na Wołyniu. O ile na Wołyniu, w jego jądrze, wyrasta jakby z ziemi saméj i wykwita cały zastęp gniazd miejscowych rodów ziemiańskich, szlachty, o tyle w jądrowém Podolu gniazd podobnych prawie nie ma. Wyjątki nieliczne: Piaseccy, Karabczewscy i nie wiele innych; Jarmolińscy—Kroaci z pochodzenia. Własność tu podzielona przeważnie między drobniejszych posiadaczy; ale to są przybysze, co przynieśli z sobą swe nazwy rodowe i czasem tylko na pamiątkę nadają je nowowznoszonym przez się osadom: Sieniawa, Nowodwór (Gródek), Lanckorona, Podfilipie, Zamiechów. Naprawdę—nie wiedzieć gdzie się podziało stare podolskie rurykowskie bojarstwo, dawne atamany mongolsko-tatarskie, zbrojne miejscowe drużyny Koryatowiczów! Jakby to wszystko nie było jeszcze terytoryalnie ustaloném. Nie widać téż, żeby warstwa jaka podobna została w biegu czasu zepchniętą społecznie niżéj. Za to na połaci wschodniéj Podola, na jego „ukrainie“ czy głównéj linii obronnéj, podobnież co na Wołyniu przyczyny wywołują podobne skutki. Zamki Chmielnik i Bar, bardziéj od innych potrzebują miéć zapewnioną stałą obronę; trzebaż je było starym trybem (nie koniecznie litewskim tylko, gdy znamy podlaski) osadzić dokoła wolnym ludem pod obowiązkiem wojennym. A z osad tych już w epoce unii poczęły wyłaniać się gniazda szlacheckie, z których z czasem nie jedna rodzina wydostała się na wyżynę domów możnych jeśli nie możnowładczą. Po parę dziesiątków gniazd takich można naliczyć, zwartych dokoła tych dwóch zamków; ale dwóch tych jedynie. Zamki starsze królewskie inaczéj były już urządziły swą obronę (Kamieńca bronili przeważnie sami mieszczanie), a możni panowie, podobnie kniaziom Wołynia, nie mieli chęci ani potrzeby zapewne usamowalniania resztek bojarstwa drobnego.

W ogólnym rezultacie, wnioskując pobieżnie choćby, widzimy ilość ziemian na Wołyniu i Podolu prawie jednostajną, ale istota téj warstwy społecznéj tu i tam zupełnie różna. Na Wołyniu są to jeszcze ledwie z „pęt feudalnego służebnictwa“ wychylające się gniazda, bardziéj uwzględnionéj przez los poprzedniego rozwoju społecznego, części starego miejscowego bojarstwa. Posiada ono poczucie terytoryalno-narodowe, ruski narodowy obrządek i kulturę, oraz przeświadczenie, że się jest wszędzie masą jednorodną. Naprawdę bowiem, oprócz kilkunastu obdarowanych, w pierwszéj epoce zajęcia kraju przez Gedyminowiczów, domów litewskich,

kilku może torskich czy połowieckich rodów (Bokij, Bołbas, Kierdej), jeszcze za króla Stefana ledwie tu tylko parę domów przybyszów z Polski (i to drogą węzłów familijnych) dostrzegać się daje.

Wobec czego oczywiście i kultura tam zupełnie różna. Na Wołyniu, jakeśmy tego dotknęli wyżéj, przeważny dotąd jeszcze obrządek wschodni ruski, język swój ruski i obyczaj ruski, litewsko-ruskie prawo, z pismem ruskiém. Ideały zachodnie, polszczyzna, zrobiły tu już wyłom ogromny, ale to wyłom jeszcze tylko. Na zamkach najpotężniejszych ruskiéj krwi kniaziów — Ostrogu i Dubnie, panują przedstawicielki poloru najwyższych sfer ówczesnego możnowładztwa polskiego — Kościelecka i Tarnowska; sfery dworsko-królewskiéj prawie, książe Konstanty na Ostrogu wychowuje synów swych świadomie na Polaków czystéj wody; ale sam zawsze jeszcze, w przystępach swéj wielce zmiennéj fantazyi wielkopańskiéj, bawi się w przyrodzonego obrońcę i głównego przedstawiciela tradycyi ruskiéj starożytnéj, wznosi grecko-słowiańską akademię w Ostrogu, drukuje tam Cyrylską biblię itd. Chwyta się oburącz nowin, wdzierających się z Zachodu i znaczna część możnych rodów szlacheckich, które wzniosą niebawem, wobec ortodoksalnéj ostrogskiéj, akademie socyniańskie — nauki „Braci polskich" — w Kisielinie, Hoszczy, Lachowcach. Ale masa ziemian trzyma się jeszcze twardo obrządku cerkiewnego.

Na Podolu tymczasem zupełnie inaczéj. Zanim unia Lubelska przyłożyła ostatnią pieczęć na formalném przez Litwę przyznaniu należenia téj krainy do Korony, była ona faktycznie więcéj już od stulecia koronną. Przeważały tu już porządki polskie, prawo polskie, język polski, a nawet żywioł polski w klasie przewodniczącéj, ze krwi w znacznéj części polskiéj lub dawniéj jeszcze na Rusi czerwonéj spolszczonéj. Ulegają téj przewadze i obce tu dawniéj zapadłe kaukazkie żywioły: Ormianie, Czemerysy (Kabardah).

Chyba tylko może bojarsko-ziemiańskie osady przy zamkach kresowych trzymają się jeszcze zamierzchającego tu obyczaju.

Odpowiedni temu stan cerkwi i duchowieństwa.

Na Wołyniu cerkiew wschodnia górą, innowierców do czasu ruchu reformacyjnego na Zachodzie tutaj mało. Prawdziwe to ognisko starego błahoczestia, mocniejsze może niż sam Kijów, a cóż Lwów dopiéro. Aż dwa tu władyctwa, w Łucku i Włodzimierzu, a każde z nich bogate, w dobra zamożne. Dobra te zbite razem z osobna (Różyszcze, Kupieczów itd. itd.) to małe księstwa, mogące same stawić czoło przeciwnikom. A monastery czerńców— Żydyczyn, Dermań, to także przedstawiciele znacznych włości.

Biskupstwo łacińskie łuckie, już dostatnio samo uposażone (Torczyn), skromnie jeszcze przy tamtych wygląda. Nie ma ono na Wołyniu dosyć jeszcze wiernych; siłę dyecezyi stanowi właściwie przysądzone Łuckowi Podlasie z jego rojną szlachtą mazowiecką. Tu zaś trzyma się obrządku łacińskiego chyba przeważnie rzemieślnik miejski, przybysz z zachodu.

Co za różnica na Podolu! Tam nawet osobnego władyctwa nigdy nie było i teraz nie ma. Obrządkowi wschodniemu brakuje tu właściwego ogniska. Stolica eparchii, do któréj Podole należy, niegdyś w Haliczu, obecnie w oddalonym Lwowie. Ani monasterów znacznych, ani dóbr duchownych tu dopatrzéć. Otóż i przeciwdziałanie podbojowym wpływom łacińskiego obrządku słabsze tu pewnie niż gdzieindziéj. Za to obrządek łaciński postawiony w warunkach najpomyślniejszych. Biskupstwo kamienieckie uposażone już dobrami, wyrównywającemi latyfundyom magnackim. Włości Czarnokozińce, Ujście i Czercze w najlepszéj ziemi położone. A klasztory—Dominikanów (w Smotryczu, Kamieńcu), jeszcze za Koryatowiczów i Swidrygiełły suto obdarzone! Było zkąd tedy podtrzymywać i materyalnie zaszczepiony tu oddawna katolicyzm, oraz popiérać pochód onego podbojowy, tyle obfity w następstwa.

Nie ma wątpliwości, że odpowiednio warunkom tym podstawowym zewnętrznym, rozwijała się i rozwinęła się była różnica i saméj kultury umysłowéj, obyczajowéj, jedném słowem różnica cywilizacyi Wołynia a Podola. Pod tym względem dość byłoby tu poprzestać na uwadze ogólnéj, szerokiéj, wskazując przedewszystkiém na same źródła, zkąd wybuchały wtedy prądy ożywcze, wywołujące coraz to nowe, wyższe formy uspołecznienia. Źródła te jako bezpośrednie, były dla Wołynia a Podola zupełnie inne, tak co do rodzaju jak i co do stopnia siły. Zdawałoby się, nie potrzebujemy dziś chyba wdawać się w głębsze wywody, aby miéć prawo do postawienia z góry tezy, że cywilizacya ówczesna łacińska, będąca udziałem wszystkich ludów zachodniéj Europy, była wyższą od kultury wschodniéj, byzancko-cerkiewnéj. Pierwszą unosiły już takie prądy, jak humanizm i poryw reformacyjny w całym onego rozpędzie, gdy druga, po upadku Konstantynopola, straciła była nawet tradycyjne swe ognisko. Każda z cząstek świata słowiańskiego, trzymającego się cerkiewnego obrządku, uczuła się teraz odosobnioną, przodujące im niegdyś bułgarstwo, samo zamiérało, a wobec niego i kultura litewsko-ruska traciła resztki zaczynu żywotnego, jeśli naprawdę posiadała kiedy jaki. Widoma stąd wyższość położenia Podola pod tym względem nad położeniem Wo-

łynia. Podole bardziéj bezpośrednio brało udział w tyle ożywionym już wtedy ruchu małopolskim, a względnie biorąc i ogólno-europejskim; gdy Wołynie poczynało go brać pośrednio tylko. Nie przeczymy—rychło tu, przy nowych warunkach po unii, mogło nastąpić zrównoważenie się, ale dotychczas jeszcze go nie było; w prędce zaś Podole, trzymające się mocniéj katolicyzmu, dało się nawet prześcignąć Wołyniowi, porwanemu ideałami racyonalizmu socyniańskiego, ale było to na krótko tylko.

Niewątpliwie też odpowiednia różnica między Wołyniem a Podolem istniała wtedy i pod względem społeczno-ekonomicznym.

Sama różnica topograficzna tych dwóch ziem, różnica gleby, klimatu i tego co za tém idzie, wywoływały i podtrzymywały inny rodzaj gospodarki na ich obszarach. Gdy w pasie północnym Wołynia, na jego Polesiu, mocniéj może niż dziś zaludnionêm, trzymał się tryb, który jednym zbiorowym wyrazem „myśliwskim" nazwać byśmy mogli; na południu Podola, nieporównanie mniéj niż dziś zasiedlonego i narażonego na ciągłe najazdy koczowników, mógł się opłacać tylko system pasterski, wypasowy. Lecz w jądrze jednéj i drugiéj krainy, od zachodu, przeważał już porządek gospodarki rolnéj. Na ile ona była bardziéj postępową, tu czy tam, na ile z drugiéj strony obciążała, dociskała więcéj ludność wieśniaczą, roboczą, niepodobna tego dziś należycie określić—brak nam dokładniejszych danych statystycznych. To jedno pewne, że gospodarka ta była tu i tam różną.

System folwarczny wprawdzie znany już jest w obu ziemiach zarówno. Widzimy folwarki przy zamkach królewskich tak Podola jak i Wołynia, tak przy Kamieńcu jak i Łucku: królowa Bona prowadziła gospodarkę postępową równie w Krzemieńcu jak i Barze. Nie mogłyż iść z tyłu pod tym względem dobra biskupie i klasztorne.

Gospodarka kmieca znajdowała się jeszcze w obu krainach zarówno w stanie przejściowym. Na Podolu za jednostkę gospodarczą przyjętym już został powszechnie łan albo raczéj ½ onego—dym; ale na Wołyniu, obok podobnéjże normy, spotykamy jeszcze jako podstawę gospodarki wieśniaczéj—włókę, dworzyszcze, a nawet litewską „służbę", również przepołowione, choć częstokroć jeszcze pełne. Mimo asymilowania ich wobec poboru, są to jednak różne normy faktycznie, przy których mogła się utrzymywać miejscami i dawna gospodarka zbiorowa, z połownikami itp. Stare „służby" spotykamy jeszcze w dobrach duchownych: monasteru Żydyczyń-

skiego i biskupstwa łuckiego (Choteczowie). Dworzyszcza przeważniéj na Polesiu: w dobrach tak biskupstwa łuckiego (Torczynie) jak i władyctwa włodzimierskiego (Kupieczowie), oraz w księstwach— Stepańskiém i Zwiahelskiém, do rodu Ostrogskich należących, nadto w Klewańszczyznie Czartoryskich (w Sarnach), gdzie znajdujemy na 16 dworzyszcz, dymów 50. Włóki spotykamy w krzemienieckiém. Uderza téż nieraz i plątanina różnych norm w tychże włościach: tak dworzyszcza, włóki i dymy razem spotykamy w Kowlu, Ołyce, Beresteczku. Przeważa jednak już i na Wołyniu norma dymów pół-łanowych.

Przy różnym pochodzie zmian ekonomicznych, gdzie tu kmieć był bardziéj obciążonym?—niepodobna ściśle wyważyć.

Na Podolu lepiéj znamy jego powinności z owéj epoki w królewszczyznach. Największe tu możliwie urozmaicenie opłat, posług i ciężarów. W starostwach kamienieckiém i latyczowskiém większość kmieci siedzi na czynszach, są zaś tacy, którzy „nic nie dają, tylko robią, co im każą do zamku"; są téż wsie królewskie, które „czynszu żadnego nie dają, ani robią, tylko na służbie siedzą zamkowéj", od któréj wszakże odkupić się wolno; spotykamy tam i kmieci swobodnych na „woli" siedzących. Po mału jednak, a niepostrzeżenie podnosili już starostowie ciężary i królewskich włościan.

Nie powinno było być gorzéj od królewskich poddanym dóbr duchownych, a może i wielkopańskich włości. Choć inaczéj wcale mogło się już dziać w dobrach prywatnych.

Na Wołyniu obciążenie wieśniaka szło również naprzód, ale powolniéj i przy innych danych poprzedniego obyczaju. Prawo, to jest statut 1566 r., tak zw. „Wołyński", zrobiło było już krok wielki w kierunku zbliżenia ku porządkom zachodnim. O ile z jednéj strony podniosło ono znaczenie czeladzi niewolnéj, dworskiéj, o tyle skrępowało bardziéj klasę najliczniejszą—włościan poddanych, którzy teraz już utracili i prawo własności ziemskiéj. Co więcéj jeszcze, zagarnięte zostały do liczby ludzi stanu poddanego i pewne warstwy, używające dotąd praw powszechnych na równi z innemi klasami wolnemi (bojarowie pancerni). Ale faktycznie prawo to nowe nie miało czasu jeszcze dać się uczuć w swych skutkach. Inwentarz (najstarszy z dotąd wydanych) majątku prywatnego Zaborowa w powiecie Łuckim, z tegoż 1566 r., nie prredstawia jeszcze ani podziału ziemi na określone cząstki, ani podziału włościan na klasy, ani ścisłego określenia powinności; są tylko wyliczeni włościanie i podana ilość bydła roboczego. Nakazuje on tylko, że włościanie „na robotę powinni słuchać, jak rozkażą", nadto zaś da-

wać po macy owsa od wołu. Inne zaś najbliższe temu, co do czasu, inwentarze świadczą jeszcze o porządku dworzyszczowym, o którym Podole dawno widać zapomniało.

Nie naszém tu zadaniem przedmiot ten wyczerpywać—dla pobieżnéj paralelli dość i tego: a chociaż paralella ta jest zbyt doraźną, sądzimy przecie, iż da ona wyraźniejsze pojęcie o tém, do jakiego stopnia różniły się między sobą dwie krainy bratnie—Wołynie i Podole, oraz ich społeczeństwa, w chwili ściślejszego zbliżenia się onych podczas Unii 1569 roku!

Aleksander Jabłonowski.

Daszów 20 czerwca 1888 r.





NAD HORYNIEM,

POWIEŚĆ. (*)

Przeszło trzy tygodnie.

W życiu Adama i Maryjki były one tą epoką, co przemija jak chwilka, a jak wiek się pamięta, tym najbarwniejszym kwiatem najsłoneczniejszéj pory, różą uczucia w życia maju.

Kiedy człowiek z biegiem czasu zerwie cierpki, choć pożywny owoc zawodów — doświadczenie, kiedy zbierze ów plon rozczarowań, zwany trzeźwym sądem o rzeczach, wtedy zaczyna zwykle przesadzać na czarno, jak przesadzał przedtém na różowo, nazywa szałem, gorączką, chorobą, uczucie, które niegdyś wydawało mu się najdroższą perłą w koronie młodości. A słuszność pośrodku. Miłość nie jest wprawdzie najszczytniejszém uczuciem, jakiém młode serce bić może, bo w niém bywają pragnienia szlachetniejsze nad chęć pozyskania osobistego szczęścia, porywy zapału do wznioślejszych celów, przywiązania szersze i wspanialsze; lecz nie jest też ona chorobliwém zjawiskiem, przeciwnie, stanowi objaw zdrowéj żywotności natury młodzieńczéj, dlatego, że właściwą jéj istotą jest dążenie do utworzenia rodziny, tego pierwszego kamyka w budowie ludzkości.

Samotnik czuje się luźną, niby oderwaną cząstką społecznéj całości i bywa zwykle zasklepionym w sobie samolubem, albo zgorzkniałym mizantropem; człowiek zaś mający rodzinę, przez nią i dla niéj kocha i to, co po za nią, cały ten łańcuch społeczny, którego ona jest najpierwszém ogniwem. Główna więc pobudka wewnętrzna, najczęściéj nieświadoma, popychająca jedno serce ku drugiemu, to chęć ściślejszego zjednoczenia się z ludzkością, zajęcia

*) Ob. zeszyt sierpniowy „Ateneum“, str. 202, i wrześniowy str. 413.

w niéj poważnego i użytecznego stanowiska. Lecz jest w tém jeszcze druga ukryta sprężyna: człowiek przywiązuje się do swego doczesnego bytu, chociaż nań ciągle wyrzeka; przeraża go myśl końca i chciałby, ile się da, przedłużyć swoje ziemskie istnienie; że zaś potomkowie są jakby dalszym ciągiem przodków, więc zachowanie w bycie choć jakiejś cząstki samego siebie przez przelanie w nich czegoś ze swojéj natury, jest jeszcze bezwiednym celem, kryjącym się w głębi pociągu do zawiérania związków rodzinnych.

A prócz tych dwóch głównych pobudek, wywołujących popędy serca, są jeszcze inne, rządzące wyborem. Tak naprzykład poczucie piękna sprawia, że wybór pada na osobistość, posiadającą wdzięk i świéżość młodości, albo siłę i wyrazistość dojrzalszego wieku, instynkt zaś moralny zwraca sympatyę tam, gdzie widzi lub przypuszcza najbardziéj dla siebie pociągające przymioty.

Adam i Maryjka nie zastanawiali się nad tém, że wzajemny ich pociąg ku sobie jest tym instynktem, co ludzkość spaja i byt jéj utrwala, bo nawet u poważnie myślących ludzi uczucie idzie przed badającą je rozwagą; kochali tylko, poili się słodyczą swoich wrażeń i nie psuli sobie smaku tego boskiego nektaru, robieniem jego chemicznéj analizy. Dość im było na uszczęśliwiającém przeświadczeniu, że przedmiot miłości jest jéj godnym; co zaś stanowi istotę miłości, było im obojętném, zasadnicze pobudki, które ją nieświadomie wywołują, pozostają zwykle nieświadomemi dla zakochanych póki kochają, tak jak podziwiający piękną kobiétę nie zastanawia się, patrząc na nią nad anatomią jéj organów i fizyologią ich funkcyi.

Przez całe trzy tygodnie byli szczęśliwi tém szczęściem doskonalszém, niż je najpomyślniejsza rzeczywistość dać może, szczęściem przyszłości—nadzieją. Podsycały je owe szczegóły tak drobne, a przecież tak pełne treści, których czar nieśmiertelny wiecznie we wspomnieniu żyje, i całą siłą woli zabić się nie da, nawet wtedy, gdy z rozkoszy staną się boleścią.

Co wieczór Maryjka, ułożywszy się na noc w swojém białém gniazdku, wpatrzona przymkniętemi oczyma w blady płomyk nocnéj lampki, widziała wśród powiewnych mar, przesuwających się między snem a czuwaniem, malowane tęczą obrazki z dnia ubiegłego: jakiś kwiatek dany lub wzięty, jakieś wymowne spojrzenie, przelotny uścisk drżącéj wzruszeniem ręki, słówko dźwięczące jak śliczna piosenka, przytłumione lecz dosłyszane westchnienie, myśl niewymówioną lecz odgadnioną, i zasypiała jak dziecko ukołysane cudowną baśnią niani, uśmiechając się do tego jutra, które będzie jak wczora.

Co wieczór Adam wracał przez ługi do siebie rzeźwym, elastycznym krokiem człowieka zadowolnionego, i patrząc w mrok nocny przed siebie, widział w nim swój dom przyszły, wesoły, czysty, ciepły, a w nim wdzięczną istotę, spełniającą te wszystkie obietnice szczęścia, jakich dziś dla niego miała pełne oczy.

I było to tak dobrze, że prawie lepiéj nie chcieli; zgodziliby się chyba na to, żeby im jaka wróżka na sto lat stan obecny zaklęła. Ale czas nie stoi.

Zbliżał się dzień imienin hrabiny. Obchodzono go co roku zabawą świetną, chociaż zgromadzającą tylko niezbyt liczne grono wybranych. Na kilka dni przed wieczorem, pani Nina, zajęta obmyślaniem swojéj tualety, wspomniała coś o tém Adamowi. Ten zaczął trochę żartować z jéj przejęcia się ważnością kwestyi.

— Ale bo dla mnie — tłómaczyła się — kwestya ubrania jest kwestyą sztuki. Przecież to ważna gałąź artyzmu, ta umiejętność dobrania stroju do rodzaju powierzchowności, tak żeby mile uprzedzał oko do osoby, z którą tworzy harmonijną całość. Któżby się gniewał na najpiękniejszy poemat, za to, że jest pięknie ilustrowany?

— Dla mnie — odparł Adam — najprostsza suknia jest zawsze najładniejszą, bo uwydatnia pierwszy przymiot kobiéty, skromność. A nawet estetycznie rzecz biorąc, prostota jest piękniejszą niż przepych.

— Więc pan może pochwala wieczorki wełniane?

— Naturalnie.

— *Quelle horreur*! wełniana suknia do tańca, to dysonans estetyczny!

— Podług mnie, to hymn pochwalny na cześć zdrowego rozsądku i ekonomicznych pojęć ubranéj w nią kobiéty.

— Jakbym też ja wyglądała w kotylionie w kaszmirowéj sukni.

— Jak kobiéta, która suknię zdobi, nie zaś sama przyozdobienia potrzebuje; a także, jak osoba rozumiejąca obecne położenie kraju i korzystająca ze swego stanowiska, aby świecić nie atłasem i brylantami, ale dobrym przykładem.

Hrabina zamyśliła się głęboko. Nie wiele ją obchodziła sama treść jego na rzecz poglądów, ale zastosowaniem się do nich chciałaby mu się przypodobać. Szukała więc sposobu pogodzenia ekonomiki z wytwornością stroju, i znalazłszy go, rozpromieniła się radośnie.

— Przyznaję panu słuszność—rzekła — i dowiodę właśnie, że pański sposób widzenia trafia do mego przekonania: oto, nietylko

sama wydam na moję tualetę mniéj nawet niż na zwykłą suknię wełnianą, ale jeszcze podam odrazu sposobność do tego wszystkim zaproszonym paniom. Niech pan słucha i podziwia genialność pomysłu: zapowiadam wieczór kostiumowy!... a co?

Roześmiała się z dziecinném rozradowaniem.

— Wieczór kostiumowy—mówiła daléj— to rzecz prześliczna, to nowość i artyzm i pańska ekonomika razem!

— Nie mogę zrozumiéć — odrzekł —co na tém ekonomika zyskać może?

— O gruba, ciemna, prawdziwie męzka nieznajomości rzeczy! przecież na wsi taki improwizowany kostium robi się z *n'importe* jakich szyfoników, z resztek materyi i kawałków koronki, a nic nie kosztując, wygląda prześlicznie, jeśli trafnie obmyślany i dobrze włożony. Gust i pomysłowość są tu wszystkiém, a pieniędzy trzeba tylko na drobne dodatki.

Tego wieczoru Adam miał więcéj niż zwykle czasu i sposobności do rozmawiania z Maryjką, bo pani Nina, roztargniona i zamyślona poważnie, przeglądała z całém skupieniem ducha dzienniki mód i ryciny jakiejś książki francuskiéj, a kombinacye efektów tualetowych pochłonęły nietylko myśl jéj, lecz nawet serce, bo sam Adam istniéć dla niéj przestał, chociaż dla niego głównie chciała wystąpić w całéj świetności swoich wdzięków.

Przy końcu wieczoru, odetchnąwszy jak uczony badacz po rozwiązaniu jakiejś zawiłości, powierzyła wszystkim obecnym pod najściślejszym sekretem, że będzie miała kostium „*Marquise de Pompadour*“. Hrabia skrzywił się na to, ale bezskutecznie; piękna pani była w królestwie stroju tak nieograniczoną panią, że nawet w pierwszych czasach pożycia zdanie męża nic nie znaczyło w téj wyłącznie do niéj należącéj sferze.

Nazajutrz otwarto wszystkie składy starych rodzinnych pamiątek, a dobyte z kufrów lamy i adamaszki zamigotały złotem i różnobarwnemi haftami w wesołém świetle poranku. Wybrawszy co potrzeba i obliczywszy czego brakuje, hrabina oświadczyła z głębokiém przekonaniem, że wieczór kostiumowy jest niezaprzeczenie najtańszą z zabaw, bo drobne dodatki do jéj tualety nie będą kosztować więcéj niż kilkadziesiąt rubli.

W dzień imienin, nim goście zjeżdżać się zaczęli, Maryjka już na wieczór ubrana, zeszła do salonu, aby obejrzéć czy wszystko w porządku. Strój, który sobie wybrała, był odświętném ubraniem ukraińskiéj dziewczyny: więc czerwona spódniczka, krótka a fałdzista, trzy razy galonem oszyta, biała koszulka, u szyi i ramion suto wyszywana, na piersiach sznury korali, granatów i bursztyn-

nów, na głowie, dokoła wysoko w koronę upiętych warkoczy, dziewiczy wieniec ze świéżego barwinku, zakończony powiewnemi wstążkami żywych kolorów. Ubiór ten ślicznie uwydatniał zdrową świéżość cery i wspaniałą proporcyę kształtów, a szlachetna prostota téj wykwintnéj chłopki harmonizowała z nim doskonale, idealizując go zarazem.

Maryjka nigdy jeszcze tak ładną nie była. Pod gładko rozczesanemi włosami i koroną z ciemnéj zieleni jéj szerokie, prawidłowo rozwinięte czoło świéciło wyrazem pięknéj dumy, nie téj zimnéj, wzgardliwéj, urodzonéj z cudzéj zasługi, co marmurowym chłodem owiéwa blade oblicze cór królewskich, ale téj dumy córy ludu, która oparta na godności własnéj, jest sprawiedliwém poczuciem osobistéj wartości.

Szczere jéj oczy, odbijające myśl każdą, każde uczucie, jak toń czysta odbija obłoki, miały od niedawnego czasu jakiś wyraz niby błogiego rozmarzenia. Spojrzawszy w nie uważnie, psycholog orzekłby z matematyczną pewnością, że ta kobiéta kocha i jest kochana. Usta rumiane i świéże, jak poziomki, układały się w lekki półuśmiéch łagodności i zadowolenia, a na licach kwitły róże skromności i zdrowia.

Wszedłszy do niebieskiego saloniku, Maryjka zbliżyła się do konsoli, na któréj stał w starożytnéj czarze duży bukiet z cieplarnianych kwiatów i rozwiązawszy go, zaczęła układać inaczéj. W téj chwili przybył najpierwszy z gości Adam, i zbliżywszy się do kwiaciarki, objął ją spojrzeniem, które chłonęło chciwie wszystkie szczegóły wdzięcznego obrazka.

— Patrz pan — rzekła, powitawszy go dziewczyna — robię rewolucyę w bukiecie. Nie lubię tego sposobu układania kwiatów, który despotycznie zaciéra ich naturalną swobodę. Z kwiatów jak z kamieni budują piramidy, ściskają wiotkie łodygi w zbitą bryłę, kolory układają w regularne desenie jakby pstréj tkaniny, i myślą, że udoskonalili naturę, zastąpiwszy jéj swobodną harmonię tyranią przesadzonéj symetryi. Chyba tak będzie i piękniéj i sprawiedliwiéj — dodała, unosząc w górę snop kwiatów, które związała leciutko, aby rozchylały swobodnie wonne główki na boki. — Teraz to już wolna rzeczpospolita kwiatowa... Ale pan nie patrzy wcale na moje arcydzieło?

— Oddaję sprawiedliwość arcydziełu pani, lecz wolę napawać się widokiem arcydzieła bożego — odrzekł, nie odrywając od niéj wzroku. — Czyż cały ten bukiet może równać się z jednym moim kwiatkiem najśliczniejszym?

Ujął obie jéj ręce, nie zważając, że wszystkie kwiaty rzęsistym deszczem rozsypują się dokoła, a gdy najśliczniejszy jego kwiatek zarumienił się śliczniéj jeszcze, a odurzająca woń gardenii i róż herbacianych uderzyła mu do głowy, zapomniał co mu wolno a co nie wolno, i nagle objąwszy obu rękami wysmukłą kibić w biały rąbek batystu owitą, z gwałtowném uniesieniem przyciągnął dziewczynę do siebie. Maryjka nie cofnęła się. Najmocniejsi, tak samo jak najsłabsi, miewają chwile zachwiania się równowagi, bo nie byłoby bohaterów, gdyby walk nie było. Nie cofnęła się, tylko oczy zasłoniła rękami, i chyliła ku niemu głowę, jakby chcąc zawstydzenie swoje ukryć na piersiach ukochanego. Lecz trwało to ledwo jedno oka mgnienie; uczuwszy gorące tchnienie na swojéj skroni oprzytomniała nagle, i wyrwawszy się przemocą z garnącego ją objęcia, cofnęła się szybko o parę kroków.

Była teraz bardzo blada, a oczy jéj pociemniały i błyszczały całém skupieniem wewnętrznego ognia. Przetarła je mocno, jak ktoś co się gwałtem wytrzeźwia z sennego obezwładnienia, i znów podniosła w górę czyste czoło, znów czuła się potężną monarchinią w najwspanialszém królestwie, w jakiem dano jest panować człowiekowi,—panowała nad sobą.

Adam spojrzał na nią wzrokiem podziwu, ale rzekł z lekkim odcieniem niechęci:

— Moja pani ma chyba w sercu zimną wodę...

— Nie—odparła;—mam w niém kozaczą krew płomienną... ale mam téż i żelazną moc kozaczą...

Krótka ta scena miała świadka. Panna Helena była właśnie w cieplarni, gdzie wybierała kwiaty do swego stroju, a usłyszawszy w saloniku głosy Adama i Maryjki, przyczaiła się w palmowym klombie jak pantera, i patrzyła bystrym wzrokiem z za liściastéj gąszczy przez kryształową szybę.

Panna Helena czuła zawsze dla Maryjki ten rodzaj niechęci, jaki w podobnych charakterach wzbudzają osoby posiadające przymioty wprost przeciwne ich wadom. Niechęć ta przeszła w nienawiść, od czasu gdy się dowiedziała, że Janusz przeniósł nad nią tamtą, i to bez żadnych zabiegów z jéj strony, tak że nie mogła nawet sobie na pociechę oskarżać ją o odciągnięcia go intrygami i zalotnością.

Co się tycze Adama, ten był jéj zrazu obojętnym, a późniéj nabrała do niego antypatyi, za to że kochał tę, którą ona chciała widzieć nienawidzoną.

Stosunek kochającéj się pary jéj jednéj w całym domu był wiadomy, dla tego że ona jedna podglądała ich i podsłuchiwała,

a także dla tego, że posiadała dziwnie bystry i wyćwiczony zmysł spostrzegawczy. Miała upodobania i talenty ajenta szantażu; cudze tajemnice były dla niéj dziwnie łakomym kąskiem, i to nie dla kobiecéj ciekawości jedynie, lecz z wyrachowania, że się jéj kiedyś na cokolwiek przydać może każda taka ukryta sprężyna czyjegoś serca. Ciągle na czatach pilnéj obserwacyi, zauważała wszystkie drobne szczegóły wymykające się innych oczom i uszom, zbierała je skrzętnie i układała systematycznie w pamięci, a z tego materyału wysnuwane wnioski miały zwykle tę ścisłą pewność, jaką się odznaczają wszystkie na empirycznéj metodzie oparte wywody. Nad wyprowadzaniem tych wniosków nie potrzebowała się mozolić; gdy już materyał był gotów—wychodziły z niego same, z szybkością i pewnością tego bezwiednego kombinowania (*cérébration inconsciente*), które pospolicie nazywają intuicyą, a którém tak często obdarzone są inteligentne kobiety. Nieraz uczony myśliciel długo się mozoli nad wytłómaczeniem jakiéj życiowéj zagadki, a zwykła kobieta rozwiąże ją w jednéj chwili, bo tamten szpéra w prawidłach logiki i psychologii, a ta trzyma ciekawy paluszek na ciepłém tętnie rzeczywistości.

Intuicya panny Heleny rzadziéj ją w błąd wprowadzała niż intuicya innych kobiet, bo wzruszenia i uczucia nie wpływały na nią. Panna Helena trzeźwo na wszystko patrzyła zimnemi oczyma, a potém jeszcze wnioski swoje poddawała ścisłéj krytyce rozumowania, dla tego myliła się w nich bardzo rzadko. I ona wprawdzie przerachowała się parę razy w życiu, a zawody jéj były gorzkie; ale i z nich umiała korzyść wycisnąć, bo pozyskaną naukę doświadczenia doskonale późniéj zastosowywała.

Obecnie, zbadawszy charaktery, skłonności i usposobienia otaczających ją osób, czytała im prawie w myśli, i wiedziała jaka u kogo struna jest tak naprężona, że dość ją umiejętnie trącić, aby żądany dźwięk wydała. Patrząc przez szyby cieplarni jak młoda para po krótkiéj burzy znów w najlepszéj zgodzie zbierała rozsypane kwiaty, a Adam całował paluszki podające mu gardenie i róże, obrachowywała w myśli, czy struna miłości w sercu Maryjki jest już tak naciągnięta, aby szarpnięcie jéj było równie bolesném, jak to wszystko co jéj zraniona miłość własna wycierpiała przez tę dziewczynę. Zemsta nad Januszem mniéj była jéj upragniona; Maryjkę więcéj od niego nienawidziła, ponieważ należała do gatunku tych kobiét, które, jeśli zdradzone—ważą się na morderstwo, to zabijają rywalkę nie uwodziciela; mają one więcéj pychy niż namiętności, więc ta, która je przewyższyła, jest im bardziéj nienawistną, niż ten który je opuścił.

Zresztą, wiedziała że życie Janusza i bez jéj współudziału jest dostatecznie ciężkiém, i to ją zadowolniało; Maryjka zaś była szczęśliwą, kochaną, pełną nadziei, więc ją przedewszystkiém pragnęła widziéć wypędzoną z tego raju.

Środki do urzeczywistnienia jéj chęci zdawały się jéj już teraz gotowemi; czekała cierpliwie, i doczekała się nakoniec takiego składu okoliczności, że jak mniemała, dość było kilku zręcznych w porę rzuconych słówek, aby w żądany sposób pokierować wszystkiém.

Układając w myśli rozmaite kombinacye dyplomatyczne, jednocześnie z całą przytomnością umysłu dobierała kwiaty, i w doskonałym humorze poszła się ubierać. W parę godzin póżniéj wśliznęła się do salonu; nie odbywała zwykle ceremonialnego wejścia innych pań, wiedząc że drobna jéj figurka nie wywoła przy tém żadnego efektu; więc spostrzegano ją zwykle już krążącą wśród zgromadzonego towarzystwa, nie wiedząc jak i kiedy się zjawiła.

Goście byli już prawie wszyscy zebrani. Kostiumy odznaczały się wielką rozmaitością; kilka było bardzo ładnych, parę zbyt ekscentrycznych, jeden przesadny i trochę śmieszny. Panna Helena na przekór swojéj nikłéj postawie, zwracała oczy jaskrawością stroju. Miała kostium cyganki, fantastyczny i nawet bogaty, ponieważ materyał nań znalazł się w szafach hrabiny. Duży szal turecki w deseń wzorzysty na tle żółtém obrzucał postać całą zręcznie upiętą draperyą, z któréj wynurzały się ręce po za ramiona obnażone, oplecione złotemi wężami powyżéj łokcia. Krucze włosy niby splątane bezładnie, kręciły się bujnemi zwojami po obu stronach twarzy, przytrzymane na czole opaską z cekinów, takaż opaska przewiązywała fałdy szala poniżéj biustu, starożytny kindżał tkwił za nią, na piersiach brzęczały kosztowne świecidła, a pęk egzotycznych kwiatów, niedbale rzucony przez lewe ramię, przepychem barw odpowiadał strojowi. Z hebanowéj oprawy kędziorów widać było małą tylko część twarzy, ale z za warg jak krew czerwonych przebłyskiwały białe ostre ząbki, oczy płonęły jak zarzewie pod rzęsami i brwiami jak węgiel, a niektórzy panowie, ci zwłaszcza którzy potrzebowali pieprznych przypraw dla zaostrzenia apetytu, znajdowali, że panna Helena jest dziś *„d'un piquant exquis"*.

Cyganka oznajmiła, że jest biegłą w chiromancyi, i prześlizgiwała się od grupy do grupy z wróżbami, a różowe dłonie wysuwały się ku niéj skwapliwie z jasnych rękawiczek, ciekawe uszka chłonęły jéj słowa chciwie, bo każda kobieta, choćby wyjątkowo nieprzesądna wcale, musi lubić choćby dla żartu gusła i proroctwa, takie nawet jak panny Heleny, któréj nie można było posądzać o po-

siadanie jakichś egipskich tajemnic. Panna Helena wróżyła jak najautentyczniejsza cyganka. Z dłoni przenosiła co chwila ukradkowe, przenikliwe spojrzenie na twarz słuchającéj, i z wyrazu jéj odgadując, które słowo zrobiło wrażenie, na tém tle snuła daléj, a niejedna z pań zdumiona była trafnością, z jaką coś odgadła z jéj przeszłości, albo prawdopodobieństwem przepowiedni, w któréj widziała jaką ze skrytych swoich obaw lub nadziei.

Przed samém rozpoczęciem tańców drzwi od apartamentów hrabiny rozwarły się szeroko, i pani Nina zajaśniała w nich olśniewająca jak smuga światła, gdy nagle wpadnie przez okno za odsunięciem firanek. Wersalskie komnaty nie powstydziłyby się téj gwiazdy migocącéj dystynkcyą, finezyą i wytwornym wdziękiem dam siedmnastego wieku, których strój przybrała. Składał się on z sukni *à paniers* o wysmukłym staniku, z blado liliowéj połyskującéj tkaniny, haftowanéj w bukiety dobranych kolorów. Śmiałe wycięcie stanika obrzucały przezrocza kosztownych koronek, przepięte splotem heliotropu osypanego brylantową rosą, a wśród upudrowanych, wysoko spiętrzonych pukli, drżała blaskami najczystszéj wody wielka gwiazda brylantowa. Lecz jaśniéj od niéj świeciły głębokie oczy, upajających tajemnic pełne, a leciutki uśmieszek, niby namiętny, niby kapryśny, niby figlarny, opromieniał delikatną twarzyczkę tym czarodziejskim urokiem, który wielkich monarchów trzymał pod maleńkim pantofelkiem, za czasów kiedy kobieta była tylko boginią miłości i wykwintném cackiem.

Zabawa szła ochoczo, bo do ożywienia jéj przyczyniały się kostiumy, urozmaicając program tém, że każda z pań przybierała sposób bycia odpowiedni do przedstawianego strojem czasu lub stanu. Więc pasterki były sentymentalne, kwiaciarki zalotne, hiszpanki romansowe, bez trwogi przed krytyką, która nie miała prawa zarzucać im, że dobrze grają swoje role. Jedna tylko hrabina była dziś złą aktorką, bo zamiast otaczać się tłumem hołdowników, bawiąc się każdym a nie wyróżniając jawnie żadnego, jak to zawsze robiła, i jak na przedstawianą przez nią postać przystało, była tak wyłącznie i tak widocznie zajętą Adamem, że już złośliwe uwagi zaczęły krążyć za wachlarzami dojrzałych panien i przejrzewających mężatek. Te panie gorszyły się tém głównie, że pani Nina *s'est entichée d'un petit jeune homme de rien du tout*, i nie mogły sobie wytłómaczyć, jakim sposobem zeszło aż na to takiéj, która po kilku na raz zwodziła, nic sobie nie robiąc z żadnego, i która nawet w chwili skłonności dla jednego, dzieliła się na dwoje i troje, gdy się drugi i trzeci nawinął, bawiąc się najlepiéj doprowadzaniem pierwszego do rozpaczy.

Adam probował unikać pięknéj pani, ale nie mógł tego dokazać, bo mu się prawie narzucała, a nie chciał publicznie być dla niéj niegrzecznym, albo ściągnąć na siebie podejrzenie, że się boi męża. Po krótkim więc oporze dał za wygranę, i wtedy ci wszyscy, którzy nie wiedzieli, że jego uprzejmość jest tylko zdawkową monetą odczepnego, byli pewni, że młoda para jest już z sobą na stopie zupełnego porozumienia.

Maryjka nie wiele z Adamem tańczyła i rozmawiała, bo skarbiec jéj uczuć, zamknięty nawet przed oczami domowników, tém bardziéj przed szerszą publiką nie robił z siebie wystawy. Nie mniéj przeto nigdy się jeszcze tak dobrze nie bawiła jak na tym wieczorze.

Tańcująca zabawa pospolitemi swemi warunkami zadawalnia w zupełności tylko bardzo młode istotki, którym się jako nowość podoba, albo kobiety próżne i zalotne, znajdujące w popisie i tryumfach największą przyjemność towarzyską. Ale te, co sobie niewiele robią z błyszczenia przed światem powierzchownemi zaletami, potrzebują żywszego jakiegoś interesu w zabawie, aby je mocniéj zajęła; najżywszym zaś bywa obecność na wieczorze kogoś takiego, co jest osią w koło któréj wszystko inne się obraca. Wtedy dopiero zwykłe warunki balowe,—rozmarzająca melodya, estetyczne dekorum, wir tańca, gwar wesoły, podniecają do wysokiego stopnia przyjemność znajdowania się blizko siebie, zamienienia uścisku dłoni, spojrzenia, uśmiechu, a tło feeryczne otacza tę wymianę uczuć niezwykle poetycznym urokiem.

Ale jak każdy w świecie fizycznym oświecony przedmiot musi cień rzucać za sobą, tak też każda w życiu przyjemność ma swoją ciemniejszą stronę. Tą było dziś dla Maryjki postępowanie Niny z Adamem. Nie dlatego, żeby się bała o jego stałość; nie, taka myśl ani przez chwilę w jéj głowie nie postała. Była przekonana, że kokieterya jest rzeczą niebezpieczną tylko dla liliputów moralnych, a co najwyżéj dla mężczyzn średniéj miary; że ludzie przerastający tłum pospolity nie ulegają jéj ponętom, bo na rzeczy niskie patrzą z wysoka. Jéj wybrany nie był zwyczajnym, małym człowieczkiem; dlatego go przecież wybrała i dlatego kochała, że się jéj zdawał wyjątkowym; była więc zupełnie o niego spokojna, nie przypuszczając aby ten olbrzym mógł uledz pokusie karzełków. Ale bolał ją widok takiego zapomnienia się Niny, jakiego jeszcze dotąd nie bywało; sądząc po sile symptomatów, temperatura wywołującego je uczucia zdawała jéj się być wyższą niż wszystkich dotychczasowych bałamuctw, i przerażała ją myśl, że hrabina może nakoniec pokochała prawdziwie, że zatém cierpiéć też kiedyś będzie praw-

dziwie, a do tego cierpieć przez nią, mimowolną rywalkę téj, któréj szczęścia pragnęła. Hrabia Janusz patrzył na żonę z dziwnym w oczach wyrazem, nie objawiającym ani zazdrości, ani gniewu, ale tak uparcie, że aż ona, pomimo skupienia całéj uwagi w innym kierunku, musiała to zauważyć, i zżymając się w duchu, jak znarowiony rumak na wędzidło, jeszcze widoczniéj robiła swoje—na przekór; a gdy w przestanku pomiędzy tańcami zobaczyła go idącego wprost ku sobie, ściągnęła brewki, i niecierpliwie poruszając wachlarzem z piór strusich, z wyzywającą minką czekała sceny małżeńskiéj, przygotowawszy się na odparcie despotyzmu stanowczą rewolucyą.

Ale hrabia, stanąwszy przed żoną, ukłonił jéj się ceremonialnie i poprosił uprzejmie o drugiego kontredansa. Ściągnięte brewki hrabiny podniosły się w górę ruchem zdziwienia: Janusz od lat kilku nie tańczył wcale, i przedtém nawet uważał za rzecz niestosowną tańczenie ze swoją żoną; zkądże mu się dziś wzięła do pląsów ochota i to z nią właśnie? przyszło jéj na myśl, że może chce co zatrzéć w oczach ludzkich pozorem dobréj harmonii małżeńskiéj, i z ironicznym uśmiechem skinęła główką przyzwalająco, a potém zwróciła się do Adama, kończąc rozpoczętą z nim rozmowę.

Między pierwszą a drugą figurą kontredansa, w czasie zmiany hrabia podając krzesło żonie—rzekł do niéj:

— Nie przypuszczasz zapewne, że tańczę dziś jak ów anglik *„pour tranchpirer“*, albo dla przyjemności dotknięcia twojéj rączki; wytłómaczę ci więc zaraz, dlaczego ośmieliłem się narzucić ci nie zabawnego tancerza. Oto, chciałbym pomówić z tobą poważnie i o ważnych rzeczach. Czas i miejsce na to obieram może nie zbyt właściwe, lecz sama zmuszasz mię do tego twojém dzisiejszém zachowywaniem się, które nie dozwala mi odkładać rzeczy na późniéj. Zresztą, w tańcu można prowadzić równie poufną rozmowę jak w ustronnéj altanie; wiész o tém bardzo dobrze.

— *Vous faites trop de préface*—odpowiedziała hrabina,—a ja opuszczam zwykle przedmowy; może więc przejdziemy do pierwszego rozdziału.

— Przechodzę; ale pierwéj muszę cię jeszcze zapytać, czy pozwolisz mi stawiać kropki nad *i*?

— Owszem, mów wyraźnie; nie jestem dziś w usposobieniu decyfrowania hieroglifów.

— Nie będę robić ci wyrzutów,—zaczął.

— Naturalnie,—przerwała żywo;—wszak sam mi kiedyś tak pięknie i obrazowo powiedziałeś, że ze mną to znaczy tyle, co rycie

stalą na wodzie; ja zaś dziś, jak wtedy, jestem tymże niepochwytnym żywiołem.

— Proszę cię—odparł łagodnie lecz stanowczo,—nie bawmy się w przycinki i dowcipkowanie. Otóż, jak mówiłem, nie dla robienia ci wyrzutów zwrócić muszę uwagę twoją na to, że jeśli komu podoba się afiszować swoję własną osobę, nie upoważnia go to jeszcze do wystawiania na afiszu czyjegoś nazwiska; ponieważ więc nie życzę sobie, żebyś jako moja żona nie tylko siebie lecz i mnie także kompromitowała, zatém proponuję ci rozdzielenie tego wszystkiego, co już i tak jest tytularnie tylko połączoném.

— Zechciéj postawić kropkę nad *i*: czy to ma znaczyć *séperation de corps et de biens*?

— Nie; dość już było półśrodków. Proponuję ci rozwód.

Piękna pani tak zawsze pewna siebie, zmieszała się przecież tym razem. Hrabia czekał odpowiedzi, lecz ona w milczeniu składała i rozkładała wachlarz, przypatrując się rzeźbom na perłowéj konsze oprawy. Druga figura kontredansa wybawiła ją z zakłopotania. Tańczyła machinalnie, probując zebrać myśli, rozpierzchłe jak stado lekkich chmurek po gwałtownym powiewie. Nieraz ona wprawdzie marzyła o rozwodzie, ostatniemi czasy zwłaszcza, lecz zawsze po swojemu, tylko w formie niedościgłego marzenia, jak lękliwe dziecko, któremu zachciewa się szybki z okna lub kafli z pieca, ale nie śmié wyciągnąć po nie rączki. Teraz więc, kiedy tak niespodzianie marzenie stanęło przed nią w formie prawdopodobieństwa, w ufryzowanéj główce powstało takie zamieszanie, że sama nie wiedziała, czy jest więcéj ucieszona, czy zdziwiona, czy przestraszona, nie wiedziała zwłaszcza, co ma mężowi odpowiedziéć.

Ale po skończonéj figurze wracając do swego krzesła, spojrzała na Adama tańczącego w drugim końcu salonu z młodą panienką w kostiumie pasterki *Vatteau*. Ładna wesoła pastereczka opowiadała coś żywo swemu tancerzowi, który z zajęciem pochylał się ku niéj, a widok ten niemile połechtał hrabinę po sercu.

— Kiedy nawet mnie mógł się podobać—pomyślała, to témbardziéj podobać się może i wielu innym; a jeśli się zdarzy, że taka inna będzie wolna i niezależna, wtedy...

Myśl utracenia na zawsze tego, którego jeszcze nie posiadała, przyjęła ją dreszczem, i stanowczo przeważyła wahającą się szalę.

— Narzucać ci się nie będę, z melancholiczną minką—rzekła do męża, siadając na swojém miejscu;—więc skoro sam chcesz tego.

— Chcemy tego oddawna oboje—odparł;—potrzeba było tylko, aby strona odważniejsza zdobyła się pierwsza na wypowiedzenie

ukrytéj myśli. Na ofiarę zaś pozować nie powinnaś, bo wiem, że ci moja propozycya niezmiernie dogadza. Obserwowałem cię bacznie, jakeś to zapewne zauważyła, i doszedłem do wniosku, że obecny twój stan psychologiczny nie jest takim leciutkim, przelotnym paroksyzmem jak wszyskie poprzednie; wyciągam więc z tego konsekwencyę, że odzyskanie swobody jest dla ciebie rzeczą pożądaną, ponieważ da ci możność utracenia jéj na nowo.

— Więc poświęcasz się dla mego szczęścia?—zapytała trochę ironicznym, a trochę niepewnym głosem.

— *Pas du tout*; ja także żadnéj ofiary nie robię—odparł—przeciwnie, przestanę być ofiarą losu, czy téż własnéj pomyłki, która moje i twoje życie zwichnęła... A przytém kto wié... może i dla mnie da się jeszcze co wykroić ze skąpego materyału przyszłości... Mówię ci to dla tego, żebyś nie myślała, że chcę grać komedyę wspaniałomyślności względem ciebie. Poświęcenia żadne z nas nie robi, bo dla obojga obecny stan rzeczy jest zarówno ciężkim, a radykalna zmiana pożądaną.

Nie zawsze ruch i gwar tańcującego wieczoru pokrywa tak dobrze poufną rozmowę, jak ustronna altana; może to miéć miejsce tylko wtedy, gdy w całém towarzystwie nie znajduje się nikt, ktoby miał interes w śledzeniu porozumiewającéj się pary. Panna Helena zauważywszy, że hrabia prosi żonę do kontredansa, rozciekawiła się tém niezmiernie, a domyślając się, że ma jéj coś do powiedzenia, postarała się stanąć obok nich w tańcu. Ale tańczyła w drugiéj zmianie, więc wtedy gdy oni siedzieli i to jéj utrudniło podsłuchy. Udało jéj się przecież pochwycić w lot kilka wyrazów, a między nimi najważniejszy—rozwód. Na tym wyrazie, jak *Cuvier* na zębie przedpotopowca, kunsztownie dobudowała resztę, posiłkując się grą fizyonomii rozmawiających, którą chwytała ukradkowemi spojrzeniami, uśmiechając się przytém do swego tancerza i żartując z nim swobodnie.

Domysły jéj ułożone porządnie w czasie galopa ostatniéj figury, którego pomimo to nie myląc się odtańczyła, zformowały się w ten sposób.

Hrabia ciągle zajęty Maryjką, zdobył się nakoniec na energiczne postanowienie rozwiązania jednego węzła, dla możności zawiązania drugiego, w czém przeszkód nie widzi, nie domyślając się skłonności Maryjki dla Adama. Względem żony znalazł doskonały pretekst,—jéj zajęcie się Adamem i jawne dzisiejsze tego okazywanie. Nina zaś, która sama nie zdobyłaby się na inicyatywę tak stanowczego kroku, jest uszczęśliwiona, że zrobionym został, bo nie wątpi, że skoro tylko będzie wolna, Adam na skinienie jéj małego

paluszka znajdzie się u jéj stóp. Nina się w tém nie myli, bo Adam pierwéj był rozsądnym i praktycznym niż w Maryjce zakochanym; więc przy stosownych okolicznościach wróci do swego charakteru,—i to rzecz najważniejsza, bo w niéj tkwi sprężyna mogąca zburzyć szczęście Maryjki. Ale hrabia myli się, licząc na spełnienie swoich nadziei; on dozna zawodu, ponieważ Maryjka jest jedną z tych rzadkich dziwaczek, które raz na całe życie kochają, i nawet *par dépit* nie oddają się nigdy drugiemu. Choćby więc Adam ją zdradził, ona kochać go nie przestanie, i nie omieszka ze swoją donkiszotowską szczerością wyznać tego hrabiemu, skoro ten zażąda jéj serca dla siebie; i w tém jest druga wygrana, bo Janusz zostanie zawiedzionym i upokorzonym, a tak i jego dosięgnie zasłużona kara. Okoliczności więc składają się doskonale: są jak bryła lodu chwiejąca się na szczycie góry, którą dość palcem trącić, aby stoczyła się po pochyłości, i rosnąc po drodze, na dolinę runęła już całą lawiną.

Przeprowadziwszy to rozumowanie, panna Helena obmyśliła jeszcze w jaki sposób trącić bryłę, i po walcu, który szedł w programie za kontredansem, zbliżyła się do zadyszanéj i rozrumienionéj Niny.

— *Adorable marquise*—rzekła, biorąc ją pod rękę—chodź trochę spocząć; masz rumieńce silniejsze niż twój *genre* dzisiejszy wymaga; markizy były przecież blade.

Pociągnęła hrabinę przez niebieski salonik do cieplarni, i usadowiła na sofce, ukrytéj w gąszczy zielonéj jak gniazdko słowicze. Pani Nina, zmęczona i rozmarzona, skłoniła głowę na rękę i przymknęła oczy, a panna Helena zaczęła ją bawić opowiadaniem różnych drobnych wypadków wieczoru, i nadmieniła o przestrachu jednéj z pań, gdy jéj z dłoni wyczytała jakąś serdeczną tajemnicę.

— Nic dotąd nie wiedziałam o twoim cygańskim talencie—rzekła hrabina. — Powiedz mi, jak ty te swoje wróżby komponujesz?

— Niezupełnie komponuję — odrzekła.—Studyowałam trochę chiromancyę, i przekonałam się, że w niéj także, jak we wszystkiém czego jeszcze dostatecznie nie zbadano, są rzeczy nieprawdopodobne a jednak prawdziwe, o których nie śniło się nam, pozytywnym umysłom... Jeśli się odkryć żadnych nie boisz, pokaż mi rękę; może i tobie powiem co ciekawego.

Hrabina śmiejąc się, zdjęła rękawiczkę, a cyganka pochyliła się nad różową dłonią, i wodząc palcem po delikatnych rysach plączących się na niéj, zaczęła:

— Linie splątane i niewyraźne; linia temperamentu fantastycznie pogięta wskazuje wiele pragnień i chęci, ale czynów mało, ponieważ słabo odznaczona linia woli nie przecina jéj wcale. Linia życia do pewnego punktu dochodzi bez żadnego zagięcia, wskazującego jakie ważne i dramatyczne przejście; jest tylko poznaczona mikroskopijnemi burzami, po których na niéj ledwie ślad lekki został. Ale za pewnym punktem w drugiéj swojéj połowie, ta linia zbiega się z serdeczną, która przedtém nierówna i rozstrzępiona, teraz grubieje, pogłębia się, i silnie przerzyna linią życia. To ostatnia namiętność,—a na téj dłoni jedyna prawdziwa. Przeszłość plącze się w siateczkę drobnych uczuć, słabych wrażeń i tęsknoty za większemi. Przyszłość...

Spojrzała na Ninę, słuchającą z żywém zajęciem.

— Powiedziéć przyszłość?—zapytała,

Nina skinęła głową. Wróżka wpatrzyła się w dłoń w zamyśleniu, a po chwili mówiła daléj:

— Królowa wdzięków i miłości jest przecież niewolnicą. Dobrowolnie włożone kiedyś pęta dziś krwawią rączki za wątłe, aby je zerwać śmiały. Serce królowéj wyrywa się z więzienia, szukając króla godnego jéj królestwa, i po długim szeregu smutnych omyłek, znajduje nakoniec rycerza bez trwogi i skazy, co wart jest monarszéj purpury. I rycerz wielbi królowę, ale w najgłębszéj skrytości serca, bo on ma tylko miecz niezłomny i tarczę bez skazy, a ona lśni od złota i dyamentów. Więc usta jego zamknęły dwie pieczęcie,—honoru i dumy; honoru,—bo królowa jest cudzą,—dumy—bo on zwykły rycerz a ona dostojna monarchini. Pierwsza pieczęć pęknie, gdy pękną pęta królowéj; druga—dopiero wtedy, gdy królowa znajdzie w sercu dość mocy, aby mu je pierwsza otworzyła. Dopiero wiedząc, że jest kochany, rycerz padnie przed królową na kolana.

Cyganka puściła maleńką rączkę, która teraz drżała w jéj dłoni. Nina zmieszana i wzruszona, nie przemówiła ani słowa, tylko nerwowym ruchem zaczęła szybko wachlować twarz rozrumienioną. Helena wstała.

— Ale ja tu plotę trzy po trzy—rzekła,—a lepiejbym zrobiła pomyślawszy o jakiém *rafraîchissement* dla ciebie. Przyślę ci limonady.

I znikła cicho w klombie oleandrów, a piękna pani zadumała się głęboko.

W błękitnym saloniku towarzystwo rozdzieliło się na grupy zabawiające się rozmową w przestanku między tańcami. Helena z progu cieplarni powiodła szybko oczami dokoła, i zatrzymała

wzrok we drzwiach salonu, w których stał Adam. Znalazłszy, czego szukała, poszła w tym kierunku, a idąc poprawiła sobie kwiaty przypięte na ramieniu. W chwili gdy Adam usuwał się, aby jéj zrobić przejście, szpilka wysunęła się z jéj palców i kwiaty upadły na ziemię. Gdy Adam podniosłszy je i złożywszy znów w bukiet, oddawał go właścielce, ta rzekła z uśmiechem:

— Cyganka wynagradza czém może: pan moje kwiaty ocalił od rozdeptania, więc ja panu za to powróżę.

— I owszem—odrzekł—bardzom ciekawy, o ile pani jest przenikliwą.

Helena ujęła jego lewą rękę.

— Paniczku złoty,—zaczęła szybko, stylem i akcentem cygańskim,—będziesz miał szczęście gołębie. Czeka ciebie chałupka malutka, a w niéj gosposia hoża, która ci i chléb spiecze smaczny choć razowy i chusty upierze, i podłogę ślicznie umiecie, i pomyje a poczesze drogie robaczki, których będzie siła. Będziesz sobie siedział jak u Pana Boga za piecem, nie wyzierając na świat szeroki, bo ci wypadną piórka ze skrzydeł sokolich. Ale gołębie szczęście znać w sam raz dla ciebie, kiedy go twoje serce tak pragnie, jak wróblik wody kropli z niewielkiéj kałużki; a że skromne pragnienia łatwo się spełniają, więc dostaniesz to, co miéć żądasz.

Zamilkła. Adam uśmiechnął się z przymusem.

— Ślicznie mi pani życie urządza—rzekł.

— Czy nie do gustu?—zapytała ze zdziwieniem.—No, to powiem coś jeszcze. Lewa ręka—to przeznaczenie; prawa—to własna wola. Linie obu zwykle się z sobą zgadzają; jednak czasem u rzadkich wyjątków, których energia przewyższa siłę okoliczności, zachodzi pewna modyfikacya, która układ losu przemienia. Zobaczmy więc prawą rękę.

Spojrzała uważnie na podaną sobie dłoń i pokręciła głową.

— Dziwne rzeczy...—rzekła.—Odkąd dobrym ludziom wróżę, nie widziałam dwóch tak z sobą różniących się dłoni... Złocisty paniczku, jeśli tylko sam zechcesz, będziesz szczęśliwy jak król. Zdobędziesz sobie z królową królestwo, i będziesz wieść życie wielkie, szerokie, wspaniałe, szybując jak orzeł wysoko nad ludzkiém mrowiskiem. Korona teraz u nóg twoich leży, ale powiedziéć ci nie mogę czy ją podniesiesz, czy odtrącisz, aby się ku mędrszemu potoczyła, bo umiem przeczytać co na którój dłoni napisano, lecz nie umiem zgadnąć którą ręką będziesz sobie przyszłość budować.

Słowa Heleny zrobiły na Adamie pewne wrażenie; zastanawiała go jéj przenikliwość, a obrazki, które mu przed oczy stawiała, rozbudziły w nim to co obecnie zdrzemnęło: dawny niesmak do skromnego bytu i dawne pragnienie świetnéj karyery.

— Możesz pani założyć katedrę chiromancyi—rzekł po chwili.

— Mogę—odrzekła śmiejąc się — bo mam już jednę kwalifikacyę na uczonego profesora.

— Wszystkie—prócz okularów i tabakierki; ale o któréj pani mówi?

— O roztargnieniu; miałam poszukać limonady dla Niny, i zapomniałam o tém, zagawędziwszy się z panem. Powinienbyś mię pan za to wyręczyć.

— I owszem; rad jestem z możności usłużenia dwóm paniom kosztem jednorazowéj fatygi.

— Dobrze więc; niech pan każe sobie w bufecie podać limonady, a Ninę znajdzie pan w cieplarni, na sofce za oleandrami.

Wróżka znikła, Adam poszedł do bufetu.

Idąc spotkał Maryjkę, i nie zamienił z nią słowa ani nawet spojrzenia, bo w téj właśnie chwili stała mu w myśli jako kapłanka jego ogniska w skromnéj sukience i gospodarskim fartuchu, myjąca umorusane robaczki; wolał więc poczekać aż minie niemiłe wrażenie, aby módz zbliżyć się do niéj z dawną przyjemnością.

Pani Nina po odejściu wróżki siedziała długą chwilę w głębokiéj zadumie, zasłuchana w bicie swego serca, które miotało się jak łódka na wzburzonéj fali, a po chwili zapragnęła ujrzéć Adama, aby mu powiedziéć... co, i jak, nie wiedziała jeszcze, wiedziała tylko że już dłużéj milczéć przed nim nie będzie, i że przy pierwszéj odpowiedniéj sposobności słowa przyjdą same. Podniosła się tedy z kanapki, aby przejść do salonu, gdy w tém ujrzała Adama wychodzącego naprzeciw niéj z za klombu oleandrów. To jego nagłe, jakby umyślne zjawienie się przed nią w téj chwili, tak spotęgowało stan wzruszenia, w którym się znajdowała, że osunęła się na sofkę, i nic nie mówiąc, patrzyła na niego oczami mrużącemi się od własnego wewnętrznego blasku.

Lecz Adam rzekł z obojętnym uśmiechem, podając jéj kubeczek limonady:

— Przychodzę spełnić miłosierny uczynek: pragnącego napoić.

Ona nic nie powiedziała, nie skinęła nawet głową na podziękowanie, tylko wypiła jednym tchem orzeźwiający napój, i wskazała ręką miejsce obok siebie na sofie. Siadł Adam trochę tém preludyum bez słów zdziwiony, i czekał, co mu powié, z dosyć kwaśną miną, bo mu już bardzo dokuczyła ciągła rola umykającéj przed haczykiem ryby. Nina wbrew swemu zwyczajowi nie robiła przedmowy, ani układała stylu, tylko rzekła wprost:

— Chcę panu ważną rzecz powierzyć.

— Słucham—odparł chłodno.

— Rozwodzę się z mężem.

Adam podniósł nagle głowę. Wśród zdziwienia, którego doznał, trzy szybkie myśli mignęły jak trzy wężyki błyskawicy: ona będzie wolna.. ona stanie się świetną partyą... ona mię kocha...

Nina mówiła daléj, śpiesząc się, jakby chciała skończyć nim jéj tchu zabraknie:

— Janusz zaproponował, a ja się zgodziłam; kajdany ciężyły mi strasznie, bo... zatrzymała się—odetchnęła i wybuchła:

— Bo kocham do szaleństwa—kocham do niepamięci...

Pochyliła głowę, i skronie splecionemi rękami ścisnęła. Adam patrzył na dyamentową gwiazdę drżącą nad zaciśniętemi paluszkami, a tłum myśli przesuwał mu się po głowie, z tą elektryczną szybkością, jaką daje nagłe a silne podbudzenie.

Mignął mu najpierw w myśli obraz korony, która u stóp jego leży, a on ją odtrąca, aby się ku mędrszemu potoczyła. Stanęła mu potém w oczach Maryjka i stosunek z nią w postaci igraszki dziecinnéj, która w życiu pozytywnie myślącego człowieka nie powinna w cień usuwać szerszych planów. Nakoniec pomyślał, że honor jego nie jest w tę sprawę wplątany, bo przecież słowa nie dawał, i nie jest niczém na seryo związany. I jak rój pierzchliwych motyli rozleciały się wszystkie mrzonki serdeczne, a trzeźwy człowiek przebudził się z krótkiego snu o idealnéj miłości.

A wtedy chłodne dłonie męskie ujęły rozpalone kobiece rączki a obojętne oczy spojrzały w twarzyczkę rozpłomienioną. Na ustach Niny drżało jeszcze wyznanie że kocha; więc pochylił się ku niéj, i zapytał cicho:

— Kogo?

W odpowiedzi oplotła ramionami jego szyję i padła mu na piersi, jak znużony ptak na gniazdo. On wtedy spojrzał na nią innym niż dotąd wzrokiem: ta kobieta, omdlewająca i rozgorączkowana, była w téj chwili rozkosznie piękna pięknością Heleny czy Kleopatry; więc gdy objąwszy ją, przycisnął do piersi, uścisk jego nie był fałszywym, bo choć milczało serce lecz zagrały nerwy.

Panna Helena stała naturalnie zaczajona za oleandrami, a gdy ujrzała, że już młoda para doszła do kulminacyjnego punktu porozumiewania się, wysunęła się nieznacznie z cieplarni, i poszła do bufetu, gdzie przy czémś gospodarowała Maryjka. Podszedłszy ku niéj szybko, z miną przestraszoną, objęła ją w pół, i pociągnęła we framugę okna.

— Najdroższa—rzekła cicho, i jakby wahając się w zakłopotaniu,—zdaje mi się, że twoja obecność zdałaby się przy Ninie, bo się z nią źle dzieje...

— Co się z nią dzieje? — spytała z przestrachem Maryjka.

— Idź zobacz... w cieplarni za oleandrami... Tylko cichutko, bo jak się przerazi, to spazmów dostać może.

Maryjka nie pytała o nic więcéj. Dość jéj było na tém, że się coś złego stało hrabinie, aby nie tracąc czasu na zgadywanie coby to być mogło, śpieszyć jéj na ratunek.

Weszła szybko do cieplarni, a kroki jéj tłumił piasek, którym uliczki były wysypane i dolatująca z salonu melodya jakiéjś *invitation à la danse*. W miejscu, gdzie uliczka zawracała na lewo, ku sofce wciśniętéj w gąszcz oleandrów, zatrzymała się, spojrzała, i skamieniała...

Młoda para nie spostrzegła jéj przyjścia, bo Nina siedziała plecami do zakrętu uliczki, Adam zaś miał pochyloną głowę. Byli zresztą zabardzo sobą zajęci, aby mogli uważnie oglądać się wkoło. Nina tuliła się do Adama pieszczotliwemi ruchami głaskanéj kotki, on osypywał pocałunkami jéj twarz, szyję i ramiona.

Maryjka stała nieruchoma, z oczyma rozszerzonemi, jak u dziecka, co się nagle zbudzi i stracha zobaczy. Myśli jéj splątały się bezładnie, w głowie zakołowało, zachwiała się i machinalnie chwyciła ręką za jakąś obok siebie podporę. Była to gałęź wielkiego kaktusa; ścisnęła ją mocno, nie czując, że kolce dłoń przebiły, a poruszona łodyga trąciła jakiś krzew liściasty, który zaszeleścił nagle. Na szmer Adam podniósł głowę, spojrzał przed siebie i pobladł. Maryjka utkwiła w niego na chwilę te oczy rozszerone niezmiernie, a potém zawróciła się i wybiegła szybko, jakby od strasznego jakiegoś widziadła uciekała.

Adam wtedy wstał z kanapki, usuwając się oplatającym go ramionom. Nina szepnęła miękkim głosem:

— Odchodzisz?... tak prędko?...

— Może kto nadejść — odrzekł.

— Wszystko mi to jedno! — zawołała.

— Ale mnie nie wszystko jedno — odparł trochę szorstko i dotknąwszy zlekka ustami zatrzymującéj go rączki, wyszedł z cieplarni drugiemi drzwiami do ogrodu.

Noc jesienna była mglista i chłodna. Nie zważając na to, poszedł w grabową aleję i mierzył ją wielkiemi krokami, porządkując sobie w głowie myśli, które wyszły trochę ze zwykłego ładu.

— Po co ona tam przyszła...— powtarzał w duchu z niecierpliwością—po co właśnie w téj chwili, jakby umyślnie... Cała rzecz dałaby się była rozplątać pomaleńku, gdyby nie wiedziała o niczém; a teraz, kiedy się tak nagle, bez żadnego zręcznego przygotowania dowiedziała, nie minie mnie jakaś gwałtowna scena.., I co ona mi powié.

W odpowiedzi na to pytanie, jakiś wyraz w głowie mu syknął jak smagnięcie biczem i przejął go dreszczem trwogi. Śmiały, energiczny mężczyzna, tak bał się jednego słowa z ust dziewczyny, jak doktnięcia rozpalonego żelaza pod pręgierzem.

— Ja ją znam... powié niezawodnie... — powtarzał i burzył się gniéwem, jakby już powiedziała; a broniąc się przed tym prokuratorem, który w nas głos zabiéra, choć się niby za niewinnych mamy, monologował daléj.

— Nie! nie należy mi się ten wyraz!... bo i za cóżby właściwie?... Czym dał słowo i nie dotrzymał? czym uwiódł i porzucił? Czym chociaż bałamucił dla zabawki, śmiejąc się w duchu z łatwowierności kobiecéj? Zmieniłem tylko zamiar, i to z nierostropnego na rozsądny; więc jakaż w tém nikczemność?

Ale prokurator nie umilkł, choć obrona zdawała się logiczną. ciągle w uszach mu szumiał i świdrował w głowie ten jeden wyraz — podły...

Bywają takie wyrazy, dzwoniące na gwałt w duszy, choć rozumowanie zagłusza je jak może słuszną na pozór argumentacyą. Jak ta plama na dłoni lady Macbeth niezmyta wszystkiemi wonnościami Arabii, wychodzą ciągle na wierzch i dzwonią, dzwonią, dzwonią, nic sobie nie robiąc ani z dowodzenia, ani z szyderstwa, które zwykle usiłuje wyśmiać je jako dziwaczne skrupuły.

— Ha! — powiedział sobie nakoniec — może i dobrze, że się tak stało; może najlepiéj takie rzeczy załatwiać nagle i gwałtownie, bo znośniejsze chyba szybkie cięcie pałasza, jak długa operacya chirurgiczna. Niech sobie mówi co chce, przebędę odrazu i wszystko skończy się w jednéj chwili, zamiast wlec się dokuczliwie, niewiedziéć wiele czasu.

Wrócił do salonu. Pary dobiérały się, muzyka grała mazura. Przypomniał sobie, że zamówił był do niego Maryjkę, i nie wiedział co z tém począć. Spojrzał na nią ukradkiem. Stała właśnie o kilka kroków od niego, a jeden z tancerzy zbliżył się do niéj.

— Pani zechce tańczyć ze mną tego mazura? — zapytał.

— Nie mogę — odpowiedziała — tańczę z panem Stalskim.

Adam nie miał czasu dziwić się ani zastanawiać, bo ruszyły się wszystkie pary. Podszedł ku niéj, podała mu rękę i tańczyli z sobą, jakby nic nie było.

Kiedy wszystkie pary posiadały, a tylko dwie pierwsze tańczyły, Adam, jak każdy z tancerzy, posadził swoję damę, usiadł przy niéj, i tylko nie bawił rozmową, czekając, aż sama zacznie, bo wiedział, że już teraz chwila jest odpowiednią dla strasznéj sceny, która się odegra za osłoną ruchu, gwaru i wachlarza.

Maryjka zaczęła:

— Jak ochoczo idzie zabawa! kostiumy, zwłaszcza na wsi, bardzo zwiększają ożywienie.

— Rzeczywiście... — bąknął, aby coś powiedzieć.

— Śliczny jest ten strój donny Sol, pani Natalii—mówiła dalej.

— Tak — odpowiedział — nie ma jak hiszpańska mantyla dla brunetki.

Pomylił się; pani Natalia była blondynką. Ale Maryjka nie zwróciła na to uwagi.

— Ta zaś grecka tunika panny Anieli, ciągnęła dalej nie jest zbyt szczęśliwie dobraną dla typu zupełnie współczesnego.

I rozmawiała w ten sposób we wszystkich przestankach między figurami, o kostiumach, o obecnych osobach, o gorącu, o tańcach, a w żadnym z tych konwencyonalnych i obojętnych frazesów Adam nie dostrzegł nietylko gniewu lub żalu, lecz nawet najlżejszéj niechęci. Mówiąc patrzyła też na niego, ale wzrok jéj był jak słowa; nie wyrażał nic wcale, zatrzymywał się na nim jakby na jakimkolwiek przedmiocie nie mającym znaczenia, albo w najlepszym razie, na dopiéro sobie przedstawionym tancerzu, który nie zrobił na niéj złego ani dobrego wrażenia.

Adam był najpierwéj zdziwiony, potém cokolwiek zmieszany, aż nakoniec zamiast cieszyć się, że go ominęła oczekiwana burza, uczuł żywe rozdrażnienie.

— Więc nawet mi okazać obrazy nie raczy!— myślał. — Objawia mi, że stałem się dla niéj takiém niczém, iż nawet gniewając się na mnie, zrobiłaby mi za wiele zaszczytu!... No, to i ja potrafię pokazać, że mnie jéj zachowanie się nic a nic nie obchodzi...

I podniósłszy pierwszy lepszy temat rozmowy, prowadził ją z takiém wesołém ożywieniem, że przeszedł swoje zwykłe, poważne obejście się. Maryjka wciąż rozmawiała jak przedtém, spokojnie i obojętnie, a nikt ze słyszących tę banalną wymianę frazesów, nie mógłby wpaść na myśl, że się pod nią gra psychiczny dramat.

Działalność panny Heleny nie skończyła się jeszcze. Nalubowawszy się widokiem Maryjki, pod któréj zewnętrznym spokojem umiała dojrzéć wewnętrznéj burzy, policzywszy ile razy usta jéj drgnęły kurczowo, układając się do konwencyonalnego uśmiéchu, ile razy w obojętnie patrzących oczach mignął płomień gorączkowy, zwróciła ostrze zatrutéj igiełki w inną stronę.

Hrabia mazura nie tańczył, ale wybiérającym go do figur paniom, nie mógł się wymawiać, ponieważ już go dziś widziały tańczącego. Skorzystała z téj okoliczności Helena i wybrała go także. Tańcząc z nim, odezwała się półgłosem:

— Powiem panu rzecz wielce go interesującą.

— Słucham — odparł krótko, spodziéwając się jakiejś złośliwości, bo odkąd z sobą zerwali, mówiła do niego bez świadków, tylko gdy miała sposobność ukłucia go w dotkliwy sposób.

— Dama pańskiego serca jest ukarana za swoję surowość, bo cierpi teraz tak samo na brak wzajemności.

— Nie rozumiem — rzekł oschle.

— Wytłómaczę się jaśniéj. Omówienia i domyślniki nie potrzebne między nami, ponieważ nie gramy już z sobą żadnéj komedyi; a przytém nic nie mam przeciw temu, abyś pan wiedział dlaczego mu powiem to, co mam powiedziéć.

— Niechże pani już zacząć raczy.

— Spojrzyj pan uważnie na Stalskiego i hrabinę, a potém na Maryjkę. Zajęcie się Adama Niną rozciąga jéj serce na torturach.

Hrabia zapomniał o swojéj zwykłéj dla dam uprzejmości.

— Nieprawda! — zawołał ostro.

— Możesz pan spytać jéj saméj—odparła z przyciskiem — ona podobno nigdy nie kłamie, więc odpowie prawdę. Zresztą do czego tu jéj wyznanie, gdy baczna obserwacya wystarczy. Przypatrz jéj się pan dobrze, a będziesz wiedział, czym domyślna. No — dodała po chwili, błyskając ostremi ząbkami w jadowitym uśmiéchu— ziarnko rzucone; niechże sobie kiełkuje...

Okręciła się z nim po figurze, ukłoniła się pięknie i wróciła do swego tancerza.

Pokazało się, że panna Helena dobrze znała naturę ludzką. Hrabia powiedział sobie wprawdzie, że wszystko co rzekła, jest tylko mściwym wymysłem, niemniéj przecież zaczął obserwować Maryjkę. I rzeczywiście, kochające oczy spostrzegły to samo, co już nienawidzące widziały, a czego nie uważały tylko obojętne: uśmiéch zaczynający się od bolesnego drżenia warg i żar tłumiony na dnie chłodnego spojrzenia, i chwile śmiertelnéj bladości na spokojnéj twarzy, i bijące na nią chwilami gorączkowe rumieńce i szybko spędzany z wygładzonego czoła cień ponury jak śmierć. Po upływie godziny obserwator miał już dosyć spostrzeżeń, i nie dbając, że pójdzie za zdradliwą radą Heleny, postanowił rozstrzygnąć dręczącą niepewność otwartém rozmówieniem się z Maryjką.

Podano kolacyę. Hrabina, nie lubiąca długich posiedzeń u stołu, kazała w jadalnéj sali urządzić bufet i ustawić stoliki na trzy, cztery osoby, aby towarzystwo mogło się ugrupować w małe a wesołe kółka. Do swego stolika zaprosiła Adama, młodą mężatkę w śmiałym kostiumie z czasów dyrektoryatu, znaną ze swobodnéj rozmowy i jéj obecnego wielbiciela, *un vieux roué*, słynące-

go z dwóznacznych dowcipów, i bawiła się z nimi znakomicie, zostawiając zajęcie się innymi gośćmi Januszowi i Maryjce. Ci nie mieli widać apetytu, bo nie siadali wcale, tylko chodząc pomiędzy stolikami, uważali aby wszyscy byli kontenci.

Ku końcowi kolacyi Maryjka wyszła z sali, a wkrótce potém hrabia powiedział do starszych panów, że każe przynieść dla nich jakiegoś sławnego miodu z piwnicy, i wyszedł także. Lecz w drugim pokoju szepnął marszałkowi dworu, aby go zastąpił w traktowaniu obiecanym nektarem, a sam skierował się ku buduarowi pań, w którym spodziéwał się znaléść Maryjkę. Zastał ją tam rzeczywiście. Siedziała z głową opartą na poręczy fotelu i oddychała ciężko, jakby spoczywając po wielkiém zmęczeniu. Zbliżył się do niéj cicho.

— *Pardon chère enfant*, że tu wchodzę — rzekł—ale chciałem cię zapytać, czy nie jesteś chorą?

— Chorą? — odpowiedziała z roztargnieniem, podnosząc głowę— nie wiem doprawdy, nie uważałam.

— Ale ja uważałem, że ci coś mocno dziś dolega.

Maryjka zarumieniła się gwałtownie, i nie znalazła słowa odpowiedzi.

On wtedy wybuchnął.

— Maryjko! ty kochasz Adama!

Maryjka zerwała się z fotela i stanęła wyprostowana.

— Nie! — rzekła silnym i stanowczym głosem — nie kocham Adama.

— Maryjko! odkąd cię znam, zawsześ tylko prawdę mówiła...

— I teraz mówię prawdę, a jeśli mi pan nie wierzy, po co pytanie.

— Przebacz mi... ja ci zawsze wierzę... ale odpowiédz jeszcze: nie kochałaś go nigdy, czy nie kochasz od dziś dopiéro?

— A! niechże mię pan nie męczy!... — zawołała, opadając na fotel.

Janusz zrozumiał wszystko. Siadł na stojącém obok krześle, wziął ją za rękę i rzekł miękko:

— Dziecko drogie, jażbym ciebie chciał męczyć?... Jeślim był niedyskretnym, to dla tego, aby poznać co ci dolega i ulżyć twemu cierpieniu, o ile to może być w mojéj mocy. *Ma pauvre chérie*, wierz mi, że samotna boleść najgorzéj trawi serce, a podział ujmuje ciężaru. Ja z tobą serdecznie współczuję i chciałbym dać ci przyjaciela, któryby ci pomógł dźwigać to brzemię życia, które już twoje młode ramiona przygniotło. Maryjko, nie będę ci dziś mówić o uczuciu gorętszém niż przyjaźń, nie będę mówić o niém ni-

gdy, jeśliby ci to przykrość sprawiało, ale pozwól mi być twoją podporą i opieką... Rozwodzę się z Niną; Maryjko, czy zechcesz być moją żoną?...

— Pan rozwodzi się z żoną? — zawołała, tém głównie uderzona.

— Tak — odrzekł.—Środek ostateczny, ale i zło ostateczne.

Maryjka zamilkła; on poczekał chwilę, i znów odezwał się:

— Maryjko, czy nic nie odpowiesz na moje pytanie?

— Panie hrabio—odrzekła poważnie— byłeś mi ojcem prawie, więc taki związek wydawałby mi się moralném kazirodztwem; ale gdyby nawet dotychczasowy stosunek nasz był innym, nie zmieniłoby to rzeczy: ja nigdy za mąż nie wyjdę, bo bez miłości na miłość nie przysięgnę, a serca dać nie mogę, bo pękło...

On wstał w milczeniu, i zwrócił się ku drzwiom; ale ona zastąpiła mu drogę, i ujęła jego rękę w obie dłonie.

— Panie hrabio— rzekła z głębokiém wzruszeniem—nie gniewaj się na mnie, że nie potrafię zrobić więcéj niż człowiek może... O, nie gniéwaj się! zostań i nadal moim najwierniejszym przyjacielem, moim najlepszym ojcem!...

I nagłym ruchem przycisnęła do ust jego rękę. On rękę szybko cofnął, ale ująwszy jéj głowę w obie dłonie, po ojcowsku pocałował ją w czoło; poczém zawróciwszy się, wyszedł z pokoju.

W salonie zastał już całe towarzystwo, które z jadalni powróciło. Zbliżywszy się do paru najpoważniejszych osób przeprosił je, że musi odejść już do siebie, bo czuje się niezdrów, a doktór stanowczo mu zabronił długiego czuwania; potém szepnął Ninie, aby się daléj bawiono, nie zważając na jego nieobecność, i wyszedł nieznacznie, nie żegnając nikogo. Brak gospodarza nie dał się uczuć. Nina podtrzymywała zabawę doskonale, i byłaby ją pewnie do białego dnia przeciągnęła, gdyby nie to, że niedługo po odejściu hrabiego Adam wymknął się także. Wtedy całe jéj ożywienie znikło, goście nie zatrzymywani rozjeżdżać się zaczęli, i o czwartéj z północy nie było już w salonie nikogo.

Gdy więzień, który będąc brany na tortury, zaciskał zęby, aby nie okazać słabości i nie radować oprawców swoim jękiem, wróci potém do samotnéj ciemnicy, ta chwila, w któréj może już jęczéć bez ubliżenia swojéj męczeńskiéj godności, wydaje mu się niemal błogą w porównaniu z poprzednią. Takiéj gorzkiéj ulgi doznała Maryjka, gdy po skończonéj zabawie przyszła do swego pokoju, i rzuciwszy się na szezlong, westchnęła z całéj piersi, ciężko, mocno, głęboko. Ale ta chwila ulgi trwała krótko, bo myśli w samotności swobodniejsze, opadły ją tłumem zgłodniałych wampirów.

Obrazy dnia ubiegłego zaczęły przesuwać się przed nią z jaskrawą wyrazistością gorączkowych widziadeł; wszystko, co już zniosła, cierpiała teraz po raz drugi i może silniéj, bo powolniéj, a z zupełném skupieniem umysłu. Widziała powtarzającą się sto razy scenę w cieplarni, widziała potém rozpromienioną twarz Niny, i wszystkie jéj rozkoszne uśmiechy, widziała te uśmiechy zbiérane spojrzeniem tego, który dotąd patrzył tak—tylko na nią. Ten jak zaklęty stał jéj przed oczyma z natrętnym uporem sennéj zmory, i niczém zażegnać nie mogła téj zmory, która tak niedawno była snem złotym. Aby ją odpędzić, perswadowała sobie usilnie:

— Pocóż mam teraz myśléć o nim? wszak on dla mnie tyle znaczy co każda inna jednostka z obojętnego tłumu, odkąd się z nim zrównał, zszedłszy z piedestału złudzeń, strojących go w rycerską szlachetność i serce niezłomne. Pocóż ma stać mi przed oczyma ten obcy, ten obojętny?... i pocóż te myśli, te obrazy, szarpią serce na ćwierci? wszak on teraz niczém dla mnie, zupełnie niczém... Nie, serce nie za nim płacze, tylko ta straszna próżnia w duszy tak boli, tak boli... tylko tak żal najpiękniejszych kwiatów serca, rzuconych na zdeptanie... tylko wspomnienie tego człowieka budzi taką gorycz, taki wstyd, żem ja... jego... kochać mogła, i jak kochać! jak kochać!...

Załamała ręce nad głową, miotając się jak ptak ze śmiertelnym w piersiach pociskiem, a w téj zbuntowanéj kozaczce nie było teraz i cienia owéj spokojnéj dziewczyny, która przed chwilą pokrywała burzę ciszą, jak Rzymianin togą konanie.

Ale Maryjka nawet w chwilach gwałtownego wzburzenia zachowywała bezstronność, nie wydając wyroku przed obroną. I teraz więc odezwał się w niéj cichy głos obrończy, przemawiający za winowajcą. Serce wołało:

— Tak kochać takiego człowieka!...

Głos obrończy odpowiadał:

— Jakiego człowieka? Jakaż jego zbrodnia tak straszna? wszak większość ludzi zmienia zamiary i uczucia; więc on nie gorszy od większości.

A wtedy serce odpowiedziało:

— Ja mu téż zbrodni nie zarzucam żadnéj, ani go nienawidzę za własną na nim omyłkę; tylko nie mogę kochać człowieka w niczém nie lepszego od téj pospolitéj większości, co jak drobiazg mrówczy roi się nizko przy ziemi. Prawda, że codzień się widzi kupczących sobą dla materyalnéj korzyści, albo przekładających narzucanie się zalotności nad surowość cnoty; ale tacy codzienni,

tacy pospolici, dobrzy są na ideały dla zalotnic; próg szlachetnego kobiecego serca jest dla nich za wysoki...

Nie na wiele jednak zdało się całe to rozumowanie, bo dręcząca zmora stała wciąż przed oczyma, przybierając coraz to inne kształty, stosownie do tego jakie ją ożywiało wspomnienie. Wszystkie szczegóły nietylko dnia ubiegłego, ale całych paru minionych miesięcy bezładnie przesuwały się w pamięci. Była tam i pierwsza przechadzka przez ługi, i przejażdżka łódką, i wyprawa do lasu, i każdy uścisk dłoni, każde wymowne spojrzenie, każde niemal słowo. Aby myśl gwałtem oderwać od przeszłości, Maryjka usiłowała zwrócić ją w inną stronę, w stronę pustą i ciemną, oddzieloną dniem dzisiejszym, jak nieprzebytą przepaścią, od wszystkiego, co dotąd przeżyła—w przyszłość swoję. Dreszcz ją przeszedł od chłodu, jakim wyraz przyszłość wionął ku niéj; pomimo to odważnie zabrała się do układania na nią planów, i wpatrzyła się duchem w jedyny punkt świecący, który rozjaśniał czarne dnie, jakie ją czekały, w jedyną pociechę, jedyne szczęście smutnego, samotnego życia, pożyteczną pracę. Dotychczasowy pobyt w Horyńcach dostarczał jéj dosyć sposobności do użytecznego zajęcia, więc nie marzyła o innéj pracy, témbardziéj że wiedziała, z jak wielu względów jest niezbędna hrabinie. Ale teraz, gdy mogła już usunąć się bez krzywdy dla swoich obowiązków względem Niny, która innego mieć miała przyjaciela i opiekuna—opanowała ją chęć gwałtowna jak najprędszego oddalenia się z tych miejsc ukochanych, z któremi zżyła się, do których sercem przyrosła. Zaczęła tedy zastanawiać się poważnie nad rozmaitemi kierunkami działalności kobiecéj, aby wybrać najkorzystniejszy dla ogółu; nie szło jéj to jednak, myśli plątały się, i rozum nadaremno się wysilał aby ująć w karby widziadła rozgorączkowanéj wyobraźni. Rozgniewała ją wreszcie ta niemoc woli wobec wrażeń, i postanowiła natychmiast okiełznać je tym środkiem, jakiego w przyszłości za ogólne na wszystko lekarstwo używać miała, pracą.

Niepewne brzaski jesiennego świtu zaczęły już przeglądać przez spuszczoną roletę, mogła więc wyjść jak codzień o téj godzinie do dozorowania domowego gospodarstwa. Rozebrała się z kostiumu, wdziała ranny ubiór, i jak zwykle przed wyjściem do zajęcia ze swego pokoju, uklękła do porannego pacierza. Zaczęła—„Ojcze nasz“, a przy tych wyrazach wargi jéj zadrgały jak skrzywdzonemu dziecku, gdy przebiegnie poskarżyć się matce. Mówiła daléj „bądź wola twoja“, lecz przy tém zdaniu się na wszelkie dopuszczenie boże, długo wstrzymywane łzy popłynęły zrywającym tamy potokiem. Otarła je przecież, wyrzekła pokornie „odpuść nam na-

sze winy“, ale następne słowa „jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“ uwięzły w zaciśniętém gardle, i zaparte łkaniem wyjść nie mogły na usta. Walka z przepełniającą serce goryczą była ciężka lecz krótka; chrześciańskie uczucie odniosło zwycięstwo tak stanowcze, że nietylko skończyła modlitwę z należném usposobieniem, ale jeszcze dodała do niéj prożbę za tymi, przez których cierpiała. Uspokoiło ją to bardzo, modliła się już daléj z pokrzepiającém podniesieniem ducha,—gdy w tém zapukano do drzwi. Poszła otworzyć. Za drzwiami stał Józef, stary służący, którego hrabia jeszcze po swoich rodzicach odziedziczył.

— Panienko!—zawołał zadyszany,—na miłość boską prędko do pana!

— Co się stało?—zapytała zdziwiona.

— Ratunku, panienko! pan hrabia omdlał!

Zawrócił się i pobiegł, a Maryjka za nim. Biegnąc przez długie korytarze łączące korpus pałacu ze skrzydłem, które zajmował hrabia, Józef opowiadał pośpiesznie.

— Wszedłem oto do pokoju pana, aby zabrać rzeczy; patrzę lampa się pali, choć już dobrze świta, a pan hrabia jak był na bal ubrany siedzi przy stole z głową na rękach leżącą. Myślę: sen go tak zmorzył; więc zacząłem kasłać, aby się zbudził i szedł do łóżka. Kaszlę i kaszlę,—pan nic, a zwykle lada szmer go zbudzi. Tknęło mię to niedobrze: podchodzę, dotykam ramienia, pan nic. Podnoszę mu pomaleńku głowę—nic... oczy wciągnięte, twarz blada jak chusta, oddechu nie słychać. Poleciałem więc do panienki, żeby go ratowała, jak to wtedy gdy miał taki sam atak nerwowy. Boże zmiłuj się! biedne moje panisko z tą swoją chorobą...

Weszli do pokoju hrabiego. Migotanie dopalającéj się lampy i mdły blask świtu, przepuszczany przez zieloną firankę, padły na twarz hrabiego, gdy mu Maryjka podniosła głowę, i zabarwiły ją jakimś niezwykłym, szaro-oliwkowym odcieniem. Podniesiona głowa opadła bezwładnie, chłód marmurowy przeniknął rękę szukającą pulsu—szukającą go napróżno... Maryjka gwałtownie pobladła i spojrzała na Józefa takiemi oczami, że ten wykrzyknął z nagłém przerażeniem:

— Mój pan nie żyje!

Przeniosłszy go na łóżko, posłano przecież po doktora. Maryjka nie kazała budzić hrabiny aby jéj nie przerażać przed ostatecznym wyrokiem lekarza, i sama jedna w śmiertelnym niepokoju, czekała jego przybycia. Po upływie długiéj jak rok godziny wszedł doktór, spojrzał tylko na pacyenta, i machnął ręką. Obejrzał go przecież potém uważnie, a późniéj przepatrzył flakoniki z lekarstwami

stojące przy łóżku. Jeden z nich, fioletowy, pokazał Józefowi i spytał go:

— Czy nie pamiętasz ile tu było wczoraj płynu?

— Flaszeczka była prawie pełna—odrzekł.

Doktór zwrócił się do Maryjki:

— A teraz jest prawie próżna... Hrabia omylił się w dozie, i zażył za wiele morfiny. Zdarza się to przy silnych atakach newralgicznych, które czasem rozstrajająco na umysł wpływają.

Na Maryjkę spadł teraz ciężki obowiązek obudzenia hrabiny, aby jéj oznajmić straszną wiadomość. Drzwi łączące apartament Niny z pokojami Maryjki nie były na klucz zamykane, weszła więc cicho i stanęła przy łóżku.

W śnieżném gniazdku z puchu i koronek piękna pani leżała w niebieskim podwłośniku, na ręku oparta; znać rzuciła się na łóżko aby pomarzyć, i tak zasnęła z ustami rozchylonemi jeszcze błogim uśmiechem. Maryjka dotknęła delikatnie białéj rączki, i wnet długie rzęsy podniosly się zwolna.

— Czy już bardzo późno?—zapytała sennym głosem. Czy kto przyszedł?

Pierwszą jéj myślą było widać, że zaspała do pory, w któréj Adam zwykł przychodzić, i że już może czeka na nią w salonie.

— Nie—odrzekła Maryjka;—nie jest późno, i niema gości.

Hrabina zajęta swojemi myślami nie zwróciła uwagi na to, że Maryjka nie mogła przyjść ją budzić bez powodu, i nie zauważyła też wyrazu jéj twarzy. Przeciągnąwszy się leniwie, objęła ją obu rękami.

— Siądź przy mnie, *chérie*, rzekła; coś ci opowiem... coś bardzo ważnego...

— Ja z ważniejszą rzeczą przychodzę--przerwała Maryjka. Ale możebyś się pani ubrała?

— Dlaczego mam się już ubierać?

— Trzeba pójść do hrabiego.

— Co ci się śni? po co mam iść do hrabiego?

— Trzeba koniecznie.

— Ależ dlaczego?—czy chory?

— Miał silny atak...

— *Pauvre homme*! bardzo go żałuję, ale ja mu nic nie pomogę... Już ty tam rozporządzisz się najlepiéj. Niech zaraz po doktora poślą.

— Doktór już był, i odjechał, bo niepotrzebny...

— Jakto? czy tak źle jest? czy niéma nadziei?

— Niéma...

— *Mon Dieu*! *quelle catastrophe*! tak niespodzianie!

Zerwawszy się z łóżka, hrabina poraz pierwszy w życiu ubrała się w parę minut.

— Biédny, biédny Janusz!—wyrzekała, zwijając na prędce rozrzucone włosy. Powiédz, czy bardzo cierpi? czy nieprzytomny?

Miała teraz tak wystraszoną i stroskaną minkę, że Maryjce żal się jéj zrobiło. Objęła ją w pół, i prowadząc ku drzwiom mówiła łagodnie:

— Niech się pani stara uspokoić; nie trzeba szkodzić sobie, gdy to drugim nie pomoże. Lepiéj zebrać siły, i westchnąć do Boga o męstwo.

— Będę mężną; ale powiédz, co mu jest właściwie?

— Omylił się wśród ataku, i zażył za dużo morfiny.

Nina zatrzymała się, nagłą myślą rażona.

— Ale żyje?—zawołała,—Maryjko! czy żyje?...

Maryjka milczała.

Wtedy Nina zrozumiała i jak nieprzytomna pobiegła przez korytarze do pokoju męża, padła przed łóżkiem na kolana, a obejmując nogi zmarłego, zanosiła się spazmatyczném łkaniem.

Żal jéj był zupełnie szczerym. Dobra w gruncie, i niezmiernie wrażliwa, żałowała go całém swojém litościwém sercem, i gorzko sobie teraz wyrzucała swoje z nim postępowanie, choć je dotąd za bardzo naturalne uważała.

Przez cały czas od katastrofy do pogrzebu niepocieszona wdowa leżała na otomanie w swoim buduarze, z obwiązaną głową i solami w ręku, a łzy rzewne nieustannie wylewane gasiły blask ślicznych oczów. Wspomnienie zmarłego tak ją niepodzielnie ogarnęło, że prawie nie myślała o Adamie. Dopiero gdy przy rozsełaniu zaproszeń na pogrzeb, kazawszy na jednéj karcie wpisać jego nazwisko, dowiedziała się, że wyjechał na dni kilka do swego wojskowego zwierzchnika, niepokój, który w niéj to nagłe zniknięcie wzbudziło, rozdmuchał przytłumiony płomień z dawną siłą.

Po pogrzebie, odprawionym bardzo wystawnie, potrzeba było przejrzéć papiery hrabiego. Hrabina zdała to na Maryjkę, mówiąc, że musi oszczędzać sobie przykrych wrażeń, których ma już za wiele, i że zresztą nie zna się na interesach. Usiadła więc tylko w gabinecie nieboszczyka z robótką w ręku przy oknie, a Maryjce dała klucze od biórka, aby wszystko w niém przejrzawszy, pokazała jéj to tylko co koniecznie widziéć musi.

W biurku na samym wierzchu leżał list zaadresowany do Maryjki. Schowała go przy sobie, nie wspominając nic o nim, ponieważ nie wiedziała co zawiera, a ułożywszy część papierów, wyszła pod jakimś pozorem do siebie, aby go przeczytać.

Z trudem rozłamała pieczątkę, tak jéj ręce drżały. Strata jedynego prawdziwego przyjaciela i to w tak nagły a straszny sposób, była dla niéj, w okolicznościach w jakich ją zaskoczyła, ostatniém pchnięciem, dobijającém śmiertelnie ranionego, a przytém jeszcze myśl jedna, przerażająca, okropna, prześladowała ją podejrzeniem przejmującém dreszczem zgrozy. Myślą tą było przypuszczenie, że śmierć nie z wypadku nastąpiła, i że to ona była jéj przyczyną.

„Drogie dziecko—pisał hrabia—nim odejdę, muszę jeszcze pomówić z tobą, abyś wiedziała dla czego odchodzę. Śmierć moja będzie zapewne uważaną przez wszystkich za skutek omyłki czy też nieostrożności, ale twoje drażliwe sumienie może w niéj innego powodu szukać zechce.

„Żeby cię więc uspokoić, opowiem ci rzeczywiste przyczyny tego, co się za chwilę stanie.

„Wiész, w jaki sposób rozmaite okoliczności wpływały na moje życie, umysł i usposobienie. Wiész także, że wyniknął z tego w końcu zupełny rozstrój nerwowy, a z niego *spleen* i apatya nieprzezwyciężona. Nie wiész tylko i nikt o tém nie wié, że już od lat kilku jednym z psychicznych objawów mego cierpienia była *idée fixe* samobójstwa, wytworzona powoli ze zniechęcenia do życia obecnego, i zwątpienia o przyszłém życiu. Ponieważ żadnego więcéj zboczenia umysłowego nie było, ze wszelką więc przytomnością sam studyowałem swój stan patologiczny i naprzód już przewidywałem co się późniéj sprawdzić miało, że osłabienie woli będzie się coraz wzmagać, aż dojdzie do tego stopnia, na którym już nawet instynkt zachowawczy nie może wywołać dość energii odpornéj, aby przeciwdziałała upartéj żądzy unicestwienia się, a wtedy nastąpi ostateczna konsekwencya.

„Jakaś radykalna zmiana w warunkach mego życia, ta naprzykład, gdybyś ty zajęła miejsce Niny, przedłużyłaby moję egzystencyę tylko na czas krótki, bo ponieważ nerwowe cierpienie, paraliżujące wolę i zwracające umysł w jednym kierunku, było nieuleczalne, więc skutki tego musiały przyjść z nieubłaganą koniecznością logicznych następstw. Chwilę prędzéj, chwilę późniéj, jakiekolwiek silniejsze wzruszenie, jakaś choćby mała kropelka domierzająca pełnéj czary, musiałaby spowodować jeden i ten sam skutek.

„Nie miéj mi przecież za złe, że pomimo téj świadomości chciałem twoje życie związać z resztkami mojego. Nie myślałem jedynie o ostatnim promyku szczęścia dla siebie, lecz pragnąłem także tobie zapewnić byt i stanowisko, jakie ci się słusznie od

losu należą i dać ci tę możność dobrze czynienia, która jest główną potrzebą twojego serca.

„I dziś mógłbym ci jak ojciec córce zostawić wszystko, co posiadam, ale nie zrobię tego, ponieważ znam twoje usposobienie i wiem jak jesteś obecnie nieszczęśliwą. Istotom takiego charakteru pierwszy bolesny zawód burzy do gruntu szczęście całego życia, tak, że na tych gruzach nic już nigdy dla siebie odbudować nie chcą i nie mogą, i tylko praca, praca nie wyszukiwana umyślnie, ale konieczna, obowiązkowa, nieustanna, może im przyszłość znośną uczynić, utrzymując spokojną równowagę wewnętrzną do końca ich biédnych, samotnych dni.

„Daję ci więc sposobność użycia téj smutnéj pociechy. Znajdziesz ją w moim testamencie, sporządzonym przed kilku laty, do którego dziś dopisuję to, co się ciebie tycze.

„Bądź zdrowa, najdroższa moja, bądź zawsze jednakowo mężna, dzielna i szlachetna; myśl o mnie bez niepokoju, pamiętając o tém, co ci zaręczam słowem umierającego, że nie twoja odmowa spowodowuje moje odejście ze świata, lecz paląca mnie oddawna chorobliwa ciekawość rozwiązania zagadki bytu, nieprzemożona chęć dowiedzenia się nakoniec z pewnością, po co urodziłem się, żyłem, cierpiałem, nic nie zrobiłem i umarłem... Jeśli tam, za tém ciemném przejściem, na którego progu stoję, jest istota niezmierzonéj mądrości, ona mnie pojmie i wytłómaczy: *tout comprendre, c'est tout pardonner*...“

Odczytawszy ten list z za grobu, Maryjka przycisnęła go do ust i zapłakała rzewnie. Potém spaliła go, aby się kiedy jakim trafem do rąk czyich nie dostał, przemyła oczy, i ze spokojną twarzą wróciła do rozpoczętego zajęcia.

Na spodzie biurka leżał testament. Do otwarcia go wezwano bawiących tu jeszcze po pogrzebie marszałka i pana Karola, obecnie już jego zięcia. Hrabina otworzyła pakiet, Maryjka głośno odczytała:

„Nie mam bliskich krewnych, dalsi są dość majętni, aby moich darów nie potrzebowali, żona moja jest sama z siebie bogatą, mogę więc bez skrupułu całém mojém mieniem rozporządzić na korzyść ogółu“.

Rozporządzenia brzmiały, aby sprzedawszy jeden z majątków, jakie hrabia posiadał na Podolu, drugi oczyścić z długów, i założyć w nim dom zdrowia dla dotkniętych nerwowemi cierpieniami. Dochody z majątku miały iść na utrzymanie domu, ale zamożni pacyenci mieli składać pewną summę, umożliwiającą powiększanie liczby niezamożnych.

Wszystkie szczegóły urządzenia domu, plan i kosztorys budynków ułożone były z inteligencyą i znajomością rzeczy, wskazani też byli doktorzy, psychiatra i fizyolog, którym miano zaproponować zajęcie się chorymi.

Testator tłómaczył powody, jakie go taką myślą natchnęły:

„Jedną z głównych przyczyn spowodowujących wszechstronny rozstrój, konstatowany z trwogą w dzisiejszém społeczeństwie, jest fizyczna niemoc, nurtująca organizmy w ich części bezpośrednio wpływającéj na umysł i wolę, w systemie nerwowym. Nerwy znieczulone sprowadzają brak wytrwałéj energii i bezczynną apatyę, nerwy przedrażnione są powodem zgubnych pomysłów i niekonsekwentnych czynów, nie z dojrzałego zastanowienia, lecz z chwilowych wrażeń wypływających. Mamy dziś literaturę nerwowo-sofistyczną, fizyologią nerwowo-pesymistyczną, drzémiemy bezczynnie w bierności nerwowego osłabienia, albo się z niéj zrywamy na chwilę w jakimś szalonym wyskoku nerwowego rozdrażnienia, jak gdyby społeczeństwo nasze cierpiało ciągłą katalepsyę, przerywaną krótkiemi paroksyzmami konwulsyi.

„Pora już zwrócić na to uwagę, i zacząć plenić zło od korzeni, pora zastanowić się nad tém, jak zapobiedz ciągłemu przyrostowi statystyki waryatów, samobójców i niepoczytalnych przestępców, pora postarać się o zmniejszenie liczby ludzi, których imię jest zero pomimo najlepszych chęci, ponieważ dobra wola nie zastępuje silnéj woli.

„Niedołęstwo woli, zboczenia instynktów moralnych i władz umysłowych, dają się bardzo często wyléczyć u źródła, w organizmie. Jedno ze źródeł wielkiéj liczby złego, zatamowane zostanie wtedy, gdy dotknięci nieuleczalnie cierpieniami nerwowemi nie będą ich przekazywać dziedzicznie, a ci, co jeszcze mogą być uleczonymi, znajdą możność przywrócenia systemowi nerwowemu zachwianéj równowagi za pomocą rozumnie obmyślanéj i dobrze przeprowadzonéj kuracyi psychicznéj i fizycznéj.

„To ostatnie zadanie, jako cel sam w sobie i jako przykład, ma być podjętém przez wykonawców mojéj ostatniéj woli, która daj Boże, aby nie pozostała tak bezowocną, jak wszystkie dobre chęci mego życia“.

Na tém kończył się testament, sporządzony przed kilku laty, a niżéj, pod datą dnia śmierci, dopisano było co następuje:

„Ponieważ cierpienie moje ciągle się wzmaga, i zapewne wkrótce się skończy, przejrzałem uważnie dawne moje rozporządzenia, a potwierdzając je obecnie, wymieniam osoby, którym polecam zająć się ich wykonaniem“.

Osób wymienionych było dwie: adwokat hrabiego, człowiek rozumny i sumienny, jako tytularny egzekutor testamentu, do którego rady i pomocy odwoływać się miano, i Maryjka, jako rzeczywista wykonawczyni woli testatora. Cały spadek miał być jéj oddany do rozporządzenia w sposób wskazany w testamencie, ale z prawem poczynienia w planie testatora wszelkich zmian, jakieby uznała za stosowne. Ona téż miała objąć zwierzchni zarząd przyszłéj fundacyi, i dożywotnią nad zakładem opiekę. Do pomocy winna była przybrać osobę niemłodą, poważną i poważaną; w formie rady wskazana była *mistress* Lennox. O przyszłéj kierowniczce swego zakładu zmarły pisał w ten sposób:

„Dojrzała charakterem i umysłem, chociaż zaledwie pełnoletnia wiekiem, ona myśl moję zrozumie, z zapałem ją podejmie, z wytrwałém poświęceniem odda się jéj wykonaniu, a z korzyści ogółu zrobi jedyny cel i jedyne szczęście całego swego życia".

Późniéj szło kilka małych legatów dla starych sług, i zapis paru tysięcy dla panny Heleny, jako pomoc do przeprowadzenia studyów uniwersyteckich.

Wszystkie swoje kosztowności i sprzęty hrabia zostawiał żonie, zastrzegając, aby rozdzieliwszy je między jego przyjaciół i krewnych na pamiątkę, sobie z nich zatrzymała, co sama zechce.

Doczytawszy do końca, Maryjka wzrok pytający podniosła na hrabinę.

— Pomysł ekscentryczny, ale szlachetny—rzekła pani Nina. — W każdym razie, ostatnia wola męża będzie dla mnie świętą.

Marszałek i pan Karol, ex-domniemani spadkobiercy, mieli miny niewyraźne i rzuciwszy po parę banalnych frazesów, wyszli z pokoju.

W korytarzu zięć rzekł do teścia.

— Jakże ojciec znajduje testament?

Marszałek wzruszył ramionami i pokazał palcami na czole zajączka.

— Dlategoż téż—podchwycił zięć—dałoby się to może zwalić.

— Uchowaj Boże! — mruknął teść. — Czy nie wiész, że u nas pomysł choćby najdziwaczniejszy, byle na jakiejś niby filantropijnéj mrzonce oparty, wywołuje frenetyczny poklask. A gniazdo os dziennikarskich, dla których taki proces byłby plastrem miodu? Na tę gratkę rzuciłyby się wszystkie pisma, i zakłółyby nas, zaplwały, opoliczkowały, a opinia ogólna poszłaby za nimi, jak barany za pastuchem.

— Hm...—zastanawiał się pan Karol — zapewne... ale czy opinia warta miliona?

Marszałek ręką machnął.

— Daj pokój — rzekł—szanse bardzo niepewne, ryzyko wielkie. Egzekutor jest znakomitym adwokatem, a ta dziewczyna, to typowa chłopska natura, zacięta wytrwałość roboczego wołu; z nimi sprawa byłaby za trudna. Daj pokój — powtórzył— Adelka po mojej śmierci będzie dość bogata, abyś nie potrzebował plątać się w niepewny zatarg ze szpitalem waryatów o legat waryata, *ce qui, par-dessus le marché, mettrai tous les rieurs contre nous.*

Zięć mocno sposępniał, ale zamilkł, i obaj wkrótce wyjechali.

(*D. n.*) *Julia Terpiłowska.*





FRANCUZI I NIEMCY

PODCZAS WOJNY.

I.

(Dick de Lonlay, tom IV-ty: Amanvillers, St. Privat, St. Marie aux Chênes, Montigny la Grange, Moscou, St. Hubert, Le point du Jour) (*).

Cały tom czwarty dzieła p. de Lonlay jest poświęcony opisaniu bitwy pod Amanvillers (bardziéj znanéj pod nazwą bitwy pod Gravelotte), która zaszła d. 18 sierpnia 1870 r.

Autor wziął, zda się, za zadanie dowieść zdrady Bazaine'a oraz odeprzéć jego tłómaczenie się i zarzuty nawzajem przez niego innym robione. Nie wypowiada wprawdzie tego wyraźnie, ale można to przypuszczać z kilku zdań, zwłaszcza że przy każdéj sposobności wytyka błędy Bazaine'a, wskazuje co powinien był zrobić a czego nie zrobił i twierdzi, że wszystko to z rozmysłem było wykonane.

Jest coś tak pełnego potwornéj grozy w obrazie odmalowanym przez autora, iż pomimo nużącego drobiazgami stylu, czyta się niektóre ustępy (jak obrona St. Privat-la-Montagne) z przyśpieszoném tętnem serca.

Sytuacya zarysowuje się odrazu tak straszna, iż porusza i przenika,—zwłaszcza ludzi pewnego usposobienia,—bardziéj niż najznakomitszy utwór Szekspirowski. Bo i on chyba nie stworzył tragiczniejszego planu.

Bitwa to stanowcza, w wojnie, od któréj zawisły losy dwóch narodów. Na scenę występuje trzech działaczy: Francuzi, Niemcy i Bazaine, z których każdy wytęża wszystkie siły dla dopięcia swego celu. Niemcy by wygrać, Bazaine by przegrać, wojsko francuskie by się obronić.

---

(1) Patrz „Ateneum" marzec 1889, str. 389.

Zdrada Bazaine'a, która zrazu jako podejrzenie tylko świta w bystrzejszych lub doświadczeńszych umysłach, rośnie z każdą chwilą i staje się pewnością dla wszystkich. Kto pojmie, kto opowie uczucia i siłę ich w każdym z wojowników osobno i we wszystkich razem, gdy zbrodnicza potęga, jak *Fatum* starożytnych nieubłagane, straszliwe, pchała ich w przepaść a oni tę przepaść widzieli i téj wrogiéj sile oprzéć się nie mogli? Jak siéć—nie! jak powietrzna atmosfera, tak otacza i ciśnie ich wola jednostki obleczonéj na chwilę nietykalną powagą; poddać się jéj muszą.

Za autorem opowiadam główne zarysy téj bitwy, jednéj z największych i najkrwawszych w tym wieku, w któréj promiennym blaskiem patryotyzmu i męstwa jaśnieje marszałek Canrobert, dowódca VI korpusu, broniący prawego skrzydła armii francuskiéj.

Po zwycięstwie pod Rezonville (d. 16 sierpnia 1870 r.) należało Bazaine'owi śpieszyć do Verdun dla połączenia się z Mac-Mahonem. Pozostawała jeszcze wolna droga na Briey, któréj Niemcy, osłabieni przegraną w dniu ubiegłym, nie mogli mu zagrodzić. Sami to przyznają a nikt ich nie posądzi o stronność dla Francuzów. Boberstaedt powiada wyraźnie: gdyby d. 17 sierp. (to jest nazajutrz po bitwie pod Rezonville) Bazaine udał się do Verdun, Niemcy nie byliby mogli stawić mu oporu. Bezczynność jego, przez cały ten dzień pod Metz, pozwoliła im wzmocnić się nowemi oddziałami i wydać bitwę.

Armie obu wodzów, Bazaine'a i Mac-Mahona, w połączeniu z korpusem Vinoy, dosięgłyby 300.000 głów. Dodawszy do téj liczby bitnego wyćwiczonego żołnierza, rezerwistów i nowozaciężnych, stanęłoby pod bronią do pół miliona ludzi. „Pół miliona ludzi i Paryż, toż to ocalenie“, woła autor. „Taka siła mogła nie tylko zasłonić Paryż lecz wyprzéć nieprzyjaciela z kraju.“ Ale Bazaine'owi nie idzie wcale o ojczyznę. On chce, aby cesarstwo upadło, chce sam zostać kierownikiem losów pokonanéj Francyi, wodzem armii i dyktatorem. Więc zamiast iść naprzód, cofa się. Stara się zachować w całości swą armię, by potém, na jéj czele, układać się z przeciwnikiem o pokój a stronnictwom krajowym narzucić swą wolę. Ale się przerachował i w końcu zdrajca padł ofiarą zdrady.“ Zabrakło żywności, nie traktować zwycięsko o pokój lecz kapitulować trzeba,—pójść pod sąd—zasłużyć na śmierć, za łaskę uważać dożywotnie więzienie i zginąć w poniewierce na obczyznie, opuszczonym od żony i od własnych dzieci. Straszna lecz zasłużona kara.

Nazajutrz po bitwie Rezonvilskiéj wojsko było najlepszéj otuchy. Zaledwo zagrano pobudkę o świcie, porwało się ze snu ochoczo, rojąc że w dniu tym pokona wroga. Tymczasem otrzymuje roz-

kaz odwrotu; zalecenie by w cichości, niby ukradkiem, ustąpiono z tych pozycyi, których wczoraj broniono z takiém poświęceniem się, które tyle ofiar kosztowały! Niespodziany ten rozkaz zdumiewa i upokarza wszystkich. Cofają się młodzi ze spuszczoną głową a stare domyślne wiarusy ze łzami wściekłości. Odwrót ten odbywa się z takim pośpiechem i nieładem, jak gdyby nie po zwycięstwie lecz po klęsce wojsko miało się ku ucieczce. Zapasy żywności i odzieży, których zabrać nie można, dla braku wozów, kazał Bazaine w stos ułożyć i spalić. Dla braku też wozów część rannych pozostaje na łasce losu. Tylko garstka duchowieństwa i siostr miłosierdzia nie rzuca nieszczęśliwych, opuszczonych bezlitośnie przez wodza.

Autor powiada, że gdyby Niemcy byli napadli Francuzów podczas tego odwrotu, straszną by zadali klęskę. Gdy wojsko z bagażami, artyleryą, ambulansami wtłoczyło się w wąwóz pomiędzy wzgórzami Génivaux i rozciągnęło się długim pasem na wązkiéj drodze, „dość było kilku tyralierów w lasach przybrzeżnych, jednéj dywizyi kawaleryi z działami a już by było po wojsku“. (*C'en était fait de l'armée*). Szczęściem Niemcy, przypuszczając w tym manewrze zasadzkę, zachowali się cicho. Gdy się rzecz wyjaśniła, zdziwienie ich i radość były niezmierne. „W takim razie nie jesteśmy pobici!“ zawołał ks. Fryderyk-Karol. Te słowa malują bez komentarzy jaką doniosłość miał ten krok francuskiego wodza, jak wielkie korzyści im przynosił. Wnet i buta germańska podniosła się zuchwale, i skromny ton depesz z dnia ubiegłego, przyznający się do prawdy, choć bardzo oględnie, nastroił się do wysokiego diapazonu i zaczął ogłaszać *urbi et orbi* wiekopomne Niemców czyny (1).

Jakim sposobem, pyta autor, człowiek „zszarzany“ jak Bazaine, znany już w Meksyku jako „bezczelny złodziéj“, stanął na czele armii Nadreńskiéj. Dlaczego Napoleon III wiedząc; iż Bazaine ma doń nieprzejednaną urazę za to, że mu przeszkodził zostać cesarzem w Meksyku—powierzył mu naczelne dowództwo? I odpowiada, że Napoleon musiał to zrobić pod naciskiem opinii, pod naciskiem „prasy opozycyjnéj“. Ogół widział zawsze w Bazainie zwycięzcę z pod Puebli, Meksyku, Oajaca, pokrzywdzonego odwołaniem. Odwołanie to przypisywano jednéj z tych konieczności politycznych, które ujmy nie przynoszą, dziwną zaś taktykę jego w tamtych stronach czy przeoczono, czy zapomniano. Przecież ta jego taktyka wojenno-polityczna była haniebną. „Kompromitować swych

---

(1) Autor niejednokrotnie się uskarża na fałszywe wieści, ze złą wolą rozsiewane, i zbija takowe. Wartoby pamiętać o tém ilekroć się czerpie z „wiarogodnych źródeł niemieckich.

spółzawodników było jego myślą wyłączną, zajęciem wyłącznem.“ Stawiał zwykle generałów, względem których był zawistny, „w konieczności działania jak najszkodliwszego dla ich opinii“; dawał im najniebezpieczniejsze zlecenia lecz nie zaopatrywał w środki do przeprowadzenia onych. Instrukcye jego bywały niejasne, nieokreślone, dające się tłómaczyć tak i owak; skombinowane w taki sposób, żeby wykonawca brał na siebie całą odpowiedzialność a Bazaine mógł się jéj wyprzéć, jeśli się rzecz niepomyślnie zakończyła— albo przybywał dopiero w ostatniéj chwili, gdy nieszczęśliwy podwładny, wpędzony przezeń podstępnie w matnię znajdował się w rozpaczliwém położeniu. Wtedy grał rolę zbawcy i fabrykował sobie opinią zdolnego wodza. Tę taktykę zastosował i w wojnie z 1870 r. Dla tego to nie posłał Frossardowi posiłków w porę (d. 6 sierp.) dla tego Canrobertowi—którego oddział zmniejszony walką dnia poprzedniego liczył zaledwo kilka bateryi (dziewięć zamiast dwudziestu) — kazał zająć najważniejszą pozycyą i dał instrukcye nieodpowiednie warunkom, w jakich go stawiał.

Kilka teraz słów o pozycyach armi francuskiéj, dla jaśniejszego przedstawienia akcyi.

D. 17 sierpnia 1870 r. zajął Bazaine okopy Amanwillerskie (*Lignes d'Amanvillers*) na przestrzeni 10—12 kilometrów, po prawéj stronie drogi z Metzu do Verdun. Lewe skrzydło miało za obronę fort St. Quentin i głęboki, trudny do przebycia parów. Front wojska osłaniała rz. Mansa (*la Mance*), ale prawe skrzydło nie miało naturalnéj obrony i było liczebnie najsłabsze. Cała zaś armia opierała się o Metz.

Szóstemu korpusowi, którym dowodzi Canrobert, brakowało parku artyleryjskiego i kartaczownic; wskutek marszów i kontrmarszów, które odbył z rozkazu swych naczelników, wszystkie oddziały nie zdążyły przybyć, bo już komunikacya była przerwaną. Nadto korpus ten, będąc w ogniu d. 16 sierp. a 17 w drodze, nie mógł zaopatrzyć się ani w amunicyą, ani w żywność, ani w paszę. Zabrakło mu téż czasu na obwarowanie się (*Pas un coup de pioche n'y a été donné, pas une barricade n'y a été élevée*). A bronić ma najważniejszéj pozycyi, bo tędy ostatnia droga do Verdun. Bazaine wié o tém wszystkiém ale niczemu zaradzić nie myśli; przeciwnie, każe Canrobertowi zająć na prawym boku najniedogodniejsze stanowisko: nie mówię najniebezpieczniéjsze lecz najniewłaściwsze. Dopiero gdy Canrobert zwrócił jego uwagę, że zostanie całkiem odosobniony śród lasów i że nieprzyjaciel może go otoczyć niepostrzeżenie, pozwolił mu zająć ostatnie krańce linii między wioskami St. Privat-la-Montagne i Roncourt. Ale i tu daje instrukcye, przeciw którym

Canrobert musi powtórnie protestować; Bazaine ustępuje, lecz odpowiedzialność za to spada na Canrobert'a.

Według praw strategiki, każde skrzydło powinno mieć naturalną obronę jak las, rzeka, wąwóz itp., w braku onych winno posiadać znaczną siłę artyleryi oraz oddziały, któreby rzucać mogło na wszystkie strony i przeszkadzać obrotom nieprzyjacielskim. Wiadomo, że takowe mają na celu otoczenie skrzydła. Bazaine kazał Canrobertowi rozciągnąć się do rz. Orne, ale dla korpusu znacznie uszczuplonego będzie to stosunkowo za wielki front. Canrobert żąda ścieśnienia go, i ma racyą, ale téż wykracza przeciw wyżéj przytoczonéj regule. Czyja wina? Można było jéj uniknąć, dodając Canrobertowi ludzi i dział. Wtedy mógłby oprzéć swe skrzydło o rz. Orne i przechylić zwycięstwo na swą stronę. Ale Bazaine tego właśnie się obawia i temu chce kryjomo zapobiedz, więc umieszcza gwardyę i amunicyę jak najdaléj od prawego boku, nie zajmuje rz. Orne, czém ułatwi Niemcom otoczenie Canroberta, kwaterę swą zakłada najdaléj od miejsca, które stanie się celem zabiegów nieprzyjacielskich (w Plappeville), przez co komunikacya z wojskiem utrudniona. Gdyby nie potworne jego zamiary, to patrząc na te wszystkie rozporządzenia, możnaby było sądzić, że albo naczelny wódz nie zna wcale sztuki wojennéj, albo że postradał zmysły.

Nie pomogą chyba usiłowania ludzi dobréj woli (Czyż dobréj woli?...), którzy pragną oczyścić tego człowieka; nie pomogły i jego pamiętniki wydane w 1882 czy 83 r., w których się podaje za „ofiarę Orleanistów", za „męczennika demokracyi", a które przeszły niepostrzeżenie. Przekraczając wyraźne prawidła strategiczne, już przez to samo stawał się winnym zdrady. Oto co opiewa regulamin: „Dowódca powinien głównie dbać o to, by go nieprzyjaciel nie zmusił do cofnięcia się ku fortecy i nie obległ w niéj. Powinien unikać takich obrotów, któreby pozwoliły nieprzyjacielowi go okrążyć... Powinien tak manewrować, aby wojsko jego mogło działać swobodnie na otwartém polu i mieć zapewnione drogi do odwrotu." „Ten jeden fakt—twierdzi p. de Lonlay, że się dał przyprzéć do fortecy i zamknąć w niéj, jest zdradą. Wódz, który wykonywa przepisy strategiczne, może zostać pobitym lecz nie otoczonym." Bazaine powinien był — (i mógł) — bądź co bądź, połączyć się z Mac-Mahonem.

Zająwszy okopy Amanvillerskie i uszykowawszy wojsko w taki sposób, żeby przegrać bitwę, zamknął się w Plappeville. Gdy nadciągający Niemcy przygotowują się do walki najsumienniéj—jeśli się tak wyrazić wolno, ściągają siły, zapasy, badają miejscowość, Bazaine nawet nie zadaje sobie pracy zwiedzenia pola, na którém

się rozstrzygać będą losy jego ojczyzny. Autor dodaje z gorzką ironią, iż się dziwi, że wojsko i tym razem nie zostało napadnięte z nienacka, albowiem Bazaine zdumiał się niezmiernie, usłyszawszy około południa, d. 18 sierpnia „szatańską kanonadę“. Był zajęty sprawdzaniem rachunków administracyjnych.

Autor twierdzi stanowczo, że gdyby Bazaine był wzmocnił prawe skrzydło jak należy, skupiając na tym punkcie artyleryę, kawaleryę i piechotę, bitwa by wypadła na korzyść Francuzów. Powiada, że kilkakrotnie w ciągu tego dnia nadarzała się sposobność zadać wrogom klęskę; śród innych zaszła ta szczególniejsza okoliczność, że wojsko niemieckie nie miało głównego korpusu, *centrum* (*L'armée tudesque n'avait pas de centre*). Biegły wódz mógł, korzystając z tego wyjątkowego zdarzenia, straszne zamieszanie sprawić w szeregach nieprzyjacielskich. „Na nieszczęście, armia francuska nie miała w tym dniu naczelnego wodza!“

Wszystko zapowiada wielką i stanowczą bitwę: zjednoczone siły wszystkich niemal państw niemieckich, 250,000 ludzi i 822 działa; poważne skupienie ducha Francuzów, którzy widząc do czego wódz ich dąży, na siebie samych tylko rachują i przygotowują się do zawziętéj obrony, a jest ich o dwie piąte mniéj (1). Walczą téż z tym zapałem, który „mierzy siły na zamiary nie zamiar według sił“, i cudów dokazują, ale rachuba, liczba, rozum są tak ważnymi przeciwnikami, że pokonywają najszlachetniejsze wysiłki.

Gdy Francuzi walczą z niepożytą energią, gdy Niemcy by złamać ten zaciekły opór wytężają wszystkie środki i taktyki i olbrzymich zasobów wojennych, gdy wszyscy ich książęta (ks. następca pruski ks. Fryderyk-Karol i August Würtemberski, ks. Albert i Jerzy sascy, ks. Ludwik Heski; generałowie Moltke, Steinmetz, Zastrow, Goeben, Manstein, Voigts-Retz) są w ogniu, co porabia Bazaine?... Bazaine zamknął się w wiejskim pałacyku, śród cienistego parku, jak gdyby tu przybył li dla użycia przyjemnéj willegiatury, grał sobie w bilard. A gdy adjutanci przylatują po rozkazy, on odpowiada:

— Niech się bronią.

Gdy nakoniec o g. 2-éj po południu wyjechał na pole walki, to zamiast skierować baczność na akcyę główną, zwrócił się w prze-

---

(1) Wojsko francuskie wynosiło 147,780 ludzi; jednak stanowczo tego nie twierdzę, bo inni podają inne cyfry, nawet p. de Lonlay powiada na drugiém miejscu, że było tylko 120,000. Chyba odtrącili 25,000 czy 27,000, któremi dowodził Canrobert, ale tego wyraźnie nie mówi.

ciwną stronę i tak się zajął drobiazgami, jak gdyby oszalał lub straciwszy przytomność, nie wiedział co robi. Ktoś wreszcie z jego sztabu zwrócił mu uwagę, że na prawém skrzydle bój coraz się wzmaga. On odparł obojętnie.

— Mają dobrą pozycyę, niech się bronią. Wreszcie poślę im dwie bateryę.

Autor dodaje, że to jest jedyne rozporządzenie, jakie w tym dniu wydał.

A tymczasem piekielna kanonada śmierć sieje od czterech godzin! 700 dział grzmi bezustannie, już 10,000 poległo i stosy trupów się powznosiły. Wojsko ginie lecz walczy; bez naczelnego wodza, bez kierownika, walczy ciągle, rzuca się na wszystkie zagrożone punkta, odpiéra niejednokrotnie wroga tak dzielnie, iż ten wątpić o sobie zaczyna, wszystko nadaremnie! Biedne, szlachetne wojsko!

Autor kładzie nacisk kilka razy na to, że Bazaine mógł, gdyby był chciał, niejednokrotnie pokonać Niemców, tak w tym dniu jak w innych, np. d. 6 sierp., gdy generał Steinmetz wydał bitwę o dzień wcześniéj, niż było postanowiono w sztabie głównym. Gdyby był posłał pomoc Frossardowi, Niemcy byliby pobici. Podobnież d. 14 sierp. gdy gen. Goltz nieopatrznie zaatakował. Dnia 18 sierp. gdy gen. Steinmetz powtórnie przekroczył rozkazy Moltkego (co nawet stało się dlań powodem niełaski) i napadł na lewe skrzydło francuskie, Francuzi tak dzielnie go odparli, że w mgnieniu oka połowa jego żołnierzy powaliła się na ziemię, a reszta uchodząc w popłochu stoczyła się na dno kamieniołomów (*Carrières du Caveau*) z wysokości 30—40 metrów. Tak wielka ich liczba śmierć znalazła na dnie tych szybów, że przestrzeń 1,500 metrów, mniéj więcéj, użyźniona krwią teutońską, pokryła się odtąd bujną trawą, a lud usnuł legendę o tym wypadku. I katastrofa podobna powtarza się przez dzień cały na lewém skrzydle.

Świetna jest obrona wioski, zwanéj Point du Jour. Od god 2-éj do 5-éj pięć ataków odparto. O godz. 6-éj gen. Zastrow postanowił raz jeszcze sprobować szczęścia, i zająwszy tę pozycyę, przeciąć Francuzom najkrótszą drogę odwrotową ku Metz. Gen. francuski Vergé odpiéra go po raz szósty. Piechota pod komendą dzielnego kapitana Girons idzie na bagnety i zmusza Prusaków do ustąpienia. Ustępując trafiają na ławicę piaskową i zostają w niéj uwięzieni „jak myszy w pułapce“. Jedni chcą się bronić i giną, inni około 300 rzucają broń i poddają się.

Wojsko francuskie zagrzane powodzeniem chce atakować wszystkiemi siłami, wszyscy się domagają tego rozkazu u Bazaine'a, lecz zdrajca wydać go nie chce!

Mimo to bywały chwile niezmiernie krytyczne dla prawego skrzydła prusko-niemieckiego. Dwa korpusy VII i VIII, odpierane z wielkiemi stratami, „zdemoralizowały się“ i część ich zaczęła się ratować ucieczką, konie zabitych ułanów i artylerzystów, rozlatując się na wszystkie strony, szerzą zamieszanie i trwogę, zaprzęgi działowe i pociągowe pędzą na oślep, zamieszanie staje się tak wielkie, że się odbija w sztabie głównym. Bismarck ucieka na skrzyni artyleryjskiéj. Wodzowie wydają rozkaz, aby opróżniono co rychléj mosty na Mozelli dla odwrotu na prawy jéj brzeg.

Wtedy król Wilhelm, który śledzi zdala przebieg walki, każe wystąpić ostatnim pułkom rezerwowym. Gen. Franzecky odbiéra odeń bezpośrednio rozkaz zajęcia ferm: Moscou, St. Hubert i Point du Jour, na czele 37,000 przeciw 24,000 Francuzów. Oddział ten składa się z samych Pomerańczyków, ludzi rosłych, wyborowych. Typ to do dziś przechowany, powiada p. de Lonlay, tych piratów, którzy rozbijali na Bałtyku. Włosy ich białe, jak u Albinosów, cera twarzy krwista, zarost twardy, głos chrapliwy, cechą charakteru brutalstwo, nawet dzikość. Ławą ścieśnioną przy ogłuszających okrzykach „hura“ następują straszni, pewni siebie, zda się niepokonani. Tak ważna to chwila, że król Wilhelm się zbliża ku miejscu zapasów i zatrzymawszy się na wzgórzu Gravelotte, chce widzieć własnemi oczyma rezultat.

Francuzi oczekują nieprzyjaciół z zimną krwią, a przypuściwszy na odległość strzału, przyjmują ich takim gradem kul, że „jak kłosy powalone burzą, tak Prusacy ścielą się na ziemię“. Nie pomaga ani liczba, ani upór; dziesięć razy atakują i dziesięć razy zostają odparci, Francuzi w końcu rzucają się z bagnetami. I powtórnie zamieszanie się wkrada w prusko-niemieckie szeregi, znów zaczynają uchodzić, a że z północy i południa miejscowość stroma, drogi i przejścia wązkie, więc w tym popłochu i tłoczeniu się konni i piesi, strącając się ze skał w parów, giną nędznie (1).

Nieprzyjaciel jednak nie daje za wygranę i ponawia ataki do 11 ½ w nocy! Nadaremnie ciemność, rozdzielając walczących, odebrała Prusakom nadzieję pokonania lewego skrzydła francuskiego (*et enleve aux Prussiens tout espoir d'obtenir le moindre avantage sur notre aile gauche. Le géneral Franzecky abandonne définitivement la lutte*). Zasługa tego dzielnego oporu, który przymusił w końcu gen. Franzeckiego do zaniechania walki, należy się dywizyom Ver-

---

(1) L'effet produit par cette panique, du II corps allemand est si grand, que les voitures d'ambulance reculent et que le mouvement de retraite se fait sentir jusque dans Gravelotte.

gé, Fauvart de Bastoul i Frossarda. Bazaine późniéj dla uniewinnienia siebie, spotwarzał Frossarda. Autor zaprzecza temu stanowczo; powiada, że generał ten niesprawiedliwie był surowo sądzony w swoim czasie, gdyż walczył mężnie, jako dobry dowódzca i patryota. Bazaine tylko jeden paraliżował wysiłki wszystkich; on jeden winien, że Francuzi nie odnieśli zwycięstwa w d. 18 sierpnia 1870 r.

Nie na lewém jednak, lecz na prawém skrzydle rozstrzygają się losy Francyi i Niemiec, bo ono broni ostatniéj już drogi do Verdun. Jak wiadomo, dowodzi tu bohater z pod Inkermanu i Zaatczy. Dano mu 25000 (27,000?) i 78 dział, ale ani jednéj kartaczówki i kazano bronić miejscowości nieufortyfikowanéj, któréj obronić niepodobna w takich warunkach. Canrobert to widzi, widzą to jego żołnierze, ale wszyscy gotowi spełnić to, czego ojczyzna od nich wymaga. Uszykowawszy strzelców na niebezpieczném stanowisku, popularny niezmiernie ten dowódca rzekł do nich z prostotą:

— Strzelcy! pamiętajcie, że liczę na was, iż się tu utrzymacie bądź-co-bądź!

— Tak! tak! Licz na nas — odpowiadają ci nieznani bohaterowie, i podrzucając kepi w górę, wołają — niech żyje marszałek! Niech żyje Canrobert!

I dotrzymali obietnicy!

St. Marie aux Chênes, od któréj o południu rozpoczynają się kroki nieprzyjacielskie na prawym boku, jest miasteczkiem na pochyłości wzgórza. Broni go 1,450 Francuzów, atakuje 24,000 połączonych Prusaków z Sasami, pod wodzą ks. Augusta Würtemberskiego. 78 dział bombarduje nieszczęśliwą mieścinę. A tak się mężnie broni ta garstka Francuzów, że nowe przeciw niéj idą siły; już nie 24,000, lecz 33,000 mają przeciw sobie, czyli 23 na jednego i 17 dział na jedną armatkę! (Dodać potrzeba, że armaty, któremi rozporządzał Canrobert, były mniejszego znacznie kalibru od niemieckich i nie niosły tak daleko). Wszyscy się prześcigają w dowodach męstwa i poświęcenia. Oto młody dobosz, któremu granat urwał nogę, oparł się o szmat muru i, jakby nie czuł bólu, tak spokojnie w takt bije na bębenku, nawołując do ataku; tylko coraz bledszy i bledszy, coraz więcéj życia uchodzi tą purpurową strugą, któréj gorący strumień wsiąka w rodzinną ziemię. I nie kochać-że téj ziemi!...

O godzinie 3½ miasteczko wzięte po tak uporczywéj obronie, że Niemcy głosili, iż z kilku pułkami mieli do czynienia i że miejscowość była ufortyfikowana. Autor stanowczo temu zaprzecza.

Nie było więcéj nad 1450 ludzi, a fortyfikacyą mury, jakie zwykle się znajdują po prowincyonalnych francuskich miasteczkach przy domostwach, ogrodach i t. p.

Wzięcie St. Marie aux Chênes było wstępem do zaiste epicznéj walki przy St. Privat-la-Montagne. Jest to jakby odbrębna bitwa śród bitwy ogólnéj.

Wiadomo już jakiéj wagi była to pozycya dla stron obu. Niemcy, by ją zająć koniecznie, postanowili szturm przypuścić z dwóch stron jednocześnie, od frontu i z boku, to jest od wioski Roncourt. Ks. Saskiemu rozkazano otoczyć prawe skrzydło na czele 37,000 Sasów. Tak więc 25,000 Francuzów ma przeciw sobie 70,000 i 300 dział!

Pewien oficer niemiecki opowiadał późniéj: „mieliśmy tyle dział na tym punkcie, żeśmy nie wiedzieli jak je rozmieścić, więc stawialiśmy jedne nad drugiemi piętrami“. A Francuzi na to odpowiadają 18 armatkami! Canrobert pomimo to nie traci ducha, a jego przykład oddziaływa na wojsko; wszyscy walczą na wyścigi i prosty żołnierz wyrasta na bohatera. Chwilami Niemcy powątpiewają o sobie. Czegóżby Canrobert nie dokazał z tą gwardyą, która bezczynnie stoi w rezerwie i z temi 120 działami wielkiego kalibru, które na przeciwnym krańcu milczą, jakby były niepotrzebne. A tu ludzie giną, ładunki wychodzą i o 5-éj godzinie milknie ostatnia baterya!...

Pomimo to jednak, jeszcze są górą (*A 5 h. du soir les Allemands n'ont pas encore pu parvenir à entamer la droite de l'armée française*). Canrobert trzy razy upominał się o odsiecz, ale nadaremnie

Chwila względnéj ciszy następuje. Francuzom zabrakło nabojów armatnich. Niemcy zatrzymali się przed przypuszczeniem ostatniego szturmu, jak się zatrzymuje i zbiéra dziki zwierz do skoku na zdobycz (1). Głęboki smutek przenika wszystkich, widzą się opuszczeni, zdradzeni, na śmierć bezużyteczną skazani. Lecz zwątpienie to nie trwa długo; w mgnieniu oka następuje reakcya i ze zdwojoną wściekłością bój wrzéć znów zaczyna. I znów nowe siły Niemców idą, już jest ich do 100,000!... Dla zadania ostatecznego ciosu występuje ta sławna gwardya królewsko-pruska (37000) z wyborowych ludzi złożona, którą tak się szczycą berlińczycy, tak radosnemi witają oklaski, ilekroć w bogatych mundurach poważnie szykuje się we dwa szeregi „Pod Lipami“. Ta gwardya, która się taką chwałą okryła w r. 1866 pod Chlumem, straci tu, w pierwszém starciu do 8,000; pozostaną z niéj ledwo szczątki, które

(1) Zatrzymali się, bo ks. Saski nie zdążył był jeszcze do Roncourt.

gdzieś o kuli nędzny żywot wlec będą. Król Wilhelm, pisząc do królowéj, nazywa to miejsce „grobem gwardyi“, w raportach urzędowych było powiedziane „pole żałobne gwardyi królewskiéj pruskiéj“. Tak zażarte były zapasy, iż żołnierze prusko-niemieccy, zalęknieni w końcu, naprzód iść nie śmieli i byliby może haniebną ratowali się ucieczką, gdyby wyżsi oficerowie nie zajęli miejsca niższych i dla dodania odwagi walczyć w szeregach nie zaczęli (1).

Straszne to dzieje ta obrona St. Privat. Działa grzmią, aż drży ziemia; krew się leje i ludzie w niéj brodzą. Domy w ruinach, ambulanse zajmują się płomieniem, kościół goreje jak olbrzymia pochodnia, a w nim śmiercią męczeńską giną ranni, wkoło lasy płoną, istne morze ogniste, a na zachodzie słońce jasne, pogodne, powoli zasuwa się za horyzont...

Canrobert od dawna miał zalecone, żeby ustąpił... ale on chce wytrwać na stanowisku; już same tylko gruzy, oni jeszcze się bronią, już nie ma nabojów, więc z kolbą, jak na psa wściekłego, rzucają się na wroga i giną od kuli, na którą odpowiedziéć czém nie mają, a ostatni ich okrzyk: „niech żyje cesarz! niech żyje Francya!“

Canroberta odciągnięto przemocą. Zwołują wojsko o 8-éj do odwrotu, pojedyńcze grupy jeszcze walczą, bój się kończy na cmentarzu, gdzie szczupła garstka zabarykadowawszy bramę płytami grobowemi, broni się z wściekłością rozpaczy...

Taki był w główniejszych zarysach przebieg téj walki, która gdyby Bazaine spełnił był swą powinność, innyby kierunek sprawom europejskim nadała. Powtarzać za autorem, przy każdéj sposobności, obwiniać, nie będę, bo ten jeden fakt, że mając siły rezerwowe, tak w ludziach jak w amunicyi, nie posłał ich w porę na odsiecz Canrobertowi, jest dostatecznym dowodem występku wodza. Jeśli przyszłość (która lubi czasem najdziwaczniejsze niespodzianki gotować), nie przyniesie jakich nowych, nieznanych dotąd dokumentów, to Bazaine nieodwołalnie potępiony być musi. Autor w żalu kończy opowieść o téj klęsce przekleństwem na jéj sprawcę; przekleństwu temu wtóruje cały naród.

Zdając sprawozdanie z dzieła p. de Lonlay, nie mogę pominąć milczeniem kilku faktów, które on uznał za stosowne rzucić na tło tego ponurego obrazu. Takie bo wzruszające te przykłady! Istne perełki z życia ludzkiego!

Podczas obrony fermy Moscou, walczący usłyszeli krzyk trwogi dziecięcéj... Jakaś wieśniaczka, uciekając z palącéj się chaty, nie ma siły, ani iść daléj, ani unieść córeczki. Siada więc zrozpa-

(1) „Les soldats allemands se cramponnerent au sol“. (Le mot est du rapport).

czona przy rowie, nie zważając na latające kule, jakby powiedzieć chciała: niech się dzieje co chce! Wnet żołnierze zapominając o sobie, śpieszą na ratunek biednéj kobiéty; każdy chce uchronić nieszczęśliwą od niebezpieczeństw bitwy, wszyscy zajmują się nią troskliwie, a że właśnie odchodziły furgony do Metzu po żywność, umieszczono biédaczkę na jednym z nich i pocieszoną, zaopatrzoną w zapasik odprawiono w bezpieczniejsze miejsca.

Generał Brauer, będąc adjutantem w Afryce, miał przy sobie ordynansa Alzatczyka, jak on. W jednéj z potyczek widzi, że jego ordynans zajmuje miejsce przed nim. Więc go ostrzega, że ma naznaczone stanowisko na innym punkcie. A żołnierzysko na to:

— Jeśli będą celować do ciebie, panie adjutancie, to mnie kula spotka na swéj drodze. Coby mama twoja powiedziała, gdybyś został raniony?

Podczas zaciętéj walki przy St. Hubert naraz zakomenderowano: „Nie strzelać“. Zaprzestali więc i wystawieni na pociski nieprzyjaciół, czekają, pytając siebie, co to znaczy.

Rozeszła się pogłoska, że batalion strzelców pieszych francuskich, wystąpił właśnie przed walczących rodaków i że gdyby ci strzelali daléj, toby razili swoich. Dym taki gęsty, że nie pozwala dojrzéć mundurów z daleka i przekonać się o prawdzie pogłoski, a chwile są drogie, nieocenione; Niemcy zalewają gradem kul.

Naraz komendant Luccioni występuje z okopów i rzuca się naprzód, aby się przekonać, czy rzeczywiście mają przed sobą pułk bratni. Przebiegłszy ze sto metrów, zatrzymał się przed owym batalionem, nie zważając na to, że się stał celem pocisków ze wszech stron.

I jakby wyższe wyroki chciały pokazać, że poświęcenie się dla kraju i braci jest cnotą godną nagrody, ani jedna kula, których tysiące się krzyżowało, nie tknęła śmiałka. Powrócił do swoich żywy i zdrów, donosząc, że tylko wroga mają przed sobą.

Nad wieczorem przyszedł żołnierz, imieniem Andrzéj Saboul, ze zgruchotaną ręką, prosząc, by ją opatrzono. Szedł sam z pola walki, bez jęku, choć ręka ledwo się na kilku włóknach mięsnych trzymała i broczyła krwią.

— Niech go odprowadzą z innymi do wsi — powiedział główny lekarz.

— Doktorze — wstawia się za żołnierzem ksiądz de Meissas— patrz, jaka rana okropna. Pomyśl, przyszedł sam z pola walki.

— Dobrze księże—odpowiada lekarz—jeśli mi pomożesz przy operacyi, zechcesz go podtrzymać, to się wnet do niéj zabiorę.

W mgnieniu oka operacya zręcznie dokonaną została. Żołnierz wytrzymał ją ze stałością godną uwielbienia. Gdy mu zaproponowano, by wsiadł na wóz; odmówił, zostawiając miejsce dla innych, bardziéj chorych. Wtedy ksiądz znów się odezwał:

— Oprzyj się na mnie, to cię poprowadzę i wskażę drogę.

Żołnierz przyjął propozycyę kapłana i poszli razem. W drodze rozmawiając, ks. de Meissas nie tail swego podziwienia dla cierpliwości Saboula, a ten dostawszy z kieszeni książeczkę zbroczoną krwią za ojczyznę rzekł:

— Oto zkąd czerpię siłę i odwagę.

Było to dzieło „O naśladowaniu Chrystusa".

II.

(Fryderyk **III** przez Rennel Rodd. — Souvenir intimes de la cour de Tuileries par Madame Carrete).

Wydano niedawno dwa dziełka, odnoszące się do téj epoki, po których publiczność wiele sobie obiecywała: Fryderyk III przez Rennel Rodd i Wspomnienia z Tuileries pani Carette. Spodziewano się, że piérwsze, napisane pod kierunkiem żony, która była powiernicą wszystkich myśli nieboszczyka, da nam obraz wewnętrzny tego życia, które czynem zamanifestować się nie mogło; że się tam odkryje wiele sprężyn znanych faktów i ujrzy zgasłe zamiary na przyszłość. Tymczasem nic z tego. Rzeczy wszystkim znane, z kronikarską skrupulatnością zanotowane, drobne fakty biograficzne, daty (co podług mnie należałoby notować na marginesie, by nie przerywać wątku), a że się książka ukazała wtedy, gdy w pamięci wszystkich świéże były wspomnienia tych dramatów i scen, które pomimo, że się odgrywały za szczelnie zamkniętemi drzwiami, rozlegały się jednak echem po całéj Europie, więc rozczarowanie było wielkie. Co do wspomnień z Tuileries, to spodziewano się, że pani Carette opowié coś pieprznego o życiu cesarskiéj pary. Taki to ponętny ten tytuł „*Souvenirs intimes*"... Srodze się jednak zawiedli amatorowie skandalów i tajemnic dyplomatycznych. Pierwsze dzieło jest nieznośnym panegirykiem, a w drugiém „pieprznéj przyprawy" ani „na ziarnko gorczyczne".

O biografii Fryderyka III, parę następnych zdań autora da odrazu dokładną miarę.

„Fryderyk III był człowiekiem w całém znaczeniu wyrazu". To coś niby „*ecce homo*" piłatowskie. „Był to książe, który zawsze robił dobrze wszystko to, co robił" (str. 7). To już niby Pan Bóg. Dotąd tylko Biblia miała prawo twierdzić: „I widział Bóg wszystkie

rzeczy, które był uczynił, iż były bardzo dobre" (1), teraz przywłaszcza je sobie p. Rennel Rodd, maluczko, maluczko, a zaczną nam wszyscy Pruso-Niemcy powtarzać, że wszystko, co się dzieje w Niemczech i Prusach, jest bardzo dobre.

Po przytoczonych zdaniach następujące dodatki są już zbyteczne.

„Nie wielu śród największych wojowników może się poszczycić tak świetnemi zwycięstwy, a żaden z nich nie umiał tak zjednywać serc i zaufania żołnierzy, ani być równie wspaniałomyślnym"; albo:

„Stanął na wysokości ideału, jaki sobie zakréślił, jako syn, małżonek i ojciec. W mniemaniu spółobywateli ziścił wzór idealny wodza odważnego na polu bitwy, najdoskonalszy ideał wszystkich czasów, jako człowiek i jako książę". A nawet: „będąc tak wysoko urodzonym", był względny dla podwładnych.

Biédny wydawca dwa razy się zastrzega przeciw tym zachwytom i tłómaczy się, że podając dzieło cudze, nic w niém zmieniać nie miał prawa. Autor zaczyna z tak wysokiego tonu, iż długo się w nim utrzymać nie sposób, a że jednak kusi się o to, więc wytwarza się jakiś niesmaczny patosik, aż przykry dla czytelnika, bo się rumienić musi za naturę ludzką, że tak bywa skłonna do schlebiania potężnym.

Ciekawszym od tych hymnów jest następujący szczegółik.

Po bitwie pod Woerth, zwiedzając pole walki, spotkał Fryderyk III, w ogrodzie, który jakimś szczególnym trafem ocalał, śniadającego Bawara i zaczął z nim rozmawiać. Poczciwy Bawar upojony zwycięstwem, a może i piwem: zawołał: „Gdybyśmy w 1866 r. mieli Waszą Książęcą Mość na czele, tobyśmy byli przetrzepali tych przeklętych Prusaków".

Cesarz opowiadając to zdarzenie, dodał, że nikt mu nigdy nie powiedział milszego komplementu.

Niech mi wolno będzie się przyznać, że się nie domyślam wcale, co tu się cesarzowi niemieckiemu podobać mogło. Widziałżeby w tych słowach przywiązanie Bawarów do Prus i radość z hegemonii pruskiéj?

Nieraz już w prasie odzywały się głosy uwielbienia dla Fryderyka III. Czy to nie są czasami admiracye na kredyt? Cóż bo on tak godnego uwielbienia zrobił?... Gdzie i komu jego własna inicyatywa wyświadczyła jakie dobrodziejstwo (Mówimy o ludach nie o jednostkach). Czyż rzeczywiście był tak bez wpływu i po-

---

(1) Biblia Wuyka—wydanie 1771 r.

wagi u dworu, że głos jego nic nie znaczył? A jeśli nic nie znaczył, to gdzież ta jego wielka wartość, która się wybić na wierzch nie zdołała, czy téż musiała ustąpić jakiéjś innéj wyższéj sile umysłu, czy woli, i to przy korzyściach, jakie mu nadawało jego urodzenie?... Był liberalnym... Każdy następca tronu jest liberalny. Nie chcemy ujmować wartości nikomu, przyznajemy, iż można się było spodziéwać, że dobrym władcą będzie, ale czyby nim był — to jeszcze pytanie. Straszna choroba, długie męczeństwo, przykrości innéj natury, które mu wyrządzał nienawistny człowiek, wszystko to razem obudziło współczucie w całym świecie; współczucia tego nikt się nie wypiéra, ale czy ono nie mąci nam wzroku i nie zabarwia zdań naszych fałszywym kolorytem?

Wspomnienia z Tuileries nie zawiérają ważnego materyału dla historyka, ale dla ogółu są zajmujące. Podane szczegóły noszą cechę prawdy, a opowiedziane żywo, gładko z prostotą, tonem osoby dobrze wychowanéj i pełnéj taktu. Dziś, gdy anarchia panuje i w stylu (tu, jak u nas), gdy dekadenci się lubują w szumnobrzmiących frazesach więcéj, niż nieboszczyk Gongora, a zwolennicy naturalizmu w wyrażeniach, których próżno szukać w dykcyonarzach: Akademii francuskiéj, Larousse'a, Littrégo (któreby mógł tylko wytłómaczyć słownik straganiarek), a inni jeszcze szpikują swój styl etiopskiemi wyrazami; książka napisana bez przesady ma wdzięk jakby nowości. Żałować można, że autorka zbliżona do osoby cesarzowéj, pomija ważne wypadki, które za jéj czasów zaszły, ale zarzutu jéj z tego robić nie można. Nie ma się prawa narzucać autorowi swego założenia, wolno tylko wymagać, aby się z podjętego dobrze wywiązał. Z tego punktu rzeczy biorąc, p. Carette wywiązała się ze swego zadania z zadowoleniem publiczności. Książka już liczy kilka wydań, czyta się ją łatwo i z przyjemnością, nawet matki, cenzurujące „lekturę“ dorosłych córek, na tę mogą im bez obawy pozwolić.

W s p o m n i e n i a zawiérają rzekomo przeciąg czasu od r. 1864 do 1870 i ograniczają się do opisu życia domowego pary cesarskiéj, któréj p. Carette jest wielbicielką. Jest to przytém osoba dobra i z taktem, jak się już powiedziało; może nie mówi wszystkiego, ale to co mówi, nosi cechę szczerości i prawdy.

Ale któż to jest ta pani Carette.

Jest ona damą dworu cesarzowéj Eugenii, bliżéj określając, drugą jéj lektorką. Może się komu przyda wiadomość, że co innego jest dama dworu (*dame du palais*), a co innego dama honorowa (*dame d'honneur*). P. Carette będąc jeszcze młodziutką panną Bou-

vet, poznała parę cesarską, gdy ta zwiedzała Bretonię w 1858 r. Poczciwi Bretończycy ucieszyli się niezmiernie tą łaską swych panów, albowiem taki zaszczyt nie często ich spotykał. Od XVI w., gdy królowa Anna Bretońska, podczas pobożnéj pielgrzymki, zawadziła o Brest, wówczas małą mieścinę z warownym zamkiem, królowie uważali zwiedzenie swych prowincyi za rzecz niegodną ich majestatu i wyręczali się swymi podwładnymi. To téż, gdy cesarz Napoleon III przybył z żoną, radość mieszkańców była niezmierna; wszyscy w ruchu, wszyscy zaaferowani, a już ci, którzy mieli przyjmować dostojnych gości, raczyć ich mowami i bukietami, potracili głowy. Autorka żartobliwie, lecz bez złośliwości maluje, co się działo w domach, w których panie i panny wybiérały się na bal z téj okazyi wydany: co panowie mężowie znieść musieli, gdy się stanik nie udał, albo gdy sąsiadka kupiła ładniejszéj tkaniny na suknię, ile razy otwarli biurko i sięgnęli do sakiewki, co się nalatała służba... Lecz w największym kłopocie była p. Leblanc, żona admirała, jakie dać obicie w apartamentach dla cesarstwa w prefekturze: czy poważne jedwabne, czy świéże i lekkie, lnianego wyrobu; a już do rozpaczy doprowadzała ją myśl, jaką pościel przygotować dla cesarzowéj. Dowiedziała się bowiem, że cesarzowa używa jakichś specyalnych poduszek pod głowę, ale jakich? Czy okrągłych, czy podłużnych, czy kwadratowych, wielkich czy małych, wypchanych puchem czy włosiem? Bo gdyby, broń Boże, źle spała, dostała migreny? Okropność...

Szczęściem, pokojowe cesarzowéj przybywszy z kuframi, dostały płaską włosiem napchaną poduszkę i położywszy na wezgłowiu, uspokoiły skołatany umysł admirałowéj.

Gdy cesarstwo przybyli, strzelano z moździerzy, śpiewano *Te Deum*, recytowano mowy, ofiarowywano kwiaty, słowem, spełniono najskrupulatniéj cały ten oklepany i czczy ceremoniał, który chyba dla tłumu znaczenie miéć może. Pani Carette, wówczas młodziutka panienka, była w liczbie dziewcząt podających bukiety, i od téj chwili zaczyna się, jak w bajce, jéj szczęście, jeśli to szczęściem nazwać można. Cesarzowa ją zauważyła, upodobała; z czasem na swój dwór zabrawszy, do swojéj wyłącznie osoby przywiązała. Na ten raz szczęśliwie trafiła. Panna Bouvet okazała się szczerze przywiązaną istotą, która gdy się losy zmieniły i wszechwładna monarchini została wygnanką, zachowała dla niéj i dla jéj blizkich wdzięczne uczucie i słowo poczciwe.

Przed parą dziesiątkami lat, publiczność sądziła cesarzowę Eugenię, jak to zwykle bywa, powierzchownie, na wiarę reporterów, nieraz złéj woli. Wartoby prostować zawsze tego rodzaju

wyroki. Jeśli sąd jednostronny jest przykry dla osoby, na którą spada, bo krzywdzi ją fałszywą oceną, to dla téj, która go wydaje, jest ubliżający. Możeż być coś dziecinniejszego, jak zdanie o człowieku na mocy jednéj danéj, lub jakiegoś błahego fakciku? Tak naprzykład : cesarzowa jest elegantką, ale czy z tego można wnioskować o jéj obyczajach? Wszak są elegantki najzacniejsze i najniegodziwsze, rozumne i ubogie duchem.

Nie myślę bronić cesarzowéj pod tym względem, jak p. Carette, która chce nas przekonać, że monarchini Francuzów nie była wcale taką strojnisią, jak nam się zdaje. Chcę tylko dopełnić jéj wizerunek kilku szczegółami, mało znanemi szerszéj publiczności, a które autorka „Wspomnień“ przytacza.

Otóż dowiadujemy się, że cesarzowa była najprzywiązańszą żoną i najtkliwszą matką: że dziecko było ciągle przy niéj, wyjąwszy tylko godziny poświęcone przyjęciom dworskim, balom, lub tym obowiązkom towarzyskim, w których i w prywatnych domach dzieci zwykle są na stronie. Sama się zajmowała wszystkiém, co się jéj syna tyczyło; do lat 10 zwłaszcza, gdy wyłącznie w kobiecych zostawał rękach, nie było drobiazgu, tak co do wychowania moralnego, jak fizycznego, o którym by nie wiedziała.

Zabawny tu epizodzik przytacza p. C., szkoda, że nie dla wszystkich matek dostępny.

Dla cesarzewicza przyjęto dwie mamki, a to na wypadek, gdyby jedna zachorowała, druga była tuż pod ręką. Zdarzało się czasami, że mamka Nr. 1 zaczynała grymasić; wtedy pytano się jéj najgrzeczniéj:

— Możeś zmęczona? Może chcesz odpocząć? I owszem, odpocznij sobie, zawołamy drugiéj.

Czarodziejski wpływ wywierały te wyrazy. Wnet nachmurzone czoło się wypogadzało i najmilszy uśmiéch powracał na usta.

Po za oficyalném, życie prywatne cesarskiéj pary było pełne prostoty i bardzo czynne. Cesarz pracował wiele, cesarzowa czytywała dużo, śledziła politykę w dziennikach, a w literaturze wszystkie ważniejsze utwory. Wszystkie listy, prośby, których sporą ilość codziennie poczta przynosiła, przeglądała sama i zadość im czyniła, skoro uznała, że były uzasadnione. O wszystkiém lubiła wywiedziéć się dokładnie, protekcye nie miały u niéj żadnego znaczenia i nikt z jéj bliskiego kółka nie wywierał wpływu na nią.

Cesarstwo spotkali się po raz pierwszy w szczególnych okolicznościach. Hrabina de Montijo (matka cesarzowéj Eugenii) była z wizytą u pani Delessert, żony prefekta policyi w téj chwili właśnie, w któréj dostawiono do prefektury przyszłego cesarza, jako

więźnia, zmęczonego forsowną podróżą, niewywczasowanego—nie dozwoliwszy mu nawet umyć się i zmienić bielizny. Przyszła cesarzowa miała wówczas lat 14.

Po raz drugi spotkali się, w r. 1852, gdy więzień został prezydentem Francyi. Ujrzawszy na balu hrabiankę Teba (taki tytuł nosiła cesarzowa, będąc panną), zachwycił się jéj urodą, a oczarowany jéj wdziękiem, rozmową, wzięciem się powziął ku niéj wielkie i głębokie przywiązanie, które, twierdzi p. Carette, nie zachwiało się nigdy, pomimo pewnych... no, nie wiem jakby tę niegodziwość nazwać, żeby nie obrazić rodaków, którzy pojmują surowiéj swe obowiązki. We Francyi mąż *à la* Napoleon jest dobrym i przywiązanym małżonkiem, a rzecz sama tak powszechną, że niebogata mowa francuska posiada mnóstwo omówień, mnóstwo sposobów przedstawienia przyzwoitego téj nikczemności; i przesuwa się ona tak gładko w obyczajach i w mowie, jak się sunie jadowita gadzina śród traw i liści.

Uczucie obustronne połączyło tę parę. Cesarz, przyjęty przez pannę de Montijo, tak się do niéj odezwał:

— Jesteśmy w przededniu ważnych wypadków, nie chcę pani narażać na niebezpieczeństwa, na jakie siebie wystawiam. Powróć do Hiszpanii. Gdy się los mój ustali, to się połączymy.

Panna de Montijo na to:

— Cokolwiek się stanie, będę twą żoną. Gdyby cię los zdradził, przybądź do mojéj ojczyzny. Zawsze będziemy niezależni, a kto wié, czy nie szczęśliwsi, niż na tronie.

P. Carette mniéj mówi o cesarzu, niż o cesarzowéj, ale sylwetka jego zarysowuje się na ogół dodatnio. Jest przystępny, choć poważny, pracowity i wdzięczny. Zajmował się wiele kwestyami społecznemi, kochał lud i kraj (*Il était passionnément Français*). Cechą główną jego charakteru miała być niezmierna dobroć (*Cette bonté il eut voulu la répandre sur tout ce qui souffrait, les individus comme les nations*). O tych, którzy mu wyświadczyli jaką przysługę w ciężkich chwilach życia, gdy był tylko pretendentem, nie zapomniał, zostawszy cesarzem. Piękny to rys charakteru.

Wiadomo, że Napoleon III był za młodu więziony w Ham i strzeżony pilnie. Niejaki pan Thévelin był jednym z otaczających go osób, któremu pozwolono, od czasu do czasu, pójść po zakupienie przedmiotów potrzebnych dla więźnia. Ściśle kontrolowano te wyjścia i powroty, ale p. Thévelin potrafił wszystko przygotować do ucieczki. Skorzystano z robót, jakie się odbywały koło fortecy, przekupiono jednego z mularzy, ten oddał swą odzież, a Napoleon, wdziawszy ją i obciąwszy wąsy, wyszedł.

Napoleon III opowiadał chętnie te szczegóły i p. Carette według jego opowiadania je opisała. Twierdził, że nie doznał żadnego niepokoju, wykonywając swój zamiar. Widział siebie tak zmienionym przez odzież i brak wąsów, iż był pewny, że go nikt nie pozna; więc powoli, z deską na ramieniu, która mu część twarzy zasłaniała, przechodził przez dziedzińce, na których były straże. Przy ostatnich drzwiach upuścił fajkę; nie na rękę mu to było i już chciał ją zostawić, by co prędzéj wydostać się na zewnątrz, gdy pomyślał że właśnie straż się zdziwi takiéj obojętności palacza dla piankowéj przyjaciółki. Schylił się zatém po nią, a podjąwszy poszedł daléj równie miarowym krokiem.

P. Thévelin, który pod pozorem sprawunków wybrał się był do miasta, oczekiwał z koniem w umówioném miejscu. Napoleon szybko się pozbył odzieży robotniczéj, a przebrawszy się w płaszcz i kapelusz wiernego dworzanina, podążył ku granicy belgijskiéj. Działo się to o 7 g. zrana.

Doktór Conneau, który podzielał niewolę księcia, pozostał w jego pokoju, i tych, którzy wejść chcieli, wstrzymywał na progu, prosząc, by nie zbudzili chorego. Twierdził, że po bezsennéj gorączkowéj nocy, zmożony silną migreną, spoczywał cierpiący i osłabły. Spuszczone firanki i story utrzymywały pokój w półcieniu, a manekin okryty kołdrą łudził w tym sztucznym zmroku podobieństwem do leżącéj postaci.

W kilka godzin dopiero, gdy według rachuby książe był bezpieczny za granicą francuską, doktór Conneau wpuścił nadzorcę więzienia, który się tego domagał. Było mu bowiem nakazane surowo kilka razy dziennie odwiedzać więźnia.

Łatwo sobie wyobrazić przerażenie i gniew pana dozorcy. Doktór spokojnie stawił czoło burzy.

— Książe uszedł. Nie trudźcie się poszukiwaniem, bo jest on już w bezpieczném miejscu; inaczéj nic bym wam nie powiedział. Ze mną róbcie, co się wam podoba.

Rzeczywiście o téj porze Napoleon był już w Belgii, zkąd udał się do Ameryki.

Żona komendanta fortecy, dowiedziawszy się o ucieczce, zawołała naiwnie.

— Jakże on mógł uciekać, kiedy tak smaczne przyrządzano mu rosoły!

Troskliwa była o więźnia, którego zdrowie podkopane niewolą i zmartwieniem, wymagało starań.

Gdy dawnieszy więzień został wybrany na prezydenta, były komendant fortecy znajdował się w pułku w Lugdunie. Nazajutrz

po wyborze Napoleona otrzymał rozkaz by się stawił niezawodnie w Paryżu. Zaniepokoiło go to, a bardziéj jeszcze przelękła się jego małżonka i postanowiła towarzyszyć mężowi.

Książę przyjął ich najuprzejmiéj i mianował eks-komendanta rządcą pałacu w St. Cloud. Oficera, który podczas niewoli okazywał mu wiele przychylności, mianował rządcą pałacu Elizejskiego, zaś Dr. Conneau spędził życie przy osobie swego wdzięcznego pacyenta, otoczony szacunkiem i przyjaźnią obojga małżonków.

Najmniéj jest szczegółów w książce p. Carrette o cesarzewiczu. (Dziecko miało być dobre, posłuszne i przywiązujące się. Błękitnookie i białe jak matka, a ciemnowłose jak ojciec). W 8 leciech jeździł dobrze na koniku: zdawało się, że będzie bardzo odważny, o ile z dziecinnych upodobań wnosić można. Bawiąc się z towarzyszami, zawsze pierwszy proponował niebezpieczne wyprawy, hazardowne wycieczki, a poczucie wojskowego honoru, miał tak wielkie, naturalnie w dziecinny sposób, że nigdy się nie upierał, skoro mu powiedziano: Niech książe tego nie robi, bo to zniesławia mundur. Zostawiano mu wiele swobody, lecz od dzieciństwa wdrażano go do poddawania się wymaganiom przyzwoitości.

Wzruszające było jego przywiązanie do mamki. Po odejściu jéj zachowywał fular, który miał od niéj, i kawałek aksamitu z jéj kabaciku. Przez kika lat zasypiał z tym fularem pod głową, a ze szmatką aksamitną w ręce.

Nie mniéj téż kochał syna doktora Conneau, towarzysza swych zabaw. Pewnego razu zatrzymał go na obiad, a że obaj lubili „krem“, więc prosił, aby im go podano. Ale wielka jest niestałość rzeczy ludzkich! Zanim pora obiadowa nadeszła malcy się pokłócili i rozstali. Mały Conneau obrażony odszedł do siebie. Cesarzewicz zasiadł do stołu udając zupełną obojętność. Zrazu szło mu dobrze, ale gdy podano „krem“, nie zdołał panować dłużéj nad sobą i rozpłakał się.

— Zanieście ten „krem“ Conneau'wi, rzekł do służby, i powie dzcie, że nie potrafiłbym jeść bez niego.

Możnaby przytoczyć więcéj podobnych szczególików, malujących, to pewne osobistości, to życie dworskie; ale co ujdzie w książce większych rozmiarów, to niemożliwe byłoby w artykule. Więc znów o cesarzowéj Eugenii. Wiadomo, że była piękną, p. Carette dodaje, że trzeba było ją widzieć, by miéć pojęcie o téj nie, pospolitéj urodzie, podniesionéj wdziękiem uśmiechu, spojrzenia, obejścia pełnego prostoty i godności. Z tém miała łączyć umysł wyższy, wielką dobroć i staranne bardzo wykształcenie.

Wiadomo, że cesarzowa zbierała troskliwie wszystkie listy, papiery, tak te, które do niéj bezpośrednio przysełano, jak te, które cesarz lekceważąco rzucał do kosza. Napoleon III żartował z tego, ona zaś odpowiadała.

— „Jestem jak mysz, co zbiera okruchy.“

P. Carette, która po kilka godzin dziennie układała te papiery po szafach, twierdzi, że się w nich znajdują bardzo ciekawe dokumenty. Gdy cesarzowa pośpiesznie opuszczała Tuilerye, wszystko ważniejsze z tych zbiorów było już w bezpieczném miejscu. Gdy podczas komuny spotwarzano cesarza, można było niejednego z potwarców zawstydzić temi dokumentami, ale że Napoleon III był za wspaniałomyślnym na to, więc wolał pominąć obelgę milczeniem.

Lubiła cesarzowa upamiętniać dobrymi uczynkami ważniejsze zdarzenia w swém życiu. Podczas pobytu dla zdrowia w Dieppe w 1853 r., ofiarowała 40.000 fr. „Siostrom Opatrzności“ a 15.000 fr. na założenie „Towarzystwa pomocy“ dla starych i niedołężnych marynarzy i dla rodzin, których członkowie zginęli na morzu.

Gdy na pamiątkę ślubu Paryżanie ofiarowali pięknéj swéj monarchini drogocenny naszyjnik, prosiła ona, aby wartość jego obrócono na cel jakiś pożyteczny dla ludności paryskiéj. Jakoż za cenę téj kolii założono przytułek Eugeniusza-Napoleona, w którym dziewczynki starannie pielęgnowane, w stosownym dobrobycie, otrzymywały wykształcenie odpowiednie swym zdolnościom, lub upodobaniu. Uczyły się rysunku, albo drukarstwa, haftowania złotem i srebrem, robienia sztucznych kwiatów; mniéj zdolne uczyły się szyć, prać, prasować, wszystkie zaś przyzwyczajano do gospodarskich zajęć. W 21 r. otrzymywały wyprawkę, którą sobie podczas pobytu w zakładzie wygotowały i mały posażek, który im ułatwiał pierwsze samodzielne kroki w życiu. Cesarzowa opiekowała się troskliwie tym zakładem i utrzymywała go własnym kosztem, a, by mu zapewnić przyszłość ubezpieczyła swe życie na 2.500.00 fr., które po jéj śmierci daléj podtrzymywać mają tę pożyteczną instytucyę.

Podczas komuny, gdy wypędzano zakonnice, kierujące zakładem, komuniści zatrzymali przemocą starsze dziewczynki. Po uśmierzeniu wojny domowéj zakonnice powróciły i przełożona, nie tracąc chwili, pośpieszyła do zakładu, żeby się dowiedzieć, co się z jéj wychowankami stało. Niestety, znalazła je w takim stanie, iż lepiéj by było, aby biedne dzieci śmierć poniosły w téj bratobójczéj walce.

Zakład Eugeniusza-Napoleona istnieje dotąd i wychowuje 300 sierot. Nie jedno pokolenie wyszło już ztamtąd i setki kobiet

zawdzięcza uczciwy byt dobroczynności cesarzowéj. Obecnie przyjmują pensyonarki płatne, które za 30 fr. miesięcznie są utrzymywane i wychowywane według wzmiankowanego programu. Była chwila, po strasznéj klęsce z r. 1870, w któréj istnienie zakładu zachwiało się: 300.000 fr. długu obciążało go. Cesarzowa, nie mając dawnych sum do rozporządzania, przysłała bransolety, brosze, rozmaite klejnoty, nawet sukienkę chrzcinową syna.

Siostry miłosierdzia kierują dotąd zakładem, a stosunki serdeczne z wychowankami nie zrywają się i po opuszczeniu onego. Rada municypalna odjęła przed kilku laty subwencyę 3.000 fr. na utrzymanie budynków przeznaczoną, ale nieustraszone szarytki i niewyczerpana ofiarność kraju, starają się, aby dach i ściany, które tylu dzieciom dały schronienie, nie zawaliły się. Tylko w komnacie, służącéj do przyjmowania obcych, portret założycielki i dobrodziejki domu i portret jéj męża zakryte są czarną gęstą zasłoną.

Wogóle cesarstwo „dało potężną i inteligentną inicyatywę dziełom filantropijnym.“ Szkoły, żłobki, schronienia pomnożyły się. Cesarzowa interesowała się niemi bardzo, zwiédzała, by się przekonać naocznie, jak są prowadzone, czy się nadużycia nie dzieją, czy zmian jakich zaprowadzić nie trzeba, i często zrana w skromnéj sukni, w powozie bez herbów, z jedną tylko p. Carette zjawiała się tam, gdzie się jéj wcale nie spodziewano.

Nieraz posłyszawszy o czyjejś niedoli, niosła pomoc i pociechę osobiście, nie dając się poznać, jak świętobliwe królowe z dawnych czasów, i nieraz obdarzeni nie wiedzieli komu zawdzięczają dobrodziejstwo; a przed blizkimi, przed którymi to postępowanie utaić się nie mogło, tłómaczyła się z prostotą: łatwo by mi było posłać to, co zanoszę, ale potrzebujemy wszyscy zrobić coś dla drugich osobiście, gdy się zaś ujrzy własnemi oczyma cierpienie i nędzę, to się uczymy znosić nasze krzyże.

Cesarz również brał udział w téj działalności. Gdy wojna amerykańska, oddziaławszy zgubnie na handel i przemysł fracuski, sprowadziła przesilenie handlowe, cesarz posłał kilku prefektom (*du Rhone*, *de la Loire*, *de la Seine inférieure*, *du Nord*) 250.000 fr. z prywatnéj szkatuły dla robotników bez zajęcia.

Gdy cesarzowa, zwiedzając szpitale, zwróciła uwagę na to, że rekonwalescenci są częstokroć zbyt osłabieni, aby wychodząc z choroby, mogli niezwłocznie jąć się pracy, założono cesarski „przytułek Vincennes“. Miasto ofiarowało do 10.000 metrów gruntu, a cesarz 2.000.000 fr. ze swych dochodów. W r. 1857 podobny dom dla kobiet został orwarty w Vésinet.

Założyli szpital dla dzieci, na 405 łóżek, pod wezwaniem św. Eugenii. Szpital Dzieciątka Jezus mieścił 698 chłopczyków. Gdy rada municypalna zajęła się organizowaniem pomocy dla robotników bez zajęcia i dla rodzin przyciśniętych ubóstwem ofiarowali 600.000 fr., a towarzystwu ratowania tonących trzy pierwsze łodzie, wartości 30 000 fr. Co miesiąc składali na ręce d-ra Conneau 60.000 fr. (zawsze ze swych prywatnych dochodów) dla potrzebujących (1).

Niepodobna wyliczać po kolei wszystkich datków i wszystkich zakładów, czy nowo otworzonych, czy rozszerzonych, co wreszcie należało do obowiązków naczelnika kraju; ograniczę się zatém do kilku danych statystycznych i do paru przykładów, malujących charakter.

Od 1852 do 1869 r. liczba zakładów dobroczynnych wzrosła z 9.331 do 13.278, czyli o 3.942.

W Paryżu liczba żłobków z 73 do 87.

Przytulisk przybyło 1.904 (z 1735 do 3.633), a w nich 275.000 dzieci więcéj znalazło schronienia. Liczba towarzystw miłosierdzia macierzyńskiego z 44 do 1.860.

Wszystkiemi temi dobroczynnemi instytucyami cesarzowa się opiekowała, jak to już powiedziano, zwiédzała je, wspiérała, utrzymywała i dobroczynny jéj wpływ był widoczny nie tylko na jednostki, lecz i na rozwój instytucyi.

W zakładzie dla małoletnich przestępców zauważyła raz cesarzowa jednego o inteligentnym i śmiałym wyrazie oczu i oblicza. Zaczęła więc go rozpytywać się z macierzyńską troskliwością o przewinienie.

Chłopak, syn policyanta, przyznał się, że „ściągnął" jakąś bagatelkę na ulicy, a ojciec, upokorzony i rozgniewany, kazał go zamknąć na rok cały w domu poprawy. Chłopiec tak się przejął mściwemi uczuciami dla rodzica, że się odgrażał: „zabiję go, skoro ztąd wyjdę." Nikt nie umiał go odwieźć od tego zamiaru i dopiero cesarzowa, przygarnąwszy go ku sobie i przemawiając ze słodyczą, potrafiła go skruszyć. Winowajca upadł jéj do nóg z płaczem i przyrzekł poprawę. Cesarzowa nawzajem obiecała mu, że się wstawi do jego ojca, by mu przebaczył. Wdanie się cesarzowéj przyniosło błogie owoce. Chłopak późniéj umieszczony w warsztacie rzemieślniczym okazał się wzorowym w postępowaniu. Cesarzowa. która się nim interesowała i dowiadywała się, co się z nim dzieje, zawsze chlubne świadectwa otrzymywała od jego przełożonych.

---

(1) Zbytecznem dodawać, że dr. Conneau zasługiwał na zupełne zaufanie. Umarł ubogim.

W owym czasie ten dom kary dla małoletnich był źle urządzony. System odosobnienia oddziaływał zgubnie. Cesarzowa zwróciła na to uwagę i powzięła zamiar zamienić go na osady rolne. Wiele przeszkód musiała zwalczyć, zanim postawiła na swojém. Biurokracya, która wszędzie jest zawalidrogą, paraliżowała zbawienne jéj usiłowania. Skoro się udało porozmieszczać małych przestępców po osadach rolnych, okazały się najlepsze skutki. Przy pracy umiejętnie zastosowanéj, która ich zajmowała, w życiu czynném, na świeżém powietrzu, pod kierunkiem ludzi rozumnych i zacnych, poprawiali się bezwiednie, przemieniali bezwiednie w ludzi pracowitych i poczciwych.

W r. 1865 dwór był w Biaritz, gdy w Paryżu wybuchła cholera; lecz na pierwszą wieść powrócił do St. Cloud, by z ludem dzielić niebezpieczeństwo. W chwili, gdy każdy, kto mógł, uciekał ze stolicy, cesarz przybywał, i zwiedziwszy „Hotel Dieu“, w którym rozmawiał z chorymi, zostawił 50.000 fr. dla ofiar dotkniętych tą klęską. Cesarzowa—chora na silną grypę, wymawiała mężowi, że jéj nie zabrał z sobą, i nazajutrz, pomimo że jeszcze była cierpiącą, poświęciła dzień cały zwiedzaniu szpitalów. Była w lecznicach: Lariboisière, św. Antoniego, Beaujon; pragnąc chorych podnieść na duchu, rozmawiała z nimi, a rozmowa, gdy była wzruszoną, nabierała, twierdzi pani Carette, wielkiéj potęgi przekonywającéj. W szpitalu św. Antoniego lekarz, oprowadzający monarchinią, otworzył przez omyłkę drzwi do sali, w któréj leżeli chorzy na ospę. Spostrzegłszy się, prosił cesarzową, aby się oddaliła co prędzéj, nie narażając się na epidemią.

„I owszém, i tych chce odwiedzić, ponieważ cierpią“, miała odpowiedziéć, i weszła. Dowód to, że nie była tak próżną, za jaką ogólnie ją mają.

Wychodzącą z tych miejsc niedoli otoczyły tłumy pełne zapału, a powróciwszy do St. Cloud, spostrzegła cesarzowa, że suknia jéj podarta w szmaty. Kobiety z ludu pocięły ją na pamiątkę i podzieliły się nią jak relikwią.

Innym razem, w zakładzie św. Łazarza, trafiła na jedną z tych scen strasznych, jakie tylko występek wywołać może.

Jakaś nieszczęśliwa istota, któréj życie upłynęło w hańbie i poniżeniu, dogorywała śród strasznych mąk fizycznych i moralnych, złorzecząc ludziom i Bogu. „Dajcie mi spokój—wołała, dajcie mi umrzéć! Nie ma Boga, nie ma żadnéj Opatrzności! Ja i w piekle więcéj cierpiéć nie będę niż na ziemi.“ A wśród tego miotania się na losy i ludzi, wspomnienie o dziecięciu, które straciła w kolebce, rozdzierające żale i jęki wyrywało z jéj piersi.

Cesarzowa, wzruszona do głębi, zbliżyła się do niéj i jakby siostra miłosierdzia słowami, płynącemi z serca, do serca jéj trafić zdołała.

— Jakto!—wykrzyknęła nieszczęśliwa,—tyś cesarzowa! a nie wzdragasz się zbliżyć do takiéj, jak ja nędznicy! Ty piękna, bogata, szczęśliwa zajmujesz się nami, litujesz się nad nami! Zaiste jest Bóg, gdy ci dał tak dobre serce!

I uspokoiła się biedna, i upokorzyła: przeprosiła siostry, i dozorczynie, zażądała kapłana, wyspowiadała się i pojednana ze sprawiedliwością wiekuistą tym wielkim żalem, który maże wszelkie winy, kilka ostatnich godzin swego życia opłakanego spędziła w ukojeniu, jakiego może nigdy dotąd nie zaznała.

I powtórnie ludność otoczyła swą monarchinię ze łzami wdzięczności i z błogosławieństwy za to, że za przykładem Chrystusa nie rzuciła kamieniem na jawnogrzesznicę.

Cesarzowa jednak była surowych w téj mierze zasad, godność kobiecą ceniła nad wyraz i nie tylko czynem, lecz słowem na nią nastawać nie pozwalała, jak to następujący fakt okaże.

Na balu dworskim znajdowały się dwie panie: starsza, mężatka, i młodsza, panna. Starsza, mając jakąś urazę do młodszéj (czy do jéj rodziny) a nie spostrzegłszy jéj jeszcze śród mnóstwa osób rozproszonych w kilku salonach, w najhaniebniejszy sposób zaczęła ją spotwarzać. Jedna z dam dworu oburzona potwarzą doniosła o tém cesarzowéj. Ta dotknięta, jak każda uczciwa kobieta, krzywdą wyrządzoną niewinnéj istocie, poleciła niezwłocznie pokazać drzwi pani X. Odbyło się to wszystko w sposób elegancki: szambelan z uśmiechem zbliżył się do plotkarki, z uśmiechem doniósł, że powóz na nią czeka, z uśmiechem podał jéj ramię i wyprowadził za drzwi. Przykład godny naśladowania.

Katarzyna z Zygmuntowiczów Opacka.





ROCZNA EMIGRACYA POLSKA

I ŚRODKI PRZECIW NIEJ ZARADCZE.

Aby ocenić ruch emigracyjny jakiego kraju, aby mieć przybliżenie dokładne pojęcie o skutkach wywieranych przezeń na kraj, z którego wychodzi, a przedewszystkiém aby zrozumieć, skutkiem czego wędrówka powstała, powiększa się lub zmniejsza, trzeba oczywiście ruch ten badać w związku z ruchem ludności pod względem jéj siły rozrodczéj, śmiertelności, kultury i zamożności. Badania w tym specyalnym związku i kierunku bardzo są nieliczne, bo nader trudno je ująć w ścisłe formy naukowe; trzeba czekać na to wydoskonalenia statystyki ludnościowéj wogóle. Choćby taż statystyka była najdokładniejsza, zawsze jednak niepodobna przewidzieć, aby kiedy zdołała rozsegregować ludzi wedle różnic, jakie wciąż tworzy między nimi kultura. Np. policzenie narodu jakiego, jedynie podług przynależności państwowéj, językowéj i etnograficznéj, zawsze będzie niedokładne, bo nie ma dotąd statystyki, któraby mogła zbiérać dane podług poczucia narodowego, czynnika w bardzo rozmaitym stopniu rozwiniętego w milionach jednostek. Kultura wyciska na jednostki piętno nieraz silniejsze, niż przynależność państwowa, językowa i etnograficzna. Warto się zastanowić np. na tém, kogo prędzéj zaliczać do narodu polskiego, czy niejednego Mazura z Prus Wschodnich. który zachowując najczystszy typ lechicki w mowie, budowie ciała i obyczajach, jest patryotą pruskim, czy téż tylu cudzoziemców, którzy pokochawszy naszą narodowość, przylgnęli do niéj całém sercem, a są między nimi i tacy, w których właściwie ani jedna kropla krwi polskiéj nie płynie. Są ludności milionowe, dalsze nam może pod względem

etnograficznym od owych Mazurów wschodnio-pruskich i Szlązaków; z niemi jednak pod względem historycznym, społecznym i narodowym stanowimy jednę całość. Słowo kultura, należy rozumiéć w najszerszém znaczeniu, tj. najpierw i przedewszystkiém w znaczeniu wykształcenia umysłu i serca, lecz téż i w znaczeniu zaniedbania (np. niedojścia do świadomości tego, czém się jest), lub dobrowolnego, albo przymusowego przerobienia się, np. pokochania nowéj ojczyzny, lub ulegnięcia przymusowéj sile państwowéj innéj, jak tego uczą dzieje janczarów tureckich i tylu nowoczesnych.

Zaniedbanie to lub przeistoczenie nie koniecznie są zawsze postępem na lepsze, lecz w każdym razie niezmiernie ważnym czynnikiem w rozwoju społeczeństw. Tém się dzieje, że każdy niemal naród jest zlaniem się przenajrozmaitszych przynależności etnograficznych w jednę najsilniejszą, znaną dotąd, całość duchową.

W braku możności zaglądania każdemu w serce i umysł i zbadania w nim wpływu kultury, trzeba się przy obliczaniu narodowości trzymać głównie podstawy etnograficzno - językowéj. Jest ona bardzo ważną, lecz bynajmniéj nie wyczerpuje przynależności narodowéj.

Wykazy urzędowe i nieurzędowe, dotyczące emigracyi lub imigracyi znają niemal tylko np. Niemców, Austryaków, Węgrów i t. p., lub co najwyżéj podają przynależność prowincyonalną, np. Galicyan, Szlązaków, Poznańczyków i t. d.; należy więc dla istotnéj dokładności w to miejsce rozumiéć „z Niemiec“, „z Austryi“, „z Węgier“, „z Galicyi“, „ze Szląska“, „z Poznańskiego“ i t. p.

Obliczenie ludności, podług narodowości, odbyło się ostatni raz w Prusach właściwie jeszcze w r. 1867. Obliczenie z r. 1880 opiéra się przeważnie na mniéj więcéj prawdopodobnych wnioskach z danych 1867 r. i wykazuje liczbę Polaków na 2½ miliona. Aby wytłómaczyć zadziwiającą płodność ludności niemieckiéj w rejencyi Koźlińskiéj w Pomeranii, urzędowy statystyk pruski (*Preussische Statistik*, t. XLVIII, str. 138) dowodzi, że w mieszkańcach tamtejszych jest silna przymieszka rasy polskiéj, i że zaliczono do Niemców wszystkich Polaków, mówiących po niemiecku. Z tego przyznania się czytelnik może sobie zrobić pojęcie o dokładności statystyki pruskiéj, może najlepszéj jeszcze i najsumienniejszéj ze wszystkich.

W Austryi statystyka urzędowa 1880 r. wykazuje 3,239,000 mieszkańców, używających języka polskiego w mowie potocznéj (*Umgangssprache*).

Aby ocenić doniosłość takiego faktu, jak wędrówka masami, trzeba, nie wdając się już w ocenę silnych i niezatartych wpły-

wów kultury rozmaitéj, miéć jakiekolwiek przynajmniéj dane o ruchu ludności, który dokonywa się równocześnie tak w kraju, z którego ona uchodzi, jak w kraju, do którego podąża. Należy mianowicie badać rzecz w następujących kierunkach: 1) siła rozrodcza danéj ludności, czyli jéj płodność, 2) śmiertelność, 3) emigracya, imigracya i przewyżka jednéj nad drugą, 4) ogólny wzrost, lub ubytek źródeł dochodu i zarobku, czyli ogólny wzrost lub ubytek produkcyi i stosowny lub niewłaściwy jéj rozkład na pojedyncze jednostki. Niewłaściwym, czyli szkodliwym rozkładem produkcyi nazwałbym albo zbytnie kupienie się jéj w rękach małéj mniejszości np. rozwój latyfundyów, „które starożytny Rzym zgubiły“ tworząc bardzo małą ilość posiadaczy olbrzymich obszarów a niszcząc doszczętnie niezależnych posiadaczy mniejszych, albo zbyt daleko idącą parcelacyą ziemi.

Ludność o tyle tylko może istniéć, o ile zdoła się wyżywić, i o tyle tylko może się powiększyć, o ile się powiększą środki wyżywienia, które sobie zdobywa. Tychże nie należy rozumiéć w ścisłém znaczeniu właściwego odkarmienia się, lecz w jaknajszerszém tj. jako środki wychowania i wyrobienia się, jako korzystanie z bogactw przyrody, z stosunków geograficznych, społecznych, politycznych, wyznaniowych, jako oświata wszelka i t. d.

Wzrost całego tego olbrzymiego arsenału broni, służących do walki o własne istnienie, czyli wzrost źródeł dochodu i zarobku, jest warunkiem nieodzownym wzrostu ludności.

Myśl tę tak oczywistą, że nie potrzebuje niemal dowodzenia, Adam Smith przyobleka w następującą treściwą formułkę: „Popyt na istoty ludzkie, jak na każdy inny towar, warunkuje ich wytwarzanie, przyśpiesza je, gdy ono postępuje zbyt wolno, a wstrzymuje je, gdy zbyt szybko. Ten popyt warunkuje i reguluje stan ludności we wszystkich krajach świata“. Człowiek zatém sam przez się przedstawia się pod względem ekonomicznym jako kapitał, tj. środek do dalszéj produkcyi, tak samo, jak zwierzę lub machina, i o tyle tylko może się rozmnażać, o ile kraj jaki „potrzebuje“ jego usług, czyli może mu je wynagrodzić jaką korzyścią; o ile ich „nie potrzebuje“, człowiek nie może istniéć, tak samo jak najpożyteczniejsze zwierzęta lub machiny, gdy nie bywają użyte, giną lub rdzewieją, albo się nie wytwarzają wcale nadal.

Z samego faktu emigracyi jasno widać, że kraje, do których krocie tysięcy i miliony ludzi wędruje, bez porównania więcéj „potrzebują“ ludzi, czyli więcéj mają źródeł dochodu i zarobku, niż rodzinne strony, które oni opuszczają. Inaczéj wędrówki by nie było, lub odbywałaby się w odwrotnym kierunku. Z tego, że w imi-

gracyjnych krajach nowo przybyli są pożądani i rozmaitemi sposobami przyciągani, widnieje, że nietylko nie wypierają dotychczasowych mieszkańców ze źródeł dotąd przez nich zajętych, lecz prędzéj przyczyniają się do wytworzenia nowych, przedtém nie istniejących. Kraje te mają prawdopodobnie ludność wzrastającą w stosunku przyrodzonym tj. nie tamowaną w swoim wzroście brakiem tych źródeł, brakiem, który w krajach emigracyjnych powoduje właśnie emigracyę obok wielkiéj śmiertelności. Z drugiéj strony, w zwierciedle liczb statystycznych emigracyi i śmiertelności odbija się téż bardzo niezawodny fakt, że w krajach emigracyjnych wzrost źródeł dochodu i zarobku czyli środków wyżywienia postępuje wolniéj niż naturalny wzrost ludności, co się musi objawiać:

1) albo w emigracyi, jak w Szwecyi i Norwegii, gdzie przy niewielkiéj płodności 30 urodzin, jest bardzo mała śmiertelność (w r. 1887 na 1000 ludności, było tylko 16 wypadków śmierci) a znaczna emigracya, bo w tymże roku z Szwecyi wywędrowało 50,787 na 4,717,189 mieszkańców, czyli 10,8 na 1000 ludności, a z Norwegii 20,741 na 1,969,000 mieszkańców, czyli 10.5 na 1000 ludności;

2) albo w znacznéj emigracyi i wielkiéj śmiertelności, jak wogóle kraje polskie. Np. Poznańskie w latach 1875—1885 miało na 1000 ludności, przy ilości urodzeń 44,87, wielką śmiertelność 28,59 i bardzo wielką emigracyę 9,70 (tj. 164,161 wychodźców na 1,715,618 ludności).

Statystyka w krajach cywilizowanych zrobiła powszechnie niemałe postępy, tak, że dokładne dane można już mićć, a przynajmniéj się spodziéwać w przyszłości w każdym z nich, o ilości urodzeń, czyli sile rozrodczéj ludności, o ilości zejść, czyli jéj śmiertelności a nawet o liczbie emigrantów lub imigrantów, choć jeszcze pod tym ostatnim względem najznakomitsza, istniejąca dotąd, statystyka niemiecka, nie całkiem jeszcze dokładnie potrafiła ująć w cyfry wędrowców wymykających z Niemiec przez różne porty niemieckie, holenderskie i inne; jest ich faktycznie więcéj niż ich przedstawiają bardzo sumiennie zresztą i umiejętnie dokonane wykazy urzędowe.

Pomimo niesłychanych postępów umiejętności statystycznéj, trudno przewidzieć, czy kiedy dojdzie ona do tego, aby w każdym poszczególe kraju obliczyć dokładnie ogólny ubytek lub rozrost produkcyi i jéj rozkład na pojedyńcze jednostki, czyli ogólny ubytek lub wzrost źródeł dochodu i zarobku. Prawdopodobnie przez długi czas będzie można temu przebiegowi rzeczy przyglądać się tylko w coraz więcéj wydoskonalonych zwierciadłach statystyki

urodzeń, śmiertelności i wędrówek, oraz statystyki pojedyńczych specyalnych produkcyi.

Może dalsze badania w przyszłości wyjaśnią mniéj więcéj dokładnie, w jakim stosunku mają się do siebie w każdym kraju czynnik dążności wzrostu przyrodzonego ludności i czynnik wzrostu ogólnéj produkcyi i jéj stosownego rozkładu. Dotąd, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, drugi dościga pierwszy tylko w niektórych krajach szczęśliwéj Ameryki. Tam człowiek, w dogodnym klimacie i pod instytucyami niekrępującemi ruchów obywatela, przystępuje do ogromu niewyzyskanych bogactw przyrody, a przedewszystkiém do olbrzymich obszarów ziemi żyznéj, władając arcypotężnemi, nieznanemi poprzednio środkami nowożytnéj produkcyi. Kapitał jego jest zbrojny w kredyt całego świata cywilizowanego, i w najdzielniejsze narzędzia najnowszéj techniki. Praca jego w swobodzie swojéj nie jest skrępowana żadnym niezręcznym fiskalizmem, jest najinteligentniejszą i najpraktyczniejszą w świecie, bo zasobną doświadczeniem wieków cywilizacyi i mającą nieocenionego bodźca do szalonéj energii w samém powodzeniu, nigdy prawie niezawodzącém. Przed nim stoją otworem nieprzebrane bogactwa matki natury. Nic dziwnego, że szczęśliwy ten człowiek wytwarza taką masę wartości, o jakiéj się nie śniło Robinzonowi Kruzoe.

W takich warunkach dwa czynniki: naturalne rozmnażanie się ludności i wzrost źródeł dochodu i zarobku, taki, który wzmagającym się coraz potrzebom cywilizacyi zadość czyni, biegną równolegle, jak dwa rumaki wyścigowe, z równą szybkością, i choć nierozerwalnie są sprzężone razem, żaden z powodu towarzysza niepotrzebuje zwalniać szybkości swego biegu. Gdzieindziéj, np. w mniéj szczęśliwéj, więcéj zaludnionéj i zacofanéj, a mniéj oświeconéj i mniéj wolnéj Europie, piérwszy rumak rwie się gwałtownie naprzód, lecz pokrwawiony i wycieńczony musi wlééc się ślimaczym krokiem, bo towarzysz, brat jego siamski, tylko bardzo powoli się posuwa. W Europie stosuje się może przeważnie teorya Maltusa pod tym względem, że ludność dąży istotnie do tego, aby wzrastać szybciéj, niż na to jéj pozwala, równoczesny wzrost środków wyżywienia, tak wytwarzanych na miejscu, jak sprowadzanych zkądinąd przez wymianę na inne produkta. Lecz prawdopodobnie wzrost ich, pojętych, jako wzrost wszelkich źródeł dochodu i zarobku, nie następuje koniecznie w stosunku arytmetycznym, jak 1, 2, 4, 6 i t. p., a dążność przyrodzona wzrostu ludności w stosunku geometrycznym, jak 1, 2, 4, 8, 16 i t. d. wszędzie i jednakowo we wszystkich krajach europejskich; lecz pewnie

w proporcyach odmiennych w każdym z nich. Widać to po różnych skutkach działania powyższych dwóch czynników, tj. po bardzo różnorodnym wzroście lub ubytku ludności istotnym i różnorodnym wzroście lub ubytku produkcyi. Z tego względu przewidywania wzrostu ludności na przyszłość, na zasadzie dotychczasowego mnożenia się jéj w jakim kraju, nie mają najmniejszéj wartości, o ile nie są oparte na niezmiernie trudnych przewidywaniach równoczesnego wzrostu ogólnéj produkcyi i jéj rozkładu.

W zwierciedle faktycznego wzrostu ludności można czerpać niekiedy przybliżone pojęcie o wzroście ogólnym źródeł dochodu i zarobku. Jako jaskrawy przykład służą Stany Zjednoczone i Kanada. Miały one będąc koloniami angielskiemi, wedle obliczeń najlepszych wówczas w koloniach, 1753 r. 1,083,000 mieszkańców, w 1776 mniéj więcéj 1½ miliona, tj. tyle, ile świeżo przyłączona do Austryi część rzeczypospolitéj polskiéj, zwana Galicyą. Dziś wolne Stany Zjednoczone i pozostała przy Anglii Kanada liczą około 70 milionów, a Galicya 6½. Siła rozrodcza ludności obudwóch krajów przedstawia się mniéj więcéj w następujący sposób: na 1000 mieszkańców było w 1874 r. urodzeń w Stanach Zjednoczonych 36,2, w r. zaś 1887 w Galicyi 46,6, a więc o wiele więcéj; śmiertelność zaś w Stanach Zjednoczonych 1874 r. przedstawia się w cyfrze 22,3 na 1000 ludności, w Galicyi 1887 r. w strasznéj liczbie 36,3. Mniejsza w Ameryce, niż przecięciowo w Europie, śmiertelność, spowodowana wielkim wzrostem źródeł dochodu i zarobku, a niekoniecznie większa płodność jest głównie przyczyną szalonego wzrostu ludności od 1½ do 70 milionów w ciągu wieku; emigracya z Europy, wedle urzędowych wykazów Stanów Zjednoczonych od 1821 r. do 1887 r., wynosi 14 milionów; przypuściwszy zaś, że do Kanady oraz w ogóle do Ameryki północnéj przed 1821 r. i wogóle z innych części świata przywędrowało z jakie 6 milionów (co jest stanowczo za wielka cyfra), czyli razem 20 milionów, to zawsze zastanowienia godny jest wzrost z 1½ do 50, wobec galicyjskiego z 1½ do 6½ w tymże samym przeciągu czasu.

Polskie kraje odznaczają się pomiędzy europejskiemi wielką siłą rozrodczą, wielką śmiertelnością, wielką emigracyą i wcale pokaźnym mimo to istotnym wzrostem ludności.

W ludności polskiéj liczby urodzonych na 1000 dochodzą rocznie w rozmaitych latach, dzielnicach i powiatach od minimum 42,91 (zob. tablicę I pow. Lece od 1816 do 1867) do przeszło 51 (zob. tabl. I 1816—67, Poznań wieś 51,44 i tabl. VII Królestwo Polskie 51,00 w r. 1862); w ludności zaś niemieckiéj od 30 (tabl II, Münster 30,33 w latach 1816—74), do 42 najwyżéj (tabl. IV, Turyngia i Saksonia 42,0 w latach 1878—87).

we włoskiéj	1881 r.	było	38.30	(zob. tabl. IV)
w angielskiéj	1881 r.	„	30.30	„ „ „
„ ruskiéj	1885 r.	„	47.60	„ „ „
„ skandynawskiéj . . .	1887 r.	„	30.00	„ „ „
„ czeskiéj	1887 r.	„	38.00	„ „ V
„ hiszpańskiéj	1884 r.	„	31.00	„ „ IV
„ francuskiéj	1881 r.	„	23.50	„ „ „

Śmiertelność w polskiéj ludności przedstawia się w stosunku na 1000 głów rocznie od 28 (tabl. III Poznańskie 1875—85) do 34 i 35 (*), w niemieckiéj od 23 (tabl. IV w latach 1878—87 Szlezwig, Hanower, Bremen, Nassau) do 31 (tabl. II Sigmaringen w latach 1816—74):

we włoskiéj	1881 r.	27.70	(zob. tabl. IV)
w angielskiéj . . .	1881 r.	18.70	„ „ „
„ ruskiéj	1885 r.	34.30	„ „ „
„ skandynawskiéj .	1887 r.	16.00	„ „ „
„ czeskiéj	1887 r.	28.50	„ „ V
„ hiszpańskiéj . .	1884 r.	31.10	„ „ IV
„ francuskiéj . . .	1881 r.	22.00	„ „ „

Naturalny wzrost ludności czyli przewyżka urodzeń nad zejściami jest, skutkiem wielkiéj śmiertelności w krajach polskich, nieraz mniejsza niż w krajach niemieckich, pomimo znacznie większéj płodności plemienia polskiego (zob. tabl. II i III). Często jednak, pomimo wielkiéj śmiertelności, jest ona niesłychanie wielka i w najnowszych czasach największa w świecie; przynajmniéj dane statystyczne, jakie zebrałem, nie wskazują nigdzie równéj. Cenna ta przewyżka wynosi od *minimum* przeszło 11 (tabl. II lata 1816—1874) do 16 (tabl. III Poznańskie 1875—85) a nawet 17, 18 i 19 (tabl. IV Poznańskie z r. 1887 i 1879; tabl. VII Królestwo Polskie w latach 1840, 1858, 1862, 1873), przecięciowo zaś pewnie między 13 a 15.

Pomiędzy ludnością niemiecką jest téj przewyżki *minimum* 5.9 (tabl. II Münster 1816—1874) a *maximum* 14 (tabl. III Pomerania i Berlin w latach 1875—85, tabl. IV. Prowincya nadreńska w latach 1878—87) a wyjątkowo w prowincyi nadreńskiéj i w hanowerskiém 16.30. Przecięciowo zaś w całém państwie niemieckiém było w latach 1875—85 (zob. tabl. III) 9.20, w pruskiém 13.91 z powodu większéj proporcyi ludności polskiéj; — w Anglii 1881 r. 11.60, — we Włoszech 1881 r. 10.60, — w Rosyi 1885 r. 13.30, — Czechach 1887

(*) Ob. tabl. II, Opole, Kwidzyn Bydgoszcz 1816—1874: 33 i 35;—tabl. V Galicya 1887 r. 35;—tabl. VII Królestwo polskie 34 w 1863, a nawet wyjątkowo 37 w r. 1873 z powodu cholery.

r. 9.50, — Hiszpanii 1884 r. 6.00, — Szwecyi 1887 r. 13.40, — Norwegii 1886 r. 14.80, — Stanach Zjedn. 1874 r. 13.90, — Francyi 1881 r. 1.50.

Część naturalnego wzrostu ludności zabiera emigracya i to w przenajrozmaitszym stosunku w różnych krajach przez plemię polskie zamieszkałych. Jak po wysokich cyfrach siły rozrodczéj, śmiertelności i przyrodzonego wzrostu ludności czyli przewyżki urodzonych nad zmarłymi, tak téż i po wysokiéj liczbie wędrujących na zachód to lądem to za morze, od razu można poznać w tablicach statystycznych, pruskich i niemieckich, prowincye zamieszkałe przez Polaków. Stosunkowo na 1000 ludności wywędrowało 1875—85 wogóle (zob. Tabl. III) a więc nie tylko za morze:

z Prus Wschodnich	5.70	czyli	110.280
„ „ Zachodnich	9.40	„	145.564
„ (rejencyi Kwidzyńskiéj . .	12.44	„	103.296)
„ Poznańskiego	9.70	„	164.161
„ (rejencyi Bydgoskiéj . . .	10.91	„	65.774)
„ górnoszląskiéj rejen. Opolskiéj	5.18	„	48.471
„ szląskiéj rejencyi lignickiéj	3.05	„	31.282
„ „ rejencyi wrocławskiéj	2 40	„	37.918
„ Prus całych	3.38	„	926.739
„ Niemiec	2.99	„	1.061.408

Ze znakomitych statystyk urzędowych pruskich i niemieckich byłoby zmudném lecz możliwém zestawić istotną i stosunkową na 1000 głów liczbę emigrantów uskuteczniających wędrówkę to lądową przeważnie w głąb Niemiec, to zamorską z krajów polskich. Trudniéj byłoby rozsegregować: ilu z pomiędzy udających się po za Niemcy, pozostaje we Francyi, Anglii a ilu dociera do Ameryki. Niepodobna zaś dociec z niejaką dokładnością jaki jest stosunek Niemców i Polaków pomiędzy wędrującymi. Najbliższe prawdy byłoby obliczenie wedle istotnego stosunku liczebnego, obydwóch narodowości w każdéj prowincyi. Prąd emigracyjny nie zależy tak bardzo od przynależności plemiennéj lecz więcéj od okoliczności, w jakich się znajduje każdy kraj. W państwie niemieckiém wędrowało za morze zrazu najwięcéj z prowincyi zachodnich i środkowych, teraz zaś więcéj ze wschodnich, bez względu na narodowość. Właściwą przyczyną głębszą tego objawu jest polepszenie stosunków ekonomicznych na zachodzie wskutek rozszerzenia handlu światowego Niemiec i rozumnéj a pieczołowitéj polityki odnośnych rządów niemieckich, a równocześnie mniejsze polepszenie ich na wschodzie, nie równające się polepszeniu na zachodzie, wskutek wyjątkowych praw antypolskich i wojny celnéj z Rosyą; prawa anty-

polskie godzą w samo źródło produkcyi; wobec prądów wiejących z góry toruńskie kółko nauczycielskie przyjęło na jedném ze swych ostatnich posiedzeń cały szereg rezolucyi szowinistycznych niemieckich, z których jedna brzmi pod § 3) l. d): „nauka w realiach powinna doznać ograniczenia na korzyść nauki niemieckiego języka“ (Dziennik Poznański 2 sierpnia 1889 r. korespodencya z Prus Zachodnich). Ludność ma dążność do wędrowania od krajów, gdzie źródła dochodu i zarobku ubywają lub mnożą się powoli, do tych gdzie one wzrastają szybciéj.

Emigracyę polską można podzielić na lądową wschodnią głównie w głąb Rosyi i do krajów Bałkańskich, na lądową zachodnią głównie do krajów niemieckich i na zamorską głównie do Kanady, Stanów Zjednoczonych, Brazylii i Argentyny.

Emigracya lądowa wschodnia. Danych statystycznych brak do tego, aby z jakąkolwiek ścisłością oznaczyć roczną emigracyę polską do Rosyi, do krajów Bałkańskich i Węgierskich. Całkiem błędném jest twierdzenie Randowa i ogólne mniemanie, że prąd emigracyjny idzie zawsze ze wschodu na zachód. Istnieje emigracya niemiecka, czeska i polska do tychże wielkich krain a zwłaszcza do Rosyi, zwabiona jak zawsze mnóstwem leżących odłogiem źródeł dochodu i zarobku, a szczególnie ziemi pomimo mniéj ponętnych niż w Ameryce stosunków społecznych. Część znaczna kolonistów uchodzących za Niemców są to czystéj wody Szlązacy o ojczystéj mowie polskiéj. Istnieją dość liczne kolonijki polskie rozsiane po całym obszarze państwa rosyjskiego. Ze zdziwieniem może na mocy wydoskonalonych badań statystycznych spostrzeżemy, że emigracya nasza na wschód wynosi już z parę milionów wychodźców, szczególnie do Rosyi i pono Rumunii i że roczna cyfra téj wędrówki dochodzi od dawna do tysięcy i dziesiątków tysięcy.

W najnowszych czasach prąd ten porywa téż Żmudzinów, zwykle bardzo przywiązanych do ziemi swojéj. „W gubernii tomskiéj, okręgu kaimskim, koło sioła Spaskiego, odległego od Tomska o 60 przeszło wiorst, sformowały się dwie wioski Litwinów: Nowa Bejsagoła i Nowa Szadowa i jedna wioska Łotyszów. W promieniu 40 wiorst od Tomska, powstają także dwie wioski Łotyszów: Nowa Lanckorona i Nowy Witebsk.“ (Przegląd Katolicki warszawski i Dziennik Poznański z 22 sierpnia 1889). Istnieje téż i mazurska emigracya na wschód. Temuż samemu prądowi emigracyjnemu ulega plemię wielkorosyjskie, które z pośród siebie wydaje emigracyę roczną przeszło 50.000 do Azyi; prawdopodobnie téż i społecznie,

nie tylko politycznie, zapanuje nad olbrzymiemi obszarami tamtejszemi.

Emigracya lądowa zachodnia. Podąża ona głównie do krajów niemieckich, lecz téż do czeskich, francuskich i angielskich. W wędrówce téj uwidocznia się niejednostajność siły prądu emigracyjnego w rozmaitych krajach polskich. Wedle zestawień Randowa (*Wanderbewegung der mitteleuropäischen Völker*) na 1000 ludności do r. 1880 wywędrowało:

z Galicyi do innych prowincyi austryackich . . .	12.3
„ Bukowiny „ „ „ „ .	14.5
„ Szląska austryack. „ „ „ .	129.5
„ Prus Wschod. do in. krajów państwa niemieckiego .	72.7
„ „ Zachodnich „ „ „ .	107.7
„ Poznańskiego „ „ „ .	108.5
„ Szląska pruskiego „ „ „ .	72.8

Biorąc cyfry absolutne, było aż do r. 1880 z Galicyi i Bukowiny do krajów przedlitawskich, głównie do Czech i Niższéj Austryi,

wymiany ludności 22.383
przewyżki emigracyi nad immigracyą . . 27.914;

z Prus Wschodnich, Zachodnich, Poznańskiego i Górnosląska było

aż po r. 1880 do Niemiec wymiany ludności 100.414
przewyżki emigracyi nad immigracyą . . . 274.286.

Tak się ruch ten przedstawia wedle Randowa. Wedle statystyki urzędowéj niemieckiéj z r. 1885, wywędrowało po ten rok do reszty Niemiec z Prus Wschodnich, Zachodnich, Poznańskiego i całego Szląska (tj. zliczywszy wędrówkę z każdéj prowincyi za jéj granice w obrębie państwa niemieckiego) 984.086; przywędrowało z reszty państwa niemieckiego (zliczywszy także ilość immigrantów do każdéj prowincyi) 398.615. Przewyżka więc emigracyi nad immigracyą wynosi zatém 564.471. Cyfry te są o tyle niedokładne, że nie uwzględniają wędrówki wewnętrznéj z jednéj z tych prowincyi wschodnich do drugiéj. Różnica z zestawieniem Randowa tłómaczy się późniejszą o 5 lat datą, tudzież i tém, że mniéj dokładnie niż u Randowa oddzielone są kraje o ludności polskiéj, bo wliczone są do nich obszerne rejencye szląskie, wrocławska i lignicka, całkiem niemal niemieckie (statystyka niemiecka z 1885 r. nie podaje danych o wewnętrznéj wędrówce z pojedynczych rejencyi a więc i opolskiéj).

Wogóle nie mogąc się specyalnie zastanawiać nad wędrówką wewnętrzną zachodnią, w obrębie państw niemieckiego i austryackiego, muszę odesłać czytelnika do ciekawych prac Randowa.

Pierwsza z nich jest: *Wanderbewegung der mitteleuropäischen Bevölkerungen* w czasopiśmie *Zeitschrift der statistischen Centralcommission*, Wiedeń, 1884 r., druga jest zastosowaniem wyników pierwszéj do stosunków polskich (*Ausweisungen aus Preussen* w czasopiśmie *Tübinger Zeitschrift* r. 1885 i w oddzielnéj odbitce 1886 r.). Autor przedstawia w nich na mocy danych statystycznych, bardzo wyraźny kierunek wszelkich wędrówek ze wschodu na zachód, bez wdawania się w rozbiór przyczyn tego faktu. Fatalistycznie więc niejako z części wschodnich państwa niemieckiego, zamieszkałych przez Polaków emigracya płynie na zachód do krajów niemieckich, a nie odwrotnie, a więc z tego samego faktu germanizowanie ziemi polskiéj jest téż fatalistycznie utrudnione. Autor może przesadzając dotychczasowe dzieło germanizacyi, zbyt wielki oznacza stosunek ludności niemieckiéj do polskiéj na miejscu; np. znajduje, że w Poznańskiém jest ⅓ Niemców, ⅔ Polaków, na Szląsku ⅔ Niemców, wobec ⅓ Polaków, w Prusach Wschodnich i Zachodnich ¾ Niemców, wobec ¼ Polaków. Prawdopodobnie cyfry te są przesadzone na korzyść żywiołu niemieckiego, wskutek czego emigracya obliczona w téj saméj proporcyi narodościowéj wypada bardzo niekorzystnie dla Niemców. Randow, jakby się zmówił z filozofem nieświadomości, dzwoni gwałtownie na alarm, widzi duchowym swym wzrokiem ogromną liczbę Niemców, uchodzących do Niemiec, a pozostawiających miejsca próżne Polakom, przybywającym fatalistycznie z Królestwa i Litwy, wedle prawa niby niezmiennego kierunku wędrówki ludzkiéj ze wschodu na zachód. Wzywa więc rząd pruski do bohaterskiego wysiłku przeciw zalewowi polskiemu i proponuje cały szereg środków niegodziwych i barbarzyńskich, które, jakby za jego namową, istotnie się przeprowadzają. Środki te, jak to należy pamiętać, odrzucone zostały przez parlament niemiecki, a przyjęte przez sejm pruski.

Kierunek wędrówki Niemców, ze wschodu na zachód, nie jest spowodowany fatalnością, lecz bardzo prostemi przyczynami: na zachodzie Niemiec, ogólnie jest coraz lepszy stan ekonomiczny, tj. wzmagają się tam, pomimo znaczniejszéj ludności, o wiele więcéj i szybciéj źródła dochodu i zarobku, niż na wschodzie, jak to już wskazaliśmy wyżéj. Niechby tylko na wschodzie Niemiec ustały środki prześladowcze, niechby zapanowała wolność i prawdziwa cywilizacya, niechby nastały tam stosunki, jakie panują w Stanach Zjednoczonych od 1783 r. aż dotąd, a wnet fatalistyczny prąd emigracyjny ze wschodu na zachód by ustał, wzrost produkcyi w kraju wolnym i rozwijającym się na zasadach swojskich, przyciągnąłby ku sobie nietylko wytwory zachodu, a przedewszystkiém

Niemiec, przez zamianę w większéj mierze, niż dotąd, lecz odwróciłby w odwrotnym kierunku téż ku wschodowi emigracyę zachodnią dotychczasową; prowincye wschodnie państwa niemieckiego zakwitłyby i wtedy prawdopodobnie Polacy wysuwaliby się więcéj jeszcze na wschód.

Istotnie teraz żywioł niemiecki, ku niemałemu zdziwieniu tak naszemu, jak Niemców, ma naturalną dążność do ustępowania przed polskim. Przyczyna tego objawu jest jasna. Mnożące się wciąż zawsze pomimo wszystkiego w Polsce źródła dochodu i zarobku, są dostępniejsze dla żywiołu polskiego, raz dla tego, że się znajdują na jego rodzinnéj ziemi, a głównie dla tego, że żywioł niemiecki jako, wszystko razem wziąwszy, wyżéj pod względem cywilizacyi stojący od polskiego, jest wybredniejszy i więcéj skłonny szukać na zachodzie bliższym lub dalszym czegoś lepszego; to zaś co jednostka niemiecka opuszcza, lub co samo skądinąd wytryska, łatwiéj wystarcza dla mniéj wymagającéj jednostki polskiéj. Dostawszy się na ostatnie miejsca „stołu żywota“, miejsca, które wciąż są liczniejsze, przy coraz demokratyzujących się społeczeństwach w wieku obecnym, postępują Polacy i wogóle Słowianie, ku coraz lepszym i wyższym; widoczne to jest w miastach niedawno prawie całkiem niemieckich, jak Toruń lub Praga czeska, w których żywioł słowiański się wzmaga. Czy w tym postępie zostają przy swéj narodowości, stawszy się np. lekarzami, adwokatami i t. d., lub przechodzą do obcéj, jak to się dzieje z większą częścią przybywających do Wiednia i Niższéj Austryi Czechów (nie w Czechach i na Morawie!), zależy od siły asymilacyjnéj obudwóch narodowości. Im więcéj która z nich okaże hartu, przywiązania do swych tradycyi i innych przymiotów, tém więcéj będzie przyswajała obce sobie żywioły. Nacisk rządowy ciężko waży w tym przebiegu rzeczy. Rzecz samę głównie jednak rozstrzygają zawsze ostatecznie same społeczeństwa, po największéj części bezwiednie.

Procesa te przetwórcze są w związku ze znaną sprawą szybkiego rozmnażania się warstw niższych wobec wyższych. Stadło małżeńskie sfer wyższych jest tak dla siebie, jak dla potomków swych więcéj wymagające niż stadło warstw niższych, i nie widzi zwykle przed sobą dla tych swych potomków możności wzrastania źródeł dochodu i zarobku w takiéj mierze, jak stadło ostatnie, które najczęściéj nie zastanawia się nad tém. Wyrabia się zatém w pierwszém bardzo naturalne mniemanie, że godzi się o tyle tylko miéć dzieci, o ile się jest w stanie je wyżywić i należycie wychować; po co bowiem tworzyć istoty, które będą musiały albo się znaléść o wiele niżéj w hierarchii społecznéj, albo zgoła nie będą

mogły wogóle znaléść miejsca przy uczcie żywota, a w każdym razie nieszczęśliwy żywot pędzić? Wskutek tego rozumowania gasną znakomite starożytne i liczne rody, oraz zmniejsza się wpływ warstw dotąd przewodniczących, o ile nie potrafią, jak angielska arystokracya, zdołu sobie urządzić przypływu świeżych sił żywotnych. Wskutek tego rozumowania, wydającego się niezbitém, ludność tak wielkiego kraju, jak Francya, wzrasta niemal w zastraszająco małym stosunku w porównaniu do innych. Stadło klas niższych przeciwnie widzi często w liczném potomstwie po prostu interes ekonomiczny; chłop zyskuje bezpłatną pracę rąk około roli swéj, a robotnik w przemyśle fabrycznym nieraz poprostu wyzyskuje pracę dzieci swoich, sam nie wytężając się, a nawet próżnując, lub hulając bez miary.

Rozumowanie klas wyższych znalazło wymowny wyraz w literaturze. Są autorowie, którzy na podstawie nauk historycznych, przyrodniczych i społecznych widzą w ograniczeniu liczby dzieci środki zaradcze przeciw wszelkiemu złemu, jak socyalizmowi, nierządowi, ubóstwu, wojnie, emigracyi i t. d. Tu się jednak okazuje dowodnie prawdziwość przysłowia; „mędrszy Pan Bóg, niż pan Rymsza“ i biblijnego powiedzenia o błogosławieństwie licznego potomstwa. Dla gatunku, dla narodu, tylko pożytecznem być może nie uważanie zasady ograniczania liczby dzieci za ostatni wyraz ludzkiéj mądrości naukowéj. Jedną z przyczyn, dla których Francya nie może już górować na innymi narodami, przynajmniéj w takiéj mierze, jak końcem przeszłego wieku i początkiem obecnego, jest, że w r. 1816 miała około 30 milionów mieszkańców, kraje obecnego cesarstwa niemieckiego wówczas 24,831,396, w r. 1886 zaś Francya miała 38,218,903, cesarstwo Niemieckie w 1885 roku 46,855,704. W tym samym mniéj więcéj stosunku co niemiecka, wzrosła téż ludność i innych krajów.

Choć wzrost produkcyi i należyty jéj rozkład wpływa najwięcéj na wzrost ludności, nie jest tenże bez wpływu na powiększenie się ogólne produkcyi przez coraz intensywniejszą walkę o byt czyli coraz większe wyzyskiwanie wszelkich możliwych istniejących dotąd i otwiérających się nowych źródeł dochodu i zarobku (dzieje się to jednak tylko wyjątkowo może w Ameryce w takim stosunku, że zaspokaja wymagania odżywiania téj wzrastającéj ludności).

TABLICA I (narodowościowa — pod panowaniem pruskiém).

Rejencye i powiaty.	1867 r. na 1000 mieszkańców było niemców	1816—74 na 1000 mieszkańców było urodzeń
Polacy.		
— Rej. Królewiecka . .	214.5	41.81
Kłajpeda (*Memel*) L. . .	834.0	36.32
Labiawa (*Labiau*) L. . .	222.8	40.71
Olsztyn (*Allenstein*) . .	632.5	45.68
Szczytno (*Ortelsburg*). .	868.6	50.69
Niborg (*Neidenburg*) . .	785.8	48.16
Ostróda (*Osterrode*) . .	650.0	46.50
— Rej. Gąbińska . . .	334.9	42.01
Szyłokarczma (*Heydekrug*) L.	333.3	41.98
Niziny L.	287.8	41.74
Tylża L.	447.1	39.28
Ragneta L.	323.1	39.41
Piłkale	228.8	37.75
Olecko	381.4	45.20
Ełk (*Lyck*).	776.2	44.23
Lece (*Lötzen*).	618.8	42.91
Sensborg	711.5	42.86
Jańsborg (*Johannisburg*) .	807.5	48.46
— Rej. Gdańska. . . .	278.8	44.70
Starogard	551.9	46.64
Kościerzyna (*Behrend*) .	511.3	46.77
Kartuzy (*Karthaus*). . .	607.1	47.95
Wejherowo (*Neustadt*) .	574.7	43.64
— Rej. Kwidzyńska (*Marienwerder*).	392.9	46.66
Sztum	418.1	45.41
Kwidzyn	293.5	44.52
Lubawa (*Löbau*). . . .	781.5	49.45
Brodnica (*Strassburg*). .	642.0	51.06
Toruń	459.8	47.94
„ (Kuhn)	468.1	51.43
Grudziądz	262.6	44.15
Świece	460.1	48.34
Chojnice z Tucholą . .	519.2	47.64
Złotów (*Flattow*). . . .	281.4	45.72
— Rej. Poznańska . . .	638.0	44.80
Września	880.8	48.98
Pleszew.	805.5	47.75
Środa.	397.9	49.13
Śrem	387.2	48.81
Kościan.	774.4	49.49
Poznań (wieś).	757.9	51.44
Odolanów	859.2	43.73
Ostrzeszów	865.3	48.93
— Rej. Bydgoska . . .	501.1	46.67
Inowrocław	659.7	50.07
Mogilno.	702.2	50.49
Gniezno.	792.6	48.30
Wągrowiec	750.7	48.00
— Rej. Wrocławska . .	60.5	41.80
Namysłów	517.8	42.19
Syców (*poln. Wartenberg*)	561.1	44.30
— Rej. Opolska	650.8	46.41
Kluczborg (*Kreutzburg*) .	691.2	46.41
Oleśno (*Rosenberg*). . .	879.8	46.61
Opole	733.2	43.85
Wielkie Strzelce . . .	842.8	46.27
Lubliniec	820.0	47.92
Gliwice.	737.8	47.04
Bytom i Zabrze	768.7	55.20
Pszczyna (*Pless*). . . .	881.6	47.25
Rybnik	879.3	46.29
Koźle	822.2	45.31
Racibórz (Polacy i Czesi)	816.6	43.89
Łużycanie.		
— Rej. Frankfurcka . .	54.4	38.18
Kottbus	522.2	37.33
Spremberg.	358.8	39.50
— Rej. Lignicka. . . .	38.6	36.66
Hoyerswerda	550.9	34.89
Duńczycy.		
— Rej. Szleswig. . . .	153.6	33.32
Hadersleben	885.0	31.24
Apenrade	847.0	30.35
Sonderburg	897.0	25.56
Tondern	481.0	30.60
Wallony (Francuzi).		
Akwizgran.	22.2	36.32
Malmedy	308.7	33.59
Całe państwo pruskie. .	122.1	40.56

TABLICA II.

Stosunkowy wzrost naturalny ludności w rozmaitych rejencyach pruskich 1816—1874.

I. Rejencye o wielkim wzroście ludności.	Na 1000 ludności było rocznie urodzeń	Na 1000 ludności było rocznie zmarłych	Przewyżka urodzeń nad zejściami czyli naturalny wzrost lud.	Na 100 urodzonych było zmarłych
1 niemiecko-polskie				
Opole	48.30	34.24	14.16	70.89
Kwidzyn . . .	47.58	34.60	12.98	72.72
Bydgoszcz . .	47.81	35.04	12.77	73.29
Gąbin	45.18	33.51	11.67	74.17
Królewiec . .	43.51	31.93	11.58	73.39
2. czysto niemieckie				
Koźlin (?). . .	41.58	25.03	16.35	60.49
Szczecin . . .	40.40	26.18	14.28	64.71
Frankfurt. . .	38.58	25.36	13.22	65.73
.... i inne:				
3. niemiecko-polskie . (przeciętnie)	46.48	33.86	13.13	66.44
4. czysto niemieckie . (przeciętnie)	39.03	25.93	12.62	73.85
II. Rejencye o średnim wzroście ludności.				
1. niemiecko-polskie				
Gdańsk . . .	44.10	33.06	11.40	74.97

	Na 1000 ludności było rocznie urodzeń	Na 1000 ludności było rocznie zmarłych	Przewyżka urodzonych nad zmarłymi	Na 100 urodzonych było zmarłych
Poznań . . .	43.27	32.50	11.71	75.11
Wrocław. . .	40.80	31.19	9.61	76.45
Lignica (niem. łużyck.) . .	37.94	29.70	8.87	76.62
2. czysto niemieckie				
Stralsund. . .	36.44	24.92	11.52	68.39
Erfurt	37.83	26.35	11.48	69.65
.... i inne:				
3. niemiecko-polskie . (przeciętnie)	41.53	31.46	11.07	75.75
4. czysto niemieckie . (przeciętnie)	35.11	25.15	9.96	71.63
III. Rejencye o małym wzroście ludności.				
Berlin	35.88	29.52	6.36	82.27
Sigmaringen. .	37.64	31.32	6.32	83.21
Münster . . .	30.33	24.43	5.90	80.55
Przeciętnie . .	34.62	28.42	6.20	82.09
Całe państwo pruskie. . .	40.56	29.01	11.55	71.52

TABLICA III.

Ruch ludności wschodu państwa niemieckiego od 1875 do 1885 r.

Prowincye i Rejencye	Obszar w kilometrach □	Ludność 1875 r.	Ludność 1885 r.	Urodzonych było	Zmarłych było	(nat. wzrost) przewyż. urodzonych nad zmarł. była:	przywędrowało (+) lub wywędrowało (—)	Istotny wzrost ludności	na kilom. □ 1875 r.	na kilom. □ 1885 r.	stosunkowo rocznie na 1000 ludn. było urodzonych	stosunkowo rocznie na 1000 ludn. było zmarłych	przewyżka urodz. nad zmarł. stosunkowo na 1000	wywędr. (—) przywędrowało (+)	Istotny wzrost ludności na 1000
1. Prow. Prusy Wschod. [1]) [6])	39.833.81	1.856.421	1.959.475	733.430	580.095	213.335	—110.281	105.054	50.20	59.99	41.81	30.17	11.64	—5.70	5.39
a) Rej. Królewiec . . .	21.108.54	1.101.643	1.171.616	477.871	343.877	133.994	—64.535	68.466	52.19	55.48	41.65	29.96	11.69	—5.52	6.10
b) Rej. Gąbin	15.874.27	754.774	788.359	315.559	236.218	78.341	—45.826	35.585	47.56	49.67	40.70	30.50	10.20	—5.78	4.35
2. Prow. Prusy Zachodn. [2])	25.506.06	1.343.057	1.408.229	632.404	421.768	210.636	—145.564	65.072	52.69	60.03	45.44	33.30	12.14	—9.42	4.71
a) Rej. Gdańsk	7.947.78	543.316	578.770	248.198	168.847	79.291	—42.352	36.099	68.17	72.82	43.93	29.89	14.40	—7.50	6.54
b) Rej. Kwidzyn. . . .	17.558.28	800.741	829.459	384.206	252.921	131.305	—103.296	28.673	45.66	47.24	46.48	30.59	15.89	—12.44	3.46
3. Berlin	63.37	969.050	1.315.257	460.434	330.806	129.638	+216.605	346.237	—	—	40.82	29.27	11.55	+18.89	30.43
4. Prowincya Brandeburgia z Berlinem	39.833.81	3.126.372	3.657.698	1.105.745	762.880	342.855	1—4.484	338.369	78.36	58.80	41.34	27.26	14.08	—4.66	11.32
5. Prow. Pomerania [3]) . .	20.110.24	1.461.983	1.505.575	797.074	382.787	214.287	—73.962	43.592	48.55	50.00	39.48	25.31	14.17	—11.26	7.45
6. Prow. Poznań [5]) . . .	28.956.98	1.606.084	1.715.618	755.256	503.563	273.715	—164.161	109.534	55.47	59.25	44.87	28.59	16.28	—9.70	6.57
a) Rej. Poznań	17.507.00	1.033.747	1.106.959	475.573	303.974	171.599	—98.387	73.222	59.05	63.23	43.86	28.04	15.82	—9.03	6.22
b) Rej. Rydgoszcz . . .	11.449.00	572.337	608.659	279.683	177.587	102.096	—55.774	32.316	49.99	53.16	46.64	29.60	17.04	—10.91	6.12
7. Prow. Szląsk [4]) [7]) [8]) .	40 300.90	3.843.699	4.112.419	1.624.820	1.212.627	412.191	—143.732	268.522	95.40	102.04	40.64	32.32	8.32	—2.58	6.74
a) Rej. Wrocław . . .	13.478.00	1.472.254	1.579.248	621.109	476.197	44.901	—37.918	106.994	109.24	117.17	42.40	30.96	11.54	—2.40	6.95
b) Rej. Lignica	13.600.41	997.083	1.035.376	383.474	311.899	71.575	—31.282	40.293	73.13	76.90	37.60	30.57	7.03	—3.05	6.96
c) Rej. Opole.	13.215.78	1.376.362	1.497.595	620.237	424.503	195.704	—48.471	61.233	104.17	113.32	43.06	29.45	13.61	—5.18	8.40
Królestwo pruskie . . .	348.354.30	25.742.404	28.318.470	10.841.429	7.240.624	3.502.805	—926.739	2.576.066	73.92	81.29	39.90	26.99	12.91	—3.38	9.52
Cesarstwo niemieckie . .	540.622.30	42.727.372	46.855.704	17.864.924	12.375.184	5.489.740	—1.051.408	4.128.512	79.05	86.61	36.66	27.46	9.20	—2.99	8.20

Polaków miało być 1880 r.: 1) 350.000. 2) 470.000. 3) 4.000. 4) 740.000. 5) 890.000. — Razem 2.454.000.

Litwinów: 6) 150.000. — Czechów: 7) 50.000. — Łużycanów: 8) 50.000.

TABLICA IV.

Stosunkowy ruch ludności w Niemczech 1878 — 1887 i w innych krajach z różnych lat.

Na 1000 ludności było rocznie:	Małżeństw	Urodzeń	Nieżywo urodzonych	Zejść	Przewyżki urodzeń nad zejściami	Na 1000 urod. było z nieprawego łoża
Berlin	13.3	38.6	3.84	27.9	10.7	13.54
Prusy Zachodnie i Wschodnie .	8.1	43.1	3.81	30.3	12.8	9.59
Pomorze, Szleswig, Mekl. Lubeka	7.7	36.1	3.74	23.9	12.2	10.70
Brandeburgia (bez Berlina) . .	8.0	38.2	4.15	26.8	11.4	10.48
Poznańskie	7.9	44.4	3.60	28.3	16.1	6.07
Opolskie (Górny Szlązk) . . .	7.7	43.1	3.18	29.3	13.8	6.60
Szlązk (bez większej części Górn.)	7.8	38.8	5.09	31.1	7.8	13.21
Saksonia i Turyngia	8.7	42.1	3.81	29.1	13.0	12.36
Pruska prow. saska, Brunszwik i Anhalt	8.3	38.9	3.83	26.2	12.7	9.41
Hanower i Bremen	7.7	34.3	3.94	23.1	11.2	5.47
Prowincya Nadreńska	7.5	40.3	4.08	25.6	14.7	3.32
Nassau	7.3	34.9	3.94	23.8	11.1	5.98
Bawarya	6.8	39.4	3.22	30.9	8.7	14.61
Würtemberg i Baden	6.5	37.8	3.37	27.1	10.7	8.58
Alzacya i Lotaryngia	6.7	34.2	3.94	25.4	9.4	6.99
Królestwo pruskie (r. 1885) . .	8.0	37.8	—	23.9	13.9	—
Niemcy (r. 1885)	7.8	36.9	—	24.2	12.7	—
Austrya (r. 1887)	7.8	38.2	—	28.9	9.3	—
Węgry (r. 1880)	8.7	45.5	—	32.2	13.3	—
Rosya (r. 1885)	8.3	47.6	—	34.3	13.3	—
Stany Zjednoczone (r. 1874) . .	8.6	36.2	—	22.3	13.9	—
Francya (r. 1881)	7.3	23.5	—	22.0	1.5	—
Anglia z Irlandyą (r. 1881) . .	6.7	30.3	—	18.7	11.6	—
Włochy (r. 1881)	7.7	38.3	—	27.7	10.6	—
Belgia (r. 1886).	7.1	29.4	—	19.3	10.1	—
Holandya (r. 1888)	7.0	33.7	—	19.7	14.0	—
Hiszpania (r. 1884)	6.7	31.1	—	31.1	6.0	—
Grecya (r. 1882)	6.5	25.1	—	18.7	6.4	—
Portugalia (r. 1875)	7.5	35.0	—	24.0	11.0	—
Rumunia	14.1	38.1	—	27.9	10.2	—
Szwajcarya (r. 1888)	7.6	27.7	—	20.1	7.6	—
Szwecya (r. 1887)	6.4	29.9	—	16.5	13.4	—
Norwegia (r. 1886)	6.5	30.9	—	16.1	14.8	—
Finlandya (r. 1886)	7.4	35.6	—	22.4	13.2	—
Serbia (r. 1887).	11.2	47.1	—	25.7	11.4	—
Poznańskie (r. 1887)	—	—	—	—	18.8	—
Poznańskie (r. 1879)	—	—	—	—	19.0	—
Dania (r. 1880).	7.0	32.0	—	18.3	13.7	—

TABLICA V.

Ruch ludności w Galicyi i innych krajach austryackich

(Liczby w nawiasie oznaczają porządek w jakim kraje austryackie następują po sobie pod względem płodności, śmiertelności i naturalnego wzrostu ludności czyli przewyżki urodzeń nad zejściami).

	w r. 1887 było	w r. 1868 było	w r. 1887 było przewyżki urodzeń nad zejściami	
	urodzeń na 1000 ludn.	zejść na 1000 ludn.	istotnej	stosunkowo na 1000 ludności
Galicya [1]	48.11 (2)	35.14 (2)	77.315	12.97 (3)
Bukowina	49.15 (1)	37.51 (1)	6.657	11.64 (5)
Szlązk .	39.70 (7)	30.34 (5)	5.289	9.36 (9)
Dalmacya	43.19 (3)	26.55 (14)	7.922	16.64 (1)
Niższa Austrya .	37.68 (11)	29.83 (6)	18.288	7.85 (11)
Wyższa Austrya	31.78 (14)	27.33 (12)	3.379	4.45 (15)
Salcburg .	31.26 (16)	27.98 (11)	536	3.28 (18)
Styrya. .	31.65 (15)	25.72 (16)	7.205	5.93 (13)
Karyntya.	33.22 (13)	26.41 (15)	2.376	6.81 (12)
Kraina .	38.23 (8)	28.81 (7)	4.536	9.42 (8)
Tryest. .	35.77 (12)	31.58 (3)	607	4.19 (17)
Gorycya .	39.80 (6)	27.07 (13)	2.688	12.73 (4)
Istrya . .	41.21 (4)	28.17 (10)	3.809	13.04 (2)
Tyrol . .	29.67 (18)	25.35 (17)	3.478	4.32 (16)
Vorarlberg	30.53 (17)	24.62 (18)	563	5.91 (14)
Czechy .	37.99 (10)	28.66 (8)	51.846	9.33 (10)
Morawa .	38.16 (9)	28.59 (9)	20.615	9.57 (7)
Austrya .	40.17 (5)	30.36 (4)	217.176	9.81 (6)

[1]) Galicya miała ludn. 1/I. 1867 r. 5.212.544. 1889 r. 6.430.000
Austrya bez Galicyi „ „ 14.460.106 „ 17.166.000
Węgry miały „ „ 15.285.144 „ 17.288.300
Ludność wzrosła więc w Galicyi o 23.4%, w Austryi bez Galicyi o 18.7%, w Węgrzech o 13.1%.

TABLICA VI.

Królestwo polskie.

w latach	Ludność	Przybyło lub ubyło —	
1816	2.717.287		Okres lat 13: przyrost ogólny 52.27% roczny 4.02%
1829	4.137.634	1.420.347	
1831	3.762.003	—375.631	Okres lat 15: przyrost 1.105.126 czyli ogólny 29.38% roczny 1.96%
1832	3.914.665	152.662	
1846	4.867.129	952.868	
1847	4.857.700	—9.429	Okres lat 9: zmniejszenie ludności o —3.98% t. j. o—193.260
1848	4.790.060	—67.640	
1849	4.781.355	—8.705	
1850	4.810.735	29.380	
1851	4.851.639	40.904	
1852	4.812.877	—39.062	
1853	4.813.091	514	
1855	4.673.869	—139.222	
1856	4.696.919	23.050	Okres lat 7 przyrost 298.324 czyli ogólny 6.4% a roczny 0.91%
1858	4.791.379	82.460	
1859	4.764.416	—25.933	
1860	4.840.446	75.920	
1862	4.972.193	131.727	
1863	4.986.230	14.037	Okres lat 11 (1862—73) przyrost 1.426.600 t. j. ogółem 28.69% roczny zaś 2.61%
1866	5.388.534	402.304	
1867	5.705.607	317.073	
1869	5.780.369	74.762	
1870	6.078.564	298.195	Okres lat 57 (1816—74) powiększenie o 3.681.506 t. j. ogółem o 135.48% a rocznie przeciętnie o 2.37%
1872	6.366.192	287.628	
1873	6.398.793	32.603	

TABLICA VII.

	Królestwo polskie	1827	1838	1840	1858	1862	1863	1871	1872	1873	
1	Liczba zawartych małżeństw . . .	—	—	—	—	—	—	46.681	45.371	46.490	1
2	„ urodzeń prawych	—	—	—	—	—	—	255.633	247.146	257.773	2
3	„ „ nieprawych . . .	—	—	—	—	—	—	10.998	11.783	15.302	3
4	„ „ ogółem	—	—	—	—	—	—	266.629	259.029	273.075	4
5	„ śmierci	—	—	—	—	—	—	151.481	186.865	239.573	5
6	Przewyżka urodzeń nad zejściami .	—	—	—	—	—	—	115.148	72,164	33.502	6
7	Na 1000 osób było małżeństw . . .	12.00	9.00	—	14.00	—	—	7.50	7.10	7.30	7
8	„ „ „ „ urodzeń prawych .	—	—	—	—	—	—	41.30	38.80	40.30	8
9	„ „ „ „ „ nieprawych	—	—	—	—	—	—	1.80	1.90	2.40	9
10	„ „ „ „ „ ogółem . .	46.00	44.00	48.00	49.00	51.00	49.00	43.10	40.70	42.70	10
11	„ „ „ „ śmierci	36.00	29.00	29.00	31.00	33.00	34.00	24.50	29.40	37.40	11
12	„ „ „ „ przew. ur. nad śmier.	10.00	15.00	19.00	18.00	18.00	15.00	18.60	11.30	5.30	12
13	1 małżeństwo wypada na osób . .	—	—	—	—	—	—	134.68	140.31	137.64	13
14	urodz. prawych „ „ 1 małżeń.	—	—	—	—	—	—	5.48	5.45	5.54	14
15	1 urodz. prawe „ „ osób . .	—	—	—	—	—	—	24.23	25.76	24.82	15
16	„ „ nieprawe „ „ „ . .	—	—	—	—	—	—	563.17	540.29	418.17	16
17	„ „ ogółem „ „ „ . .	21	—	20	20	19	—	23.23	24.58	23.43	17
18	„ zejście wypada na osób	28	—	34	31	30	—	40.89	34.07	26.71	18

TABLICA VIII,

uwidoczniająca wędrówkę wewnątrz państwa niemieckiego.

	ludność w 1885	Z pomiędzy zamieszkujących kraje wymienione w I-szej kolumnie urodziło się w						
		Prusach Wschod.	Pr. Zachodnich	Berlinie	Brandeburgii	Pomeranii	Poznańskiem	Szlązku
Prusy Wschodnie .	1.959.475	1.908.043	23.436	1.646	3.210	3.815	13.338	2.228
„ Zachodnie .	1.408.229	54.173	1.269.908	2.476	7.786	26.121	24.686	4.762
Berlin	1.315.287	45.324	41.183	557.226	251.646	86.663	58.776	99.783
Brandeburgia . . .	2.342.411	17.794	14.888	59.610	2.002.846	45.976	37.393	60.657
Pomerania	1.505.575	7.753	25.543	5.130	33.025	1.392.464	9.618	6.314
Poznańskie . . .	1.715.618	5.169	35.827	2.702	12.982	8.208	1.586.386	38.184
Szląsk	4.112.212	4.125	4.327	7.058	25.588	5.675	47.576	3.934.582
Saksonia	2.428.367	6.032	5.376	7.854	37.736	7.237	19.306	24.070
Szlezwig	1.150.306	6.810	3.063	1.956	5.801	6.504	2.567	4.709
Hanower	1.172.702	5.215	2.999	2.286	7.302	5.775	4.514	6.802
Westfalia	2.204.580	14.205	8.665	1.471	3.608	2.592	7.067	14.343
Hesya i Nassau . .	1.592.454	1.803	1.226	1.761	3.100	2.012	1.497	3,932
Kraje Nadreńskie .	1.344.527	15.900	6.614	3.532	6.816	4.607	4.494	12.895
Hohenzollern . . .	66.720	28	8	14	18	15	13	47
Całe Prusy	28.318.470	2.087.383	1.442.563	654.522	2.406.465	1.592.464	1.807.229	4.214.208
Całe Niemcy . . .	46.855.704	2.106.413	1.454.760	669.705	2.451.955	1.619.844	1.825.353	4.296.678

A zatem

		Z reszty Niemiec przywędrowało		Do reszty Niemiec wywędrowało	przewyżka emigracyi nad immigracyą
Prusy Wschodnie .	1.959.475 1.903.043	52.432	2.106.413 1.904.043	203.370	146.148
„ Zachodnie .	1.408,229 1.269.908	135.321	1.454.760 1.269.908	184.652	49.631
Poznańskie . . .	1.715.618 1.586.386	129.232	1.823.353 1.586.386	238.967	109.734
Szlązk	4.112.212 3.934.582	177.630	4.286.679 3.939.582	357.097	179.467
Razem te 4 prowincye		398.615		984.086	565.471

TABLICA IX.

Uwidoczniająca wędrówkę ludności Austryi i Niemiec w obrębie tych państw z wschodnich ich części do innych.

do 1880 r. doznały były	przewyżki immigracyi nad emigracyą z krai oznaczonych w I-ej kolumnie	wymiany ludności	przewyżki emigracyi nad immigracyą do krajów oznaczonych w I-ej kolumnie
Austrya:	**I. Galicya i Bukowina:**		
Czechy, Morawa i Szlązk austryacki .	—	20.696	5.295
Niższa Austrya . .	—	1.718	21.383
Wyższa Austrya, Salcburg i Styrya . .	—	580	743
Kraina i Karyntya .	58	139	—
Tyrol i Vorarlberg .	—	135	122
Tryest, Istrya . . .	—	71	309
Dalmacya	—	44	62
		22.383	27.914
Niemcy:	**II. Prusy Wschodnie, Zachodnie, Poznańskie i Szlązk Górny:**		
Pomerania i Szlązk Dolny	—	42.123	48.999
Brandeburgia . . .	—	36.172	186.642
Saksonia, prow. Saska i Hanower . . .	—	11.399	58.368
Westfalia, prow. Nadreńska i Nassau .	—	5.308	43.218
Szleswig i brzegi morza północnego .	—	4.062	25.768
Bawarya wschodnia .	—	795	9.836
Niemcy południowo-zachodnie . . .	—	555	1.555
		100.414	274.286

Na 1000 ludności do r. 1880, wywędrowało z krajów austryackich lub niemieckich do innych wewnątrz własnego państwa:

z Galicyi 12.2,	z Prus Wschod. 72.7,	z Morawy . . 106.7,	z Szlązka austr. . 129.5,
„ Bukowiny 14.5,	„ Szlązka prusk. 72.8,	„ Prus Zachod. 107.7,	„ prusk. pr. Sask. 153.6,
„ Dalmacyi 15.1,	„ Brandeburgii 73.3,	„ Poznańskiego 108.5,	„ ks. niemieckich koło Harcu . . 162.0.
„ Niż. Austryi 40.2,	„ Czech . . . 76.7,	„ Pomeranii . 110.5,	

TABLICA X.

Wywędrowało za morze:

	1871—1881	1882	1883	1884	1885	1886	1887	1888	Razem z tych 4 prow. pruskich 1871—1889: 237.748.
z Prus Wschodn.	92.820	1.610	1.913	1.871	1.788	1.686	1.876	2.111	
„ „ Zachodn.		16.428	13.749	14.200	9.822	8.753	14.101	12.616	
„ Poznańskiego	77.425	14.221	12.548	13.508	9.784	6.722	9.258	12.434	
„ Szlązka . . .	22.000	5.379	4.679	4.548	2.870	2.930	2.962	2.368	
razem z tych 4 prowincyi .	196.245	37.638	32.899	34.127	24.266	20.091	28.197	29.529	

TABLICA XI.

Przywędrowało do

	Stanów Zjednoczonych północnej Ameryki				Stanów Zjednoczonych Argentyńskich w południowej Ameryce.		
	1886	1887	1871—1887	1888	1887	1888	1857—1888
z Rossyi (bez Finlandyi) *).	25.980	23.521	154.864	(1821—1887 przywędrowało 14.207.362; pomiędzy tymiż z Irlandyi 3.516.000, z Niemiec 4.252.000, z Szwecyi i Norwegii 791.000, z Austryi-Węgier 317.000, z Chin 289.000).	—	—	—
„ Austryi . .	22.006	24.786	201.174		2.498	2.333	16.768
„ Węgier . .	18.110	14.301	96.440				
„ Niemiec . .	86.301	101.324	1.884.750		1.333	1.536	15.271
„ Włoch . .	30.565	46.256	246.706		67.139	75.029	646.086
„ Francyi . .	4.085	5.604	105.047		7.036	17,105	91.759
„ Anglii . . .	59.773	84.656	903.371		1.038 (z Irlandyą)	1.426 (z Irlandyą)	22.952 (z Irlandyą)
„ Hiszpanii . .	452	484	7.853		15.618	25.485	144 654
„ Irlandyi . .	52.912	72.888	906.271		—	—	—
„ całej Europy	385.448	508.260	5.677.397		120.842	155.632	1.624.796
„ wszystkich części świata	392.867	516.933	6.668.932	518.518	—	—	—

*) Z Królestwa Polskiego w 1886 r. 6.389, w 1887 r. 4.960, od 1871—1887 45.055.

Do Brazylii przywędrowało 1887 r. 54.990 (z Włoch 14.225, z Niemiec 1.987).
„ „ „ 1888 r. 130.056.

TABLICA XII.

Polacy w Ameryce (przeszło milion).

I. W Brazylii.

Pernambuco 7.000, Bahia 2.000, Rio de Janeyro z 200 rodzin. „Nova Polonia“, konglomerat wsi polskich pod Curitybą, stolicą prowincyi Parana, zawierała w r. 1885 m. i. następujące wsie w kwitnącym stanie:

Angelina założona 1868, zamieszkała przez Polaków, Niemców i Szwajcarów, z 33 własnościami ziemskiemi (większemi).

Pilarzinho założone 1870 r., zamieszkałe przez Polaków, Holendrów i Niemców, z 90 własn. ziemsk. większ.

Sao Venancio	założ.	1873	r.	zam.	przez	135	polak.	z 31	włas.	ziem. w.
Santa Candida	„	1875	„	„		300	„	„ 64	„	„ „
Sao Ignacio	„	1876	„	„		350	„	„ 70	„	„ „
Sao Augusto	„	„	„	„		164	„	„ 36	„	„ „
Sao Pedro Riviere	„	„	„	„		532	„	„ 121	„	„ „
Lamenha	„	„	„	„		718	„	„ 139	„	„ „
Orleans	„	„	„	„		290	„	„ 65	„	„ „
Thomas Coelho	„	„	„	„		1280	„	„ 270	„	„ „
Alfredo Chaves	„	1878	„	„		160	„	„ 40	„	„ „
Abranches	„	1873	„	„		323	„	„ 67	„	„ „

Kolonie te pozakładał rząd brazylijski; znajduje się w nich 6.000 Galicyan i 5.000 Wielkopolan. W Curitybie wychodzi podobno polska gazeta.

II. Stany Zjednoczone (1.200.000)

Brooklyn	15.000	Cincinnati	12.000
Nowy-York . . .	15.000	Buffalo	56.000
New-Jersey (miasto)	2.000	Rochester (stan Nowy York)	4.000
Chicago	350.000	Filadelfia	7.000
Connecticut . . .	?	Greenwood (Kalifornia) . .	16.000
Millwaukee . . .	40.000	Wilkesbare (New Jersey) .	12.000
Minnesota . . .	12.000		

(D. n.) *St. Kłobukowski.*



DZIEDZICZNOŚĆ POD WZGLĘDEM EMPIRYCZNYM.

I.

Rozległa już i bujna we wzroście swoim literatura, poświęcona badaniom dziedziczności w świecie jestestw organicznych, pod pewnym względem przedstawia dziś godne uwagi zjawisko, przypominające zachwianą instytucyą finansową. Wszystko odbywa się tam gładko i w normalnym napozór trybie, dopóki chodzi o drobne interesa codzienne, o wypłaty pokrywane wpłatami bieżącemi. Skoro jednak wypadnie podnieść znaczniejszą naraz sumę, kotrola wnet wykrywa zasadniczą niewypłacalność i instytucya upada. To samo dzieje się z dziedzicznością. Przelewanie się cech z przodków na mniéj lub więcéj bezpośrednie potomstwo jest faktem w wielu razach tak oczywistym, tak narzucającym się każdemu wzrokowi i trafiającym do przekonania, że na pierwszy rzut oka zadanie wydaje się nader łatwém: pozostaje tylko gromadzić fakta w najrozmaitszych kierunkach i w coraz szerszym zakresie, by następnie gatunkować je według naturalnych kategoryi, obrachować statystycznie procentowy stosunek tych kategoryi i wreszcie wytknąć prawo, nietylko już jakościowo, lecz i ilościowo określone. Jakoż, w chwilach wolnych od kontroli, fakta te gromadzą się w obfitości, piętrzą się tomy poważnych rozmiarów, rubryki wypełniają się raźno i rachunkowość statystyczna kwitnie w najlepsze. Ale, oto ktoś zamyśla z gruntu czysto empirycznego przejść na grunt teoretyczny, zbudować hypotezę jakoś fakta objaśniającą, wobec czego zmuszony jest naraz podnieść cały kapitał faktów przy odpowiedniéj kontroli faktycznéj,—i wnet się okazuje, że operacya na większą skalę z gruntu jest niemożliwa, że całe kategorye tych faktów posiadają wartość wielce wątpliwą, albo jéj wcale nie posiadają, że pod pozorem faktów częstokroć skrzętnie gromadzono przywidze-

nia własne lub anegdoty nawet, których kredyt opierał się na niekrytycznéj rutynie. Zjawisko to rażąco uwidoczniło się ostatniemi czasy właśnie, po kilkudziesięciu latach niczém niezakłóconego i, jak się zdawało, wcale plennego żniwa na polu badań dziedziczności.

Wielką zdobyczą umysłu ludzkiego jest wiara w fakt sprawdzony. Umysł nasz, znużony wielowiekowém tułactwem po bezpłodnéj pustyni spekulacyi, gdzie luźny piasek wyobrażeń i pojęć przybiera kształty pagórków, które się jutro rozsypią, by na inném miejscu w odmienne usypać kształty, zatęsknił do żywéj przyrody, pod tym jedynie warunkiem dla umysłu dostępnéj, że się jéj stałe prawa pozna, prawa od umysłu naszego niezależne i wypisane nieczytelnemi głoskami faktów. Wiara więc w fakta stała się hasłem empiryzmu w nauce. Są wszakże dwa rodzaje empiryzmu. Wspólném pomiędzy niemi jest to, że ten i tamten twierdzenia swoje wysnuwają z faktów doświadczonych i następnie sprawdzają je także na faktach, wszystkie wywody i dowody swoje opierają na faktach. Tu jednak zaczynają się głębokie różnice: jeden rodzaj empiryzmu, który nazwijmy krytycznym, zadaje sobie pytanie: co to jest fakt? szuka rękojmi jego, znamion, po których obecność jego niechybnie poznać by się dała; a poznawszy te znamiona, szuka granic, w którychby go przyznać można. Drugi rodzaj empiryzmu, empiryzm naiwny, nie troszczy się wcale o te skrupuły; powiada on: „fakt" i dosyć, a daléj gromadzi, oblicza i prawa wysnuwa. Są jużci na świecie oazy prawdziwe, gdzie cień chłodzi, świeża woda źródlana pragnienie tłumi i słodkie daktyle dostarczają żywności; ale bywają i omamy lub złudzenia, które pozorami oazy nęcą wędrowca na drogi obłędne. Jakże odróżnić oazy prawdziwe od ułudnych? Trzeba w całéj rozciągłości korzystać z doświadczeń poprzedników, trzeba z mapą i kompasem puszczać się w drogę, trzeba poznać prawa złudzeń i pamiętać, że z tego, co się faktem nam wydaje, należy zawsze potrącić pierwiastek nasz podmiotowy, aby rzeczywisty fakt poznać.

W pracy téj o dziedziczności pod względem empirycznym postaramy się wykazać jakiemi to drogami naiwny empiryzm w badaniu dziedziczności przeobraża się stopniowo w empiryzm krytyczny, jak nauka począwszy od faktu bezpośrednio oczywistego, coraz bardziéj utwierdza się w przekonaniu, że trzeba poznać znamiona faktu i jego granice, że innemi słowy fakt oczywistym nie jest. Na tym więc poszczególnym przykładzie będziemy badali zjawisko ogólnéj natury filozoficznéj. Jeżeli przytém wypadnie nam zastanawiać się nad literaturą przedmiotu, oceniać wartość pewnych jéj

objawów i w końcu sformułować punkta wytyczne w dzisiejszych empirycznych badaniach dziedziczności, to będzie to tylko nieuniknionėm następstwem samego zadania. Naogół zawsze i wszędzie rutyna, trzymająca się ścieżek wydeptanych, przeważa nad inicyatywą samoistną; i badania naukowe pod tym względem nie stanowią wyjątku; pod modnym płaszczykiem pozytywizmu i hołdowania faktom kryje się bardzo często bezmyślność, ów empiryzm naiwny, który, wypisawszy na swoim sztandarze hasło „fakt", krząta się, gromadzi, oblicza i, w przeświadczeniu wyższości swojéj, brnie manowcami na oślep. To samo dałoby się wykazać i w wielu innych dziedzinach, gdzie rojno od faktów i cyfr; dziedziczność jednak wydała się nam w danym razie najbardziéj odpowiednią już dlatego samego, że, jak się czytelnik przekona, zagadnienie to biologiczne, bardziéj niż wiele innych, cieszy się względami w piśmiennictwie naszém, wybór zaś prac przeważnie tłómaczonych i kierunek oryginalnych o dziedziczności dowodzą, że mało skłonni jesteśmy do rachowania się z tém, co się gdzieindziéj w nauce dzieje, i chętnie puszczamy się gładkim torem empiryzmu naiwnego.

Fakt odziedziczania przez potomstwo morfologicznych i funkcyonalnych właściwości mniéj lub więcéj bezpośrednich przodków oddawna był spostrzegany. Że ze lwa rodzi się lew a z osła—osieł, rzecz to tak sama przez się oczywista, że się nie zastanawiano nad nią i nie usiłowano objaśniać jéj sobie. Owszem, fakt ten godził się zupełnie z wiarą w niezmienność gatunków w świecie organicznym i wszystko było w porządku. Bardziéj już zwracały na się uwagę te zdarzenia, gdy w potomku spostrzegano nietylko powtórzenie ogólnych cech gatunku, lecz pewnych cech wybitnych, osobiście charakteryzujących rodziców lub krewnych, albo gdy miano do czynienia z potworami, które nietylko odbiegają od typu gatunkowego, lecz jak to mniéj lub więcéj słusznie utrzymywano, okazują cechy innych gatunków. Hipokrates zaznaczył już między innemi, że sztuczne zniekształcenie czaszek, praktykowane na mocy zwyczaju na noworodkach przez mieszkańców Kolchidy, ostatecznie się odziedzicza, czyli że dzieci rodzą się niekiedy z czaszkami w pewnym stopniu już zniekształconemi. Arystoteles opowiada o dziedzicznėm przenoszeniu się na potomstwo blizn, ślepoty, charakteru rodziców. Głównie wszelakoż zajmowały go potwory, tak iż nie poprzestaje na zbieraniu mniéj lub więcéj prawdopodobnych faktów i świadectw, lecz usiłuje uzasadnić teoryą potworności czyli teratologią. Skoro się doda do tego liczne przesądy, dotyczące odziedziczania t. zw. znaków rodzimych w zależności od wyobrażeń i wzruszeń, których doznała matka podczas noszenia płodu, przesądy do-

piero w najnowszych czasach wyrugowane z nauki, to otrzymamy wierny obraz nietylko upowszechnionych w pospólstwie poglądów na dziedziczność, lecz zarazem poglądów, któremi się zadowolniała nauka aż do naszego stulecia. Wogóle, dziedziczność była faktem oczywistym i granic jego nie zakreślano wcale: wszystko się mogło dziedziczyć.

Dopiero słynny botanik francuski Lamarck (1805) powołał dziedziczność do odegrania roli czynnika w przeobrażeniach świata organicznego czyli w przemianach gatunków. Utrzymywał on, że ćwiczenie pewnych narządów, wywołane przez warunki, w których dane jestestwo żyje, spowodowuje nietylko ich wprawę lecz i wzrost, zaniechane zaś lub osłabione ćwiczenie spowodowuje ich zanik. Cechy tym sposobem indywidualnie nabyte utrwala w potomstwie dziedziczność; gdy przytém odpowiednie warunki otoczenia trwają nadal, nagromadzenie cech nabytych i przez dziedziczność utrwalonych wytwarza w szeregu pokoleń odmiany, rasy i gatunki.

Nie kto inny, tylko Karol Darwin wyrzekł tak często dziś powtarzany frazes: odziedziczanie jest prawidłem, nieodziedziczanie—wyjątkiem. W porównaniu jednak z Lamarckiem, w swojéj teoryi pochodzenia gatunków (1859) znacznie ograniczył on rolę dziedziczności, powołując do gry inne czynniki, jak walkę o byt pomiędzy osobnikami tego samego gatunku i pomiędzy różnemi gatunkami, jak dobór naturalny, czyli przechowywanie się odmian najlepiéj przystosowanych do warunków otoczenia, jak wreszcie dobór płciowy czyli spółzawodnictwo pomiędzy osobnikami tego samego gatunku o możność zostawienia po sobie potomstwa. Darwin ograniczył rolę dziedziczności na rzecz innych czynników, ale zasadniczo bynajmniéj nie odrzucił wytkniętych przez Lamarcka czynników, z których jednym jest nabywanie nowych cech pod wpływem użycia lub nieużycia narządów, drugim—przekazywanie cech nabytych w drodze dziedziczności potomstwu. „U zwierząt—powiada on—spotęgowane użycie albo nieużycie tych lub innych narządów wywarło wpływ wybitny.“ „Uważam za rzecz niewątpliwą, że u zwierząt udomownionych użycie wzmocniło i powiększyło pewne części ciała, gdy tymczasem bezczynność spowodowała ich zanik, oraz że zmiany tego rodzaju są dziedziczne.“ Powtarza on to bardzo często i popiera przykładami, które się stały klasycznemi. „Widzimy tedy—czytamy znów gdzieindziéj—że najważniejszy i najbardziéj skomplikowany narząd—mózg, podlega prawu zmniejszania się rozmiarów wskutek bezczynności.“ I jeszcze pisze z naciskiem: „Skorzystam z téj sposobności, aby zauważyć, że kry-

tycy moi uważają za rzecz pewną, jakobym ja wszystkie zmiany w budowie ciała i zdolnościach mózgowych przypisywał wyłącznie doborowi naturalnemu odmian, które częstokroć noszą miano samoistnych. Otóż, wbrew temu, w pierwszém już nawet wydaniu Pochodzenia gatunków wyraźnie zaznaczyłem, że wielki wpływ należy przypisywać odziedziczaniu skutków użycia i nieużycia, a dotyczy to zarówno ciała jak ducha.“ Gdy jednak w dziełach i ich wydaniach wcześniejszych Darwin bardziéj jest skłonny do uważania zmian za przypadkowe i następnie utrwalone głównie przez dobór naturalny,—w późniejszych coraz większą rolę przypisuje on czynnikom Lamarcka.

Ernest Haeckel (1866) usystematyzował rozległą i bardzo urozmaiconą dziedzinę objawów dziedziczności i podniósł ją do roli zasadniczego prawa biologicznego. Rozróżnił on dziedziczność zachowawczą, na mocy któréj przekazują się potomstwu cechy już przez przodków odziedziczone, i dziedziczność postępową, na mocy któréj przekazują się potomstwu cechy osobiście przez rodziców w drodze przystosowania się nabyte. O dziedziczności postępowéj pisze on (1): „każdy organizm przelewa na swoje potomstwo nietylko własności morfologiczne i fizyologiczne, które sam od swoich rodziców odziedziczył, lecz także pewną część tych własności, które sam, podczas swego istnienia osobniczego nabył w drodze przystosowania.“ Którą mianowicie część nabytych własności potomstwo odziedzicza, wypada z następującego oświadczenia: „Każda nowa własność, w drodze przystosowania nabyta, może zostać wobec sprzyjających okoliczności przekazaną przez organizm rodzicielski dzieciom.“ I indziéj: „każde przystosowanie polega na zmianie w odżywianiu. Ponieważ zaś stosunki odżywcze, czyli wogóle wszystkie warunki istnienia w najrozleglejszém tego słowa znaczeniu, wszędzie i w każdéj danéj chwili są inne, ponieważ nadto każdy osobnik musi się w pewnym stopniu przystosowywać do swoich specyalnych warunków odżywiania się i przez to podlega zmianom pewnym, ponieważ wreszcie każda zmiana dotyczy nietylko wyłącznie jakiejś poszczególnéj części ciała, lecz oddziaływa także na wszystkie inne części, więc przy rozradzaniu się osobnika stale musi jakaś, chociażby mała, część zmian nabytych z rodziców przechodzić na dzieci i w tych czynnie się zachowywać.“

Oprócz owych sprzyjających i niesprzyjających okoliczności ani Darwin, ani Haeckel nie zakréślają zasadniczo żadnéj granicy dla dziedziczności i jak się okazuje z uwag w ich dziełach

(1) *Generelle Morphologie der Organismen.* Berlin, 1866. Tom II, str. 170—191.

rozproszonych, przyznają oni nietylko dziedziczność cech przez ćwiczenie lub bezczynność, a więc w drodze przystosowania nabytych, lecz także i nagłych, przypadkowych okaleczeń. Tak, np. Darwin opowiada, że pewien jegomość wskutek odmrożenia w dziecinnych jeszcze latach wielkich palców rąk, długo cierpiał chorobę skórną tych palców i w końcu, po wygojeniu się, pozostało zniekształcenie palców i paznogci. Z czworga jego dzieci, dwie córki odziedziczyły zupełnie lub w części tę cechę ojca. W innym znów wypadku syn odziedzicza zanik lewego oka po ojcu, który na piętnaście lat przed ożenieniem się, stracił lewe oko wskutek ropienia. Haeckel przytacza przykłady rodzenia się psów bez ogonów z rodziców, którym ogony ucięto.

Rzec można, iż ta forma, którą Haeckel nadał empirycznemu, czyli zjawiskowemu prawu dziedziczności, stała się klasyczną i wzorową. W całym szeregu dzieł widzimy tylko gromadzenie faktów i gatunkowanie ich według rubryk Haeckela. Na czele stoją dziedziczność zachowawcza i postępowa; poczém następują kategorye podrzędne, jak dziedziczność nieprzerwana i przerywana czyli zwrotna, dziedziczność jednostronna, czyli po jednym rodzicu, i mieszana, dziedziczność homochroniczna, gdy u potomka pewne cechy występują w tym samym okresie życia co i u rodziców i t. d. Koniec końców, dziedziczność uznano za prawo niezłomne, które w świecie organicznym nie zna granic, gdzie jéj bowiem bezpośrednio nie spostrzegamy, tam należy przypuszczać, że jakieś poboczne czynniki, jakieś okoliczności niesprzyjające, maskują lub krzyżują jéj objawy, ale jéj nie znoszą. Podobnie — twierdzono — prawo ciążenia powszechnego nie przestaje być prawem, pomimo, że niektóre ciała w pewnych specyalnych warunkach statycznych, wznoszą się ku górze; niemasz chwili, w któréjby prawo to z całą mocą swoją nie działało na atom każdy i ostatecznie każdy atom spaść musi.

W robocie niekrytycznego zbierania faktów dziedziczności przodują Francuzi; za nimi postępują Anglicy. Obok przykładów odziedziczania cech normalnych, nagromadzono znaczną ilość przykładów odziedziczania cech patologicznych i to we wszelkich zakresach, nietylko cielesnych, lecz i duchowych. Taki stan rzeczy nie mógł oczywiście pozostać bez wpływu na wszystkie te gałęzie wiedzy, gdzie rozwój władz duchowych uzależniano od warunków zmienności biologicznéj. Szczególnie w obrębie rodzaju ludzkiego, gdzie w miarę rozwoju rola doboru naturalnego staje się coraz mniéj wyraźną, dziedziczność przystosowań nabytych, stała się kluczem do otwierania wszelkich zagadek rozwoju. Słowem, em-

piryzm naiwny w zakresie badania dziedziczności, silnie oddziałał na psychologią, etnologią, antropologią i socyologią. W dalszym dopiéro ciągu zobaczymy, jakie to były wpływy i o ile one były słuszne.

W każdém uogólnieniu powszechném, czy ono jest pozytywném, czy negatywném, tkwi już pierwiastek nierównowagi, ziarno krytycyzmu. Wobec twierdzenia: dziedziczność jest prawem powszechném, umysł staje się szczególnie czułym na te przypadki, gdzie dziedziczności nie spostrzega, wprost na mocy kontrastu. Ponieważ zaś pole do dokładniejszych obserwacyi objawów dziedziczności nastręcza hodowla roślin i zwierząt w warunkach sztucznych, więc tu nastręczają się pierwsze punkta oparcia dla krytycyzmu. Roślina, przeniesiona w sztuczne warunki hodowli, przeobraża się w nową odmianę; z przeniesieniem jednak napowrót w pierwotne warunki naturalne cechy nowéj odmiany znikają i typ pierwotny powraca, czyli dziedziczność nie zachowała cech nabytych; z sztucznie wyhodowanemi rasami zwierząt bywa to samo. Mamy więc podstawy niejakie do krytyki powyższego uogólnienia powszechnego na gruncie faktycznym. Umysł jednak nie ustępuje łatwo z pozycyi raz zdobytych i ucieka się do spekulacyi teoretycznych, byleby przywrócić sobie równowagę, którą fakta zachwiały. Prawda, powiada on sobie, że są przypadki, gdzie dziedziczność powszechna jakby nie dopisuje, ale mogą one zależéć od tego, że nowa odmiana zbyt krótko pozostawała pod wpływem tych warunków, które ją wytworzyły; być może dziedziczność potrzebuje znacznie większéj ilości pokoleń, aby daną cechę opanować i utrwalić, jako już niezależną od zmiennych warunków. Zresztą w wielu razach mogą się tu wikłać inne, nieznane nam dotąd czynniki, maskujące działanie dziedziczności. W każdym jednak razie ogrom przykładów odziedziczania stanowczo przeważa ilość przeciwnych przykładów, a przeto mamy wszelkie prawo, nie odrzucając ogólnéj zasady, szukać objaśnienia pozornych z niéj wyjątków. Tym sposobem zdobyte stanowisko zostaje czasowo obronione i umysł powraca do równowagi.

Pierwszych najbardziéj pozytywnych punktów oparcia dla krytycyzmu w badaniu zjawiskowéj strony dziedziczności dostarczyła, jak sądzę, patologia. Stało się to bynajmniéj nie przypadkowo. Słusznie ze stanowiska metodologicznego choroba bywa nazywaną eksperymentem, który nam sama przyroda nastręcza. Eksperyment ten odtwarza się wobec nas w najrozmaitszych odmianach i wśród najodrębniejszych warunków; tu nie same tylko teoretyczne, lecz i praktyczne względy skłaniają do badań możli-

wie dokładnych i wielostronnych; tu przyczyny są mniéj skomplikowane i łatwiejsze do uchwycenia; działanie tych przyczyn chorobotwórczych jest bardziéj doraźne i wybitne. Weźmy chociażby taki przykład jak suchoty gruźliczne. Dawniéj i jeszcze bardzo niedawno, utrzymywano, że najważniejszym momentem etyologicznym w téj chorobie jest dziedziczność. Słynny psychopatolog Griesinger jeszcze w roku 1867 (1) pisze: „Dotąd chyba tylko co się tyczy gruźlicy da się stwierdzić taki sam wpływ momentu odziedziczania, jak w chorobach umysłowych". Późniéj wszakże odkryto, że pierwiastek zakaźny téj choroby polega na obecności specyalnego prątka gruźlicznego czyli pasorzyta. Wobec tego pogląd na dziedziczność suchot sam przez się uległ stanowczemu przewrotowi, o ile nie ulega wątpliwości, że organizm sam nie może wytwarzać prątków gruźlicznych, że zarazek musi się doń przedostać zzewnątrz. Odrazu cała, jedna z najpewniejszych twierdz dziedziczności, pomimo ogromu uzbieranego materyału faktycznego i żmudnych opracowań statystycznych, upadła: dziś spór toczy się o to, czy zarazek gruźliczny wprost przenosi się z organizmu rodzicielskiego na płód, czy téż być może organizm potomka odziedzicza tylko szczególne usposobienie, polegające na mniejszéj odporności jego tkanek, względem działania zarazka, przychodzącego zzewnątrz. O właściwéj organicznéj dziedziczności gruźlicy mowy być nie może; jeżeli tu jest dziedziczność, to zupełnie czegoś innego. To samo ze znacznem prawdopodobieństwem da się dziś powiedzieć o dziedziczności innéj choroby zakaźnéj, przymiotu we wszelkich jego postaciach. Ztąd jest oczywistém, na czém się opierała w danym razie wiara w dziedziczność suchot: nasamprzód na fakcie oczywistym, że pokolenia zstępne cierpią na tę samę chorobę co i wstępne; daléj, na przekonaniu, iż nie ma żadnych innych oprócz dziedziczności przyczyn wspólnych, któreby tak w pokoleniu wstępném, jak zstępném wytwarzało tę samę chorobę; wreszcie na obliczeniu statystyczném, dowodzącém, że w znacznéj ilości przypadków, dotknięte suchotami potomstwo pochodzi od przodków dotkniętych tą samą chorobą. Cóż obaliło tę wiarę? Wyniki dokładnego zbadania przyczyn choroby, dowodzące, iż zależy ona od obecności obcych organizmów, które się nie mogą dziedziczyć, lecz mogą się przenosić na potomstwo przez zetknięcie z organizmem rodzicielskim. Okazało się, że obecność u potomstwa téj saméj co u przodków choroby, chociażby w największéj ilości przy-

(1) *Die Pathologie und Therapie der psychischen Krankheiten*, Wyd. 3, 1867 r. Wydanie czwarte, 1876 r., żadnym nie uległo zmianom.

padków, nie stanowi jeszcze niechybnego znamienia, po którém fakt dziedziczności dałby się stwierdzić, że statystyka nic nie orzeka o granicach działania dziedziczności tam, gdzie znamiona dziedziczności są nieznane. Zapamiętajmy to sobie i idźmy daléj.

W innym zakresie nauki patologicznéj, mianowicie w psychopatologii, dziedziczność badano z większą niż gdzieindziej gorliwością; nie zbywało tu oddawna ani na systematycznych zbieraczach faktów, ani na rachmistrzach statystycznych. Już w r. 1859 Neumann (1) utrzymywał, że stwierdzenie bardziéj wybitnéj roli dziedziczności w chorobach psychicznych, zależy od tego, że tu najwięcéj szukano dziedziczności i najlepiéj ją skutkiem tego poznano. Przypuszczenie to nie było słuszne, opierało się zaś na uprzedzeniu, że rola dziedziczności, jako momentu przyczynowego w pewnych stanach patologicznych, jest nieograniczona. Że nie zawsze osiągana stopa procentowa domniemanéj dziedziczności choroby odpowiada gorliwości badań, tego, jak się przekonamy, najlepiéj dowodzi zestawienie badań statystycznych różnych autorów. Prawdopodobniejszém raczéj byłoby przypuszczenie, że dlatego właśnie ze szczególną pilnością zastanawiano się nad dziedzicznością chorób psychicznych i dlatego jéj obecność łatwiéj dostrzegano, że zaburzenia psychiczne i napady nerwowe, znamionujące tę kategoryę chorób, bardziéj rzucają się w oczy, nawet osobom niefachowym, że dla umysłów, nawet nieprzygotowanych, symptomy niektóre tych chorób są bardziéj pochwytne, bardziéj indywidualizowane, wskutek czego łatwiéj jest zauważyć, że osoba nienormalna pod względem psychicznym, pochodzi od osoby również pod tym względem nienormalnéj. Bądź-co-bądź, dziedziczność chorób psychicznych badano bardzo gorliwie i dzięki temu nagromadzono ogromną ilość materyału, doraźnie ujętego w formę opracowań statystycznych. W nieprzebranéj literaturze tego przedmiotu stwierdzono dziedziczność wszelkich odmian zboczeń psychicznych i nerwowych, obłędów, nerwic, skłonności, popędów i usposobień chorobnych, bądź to przelewanych na potomstwo w niezmienionéj postaci, co nazwano dziedzicznością podobną (*hérédité similaire*), bądź przeobrażających się w szeregu pokoleń w postaci coraz groźniejsze lub łagodniejsze, stosownie do tego, czy się dany ród zwyradnia, czy poprawia; nazwano to dziedzicznością przeobrażoną (*héréd. de métamorphose*). Natworzono przytém praw, a właściwie uogólnień doraźnych, na podstawie podręcznego materyału statystycznego i najrozmaitszych układów klasyfikacyjnych chorób psychicznych, co niemiara.

(1) Neumann, *Psychiatrie*, 1859, str. 141.

Można byłoby już *a priori* przypuszczać, że wyniki badań statystycznych w dziedzinie, gdzie znamiona faktu znane nie są, wypadną bardzo niezgodnie i chaotycznie. Rzeczywistość w zupełności potwierdza to oczekiwanie: Legrand du Saulle (1) zebrał i porównał 45 różnych badań statystycznych nad dziedzicznością chorób psychicznych i znalazł, że podawany przez różnych autorów odsetek odziedziczonych zboczeń psychicznych waha się pomiędzy 4% i 85%. W rzeczywistości jednak granice te są jeszcze bardziéj rozciągliwe, gdyż Marcé (2) i Luys (3) podnoszą odsetek ów do stopy 90%, zaś Billod (4) znalazł, że na 15,000 obłąkanych ilość przypadków, co do których niepodobna było stwierdzić w pokoleniach wstępnych, bezpośrednich i ubocznych, żadnych śladów chorób nerwowych, wynosi zaledwo 15, czyli według niego odsetek dziedziczności chorób téj kategoryi wynosi aż 99,9%. Ponieważ w tym razie, jak to oczywiste, granice wszelkich możliwości statystycznych zawarte są pomiędzy 0% i 100%, więc w istocie wyniki badań statystycznych w całéj niemal rozciągłości korzystają tu z teorytycznie dozwolonéj sobie skali, gdyż właściwie wahają się pomiędzy 4% i 100%. Jeżeli to możliwe, jeszcze bardziéj chaotycznie przedstawiają się wyniki statystyczne, dotyczące odziedziczania wszelkich specyalnych form obłąkania, jak również te, gdzie uwzględniano wiek, płeć, wyznanie i stan pacyentów. Ten las dziewiczy najniezgodniejszych z sobą cyfr, wydobytych z całego szeregu rozpraw i dzieł psychopatologicznych, pozostawiamy na razie w notatach swoich, chociaż poucza on nas wymownie, że konwencyonalna rutyna statystyczna, w zastosowaniu do materyału nie należycie zbadanego, za koszta pracy i czasu przynosi tylko pozory, że się coś robi, i zamęt w dodatku.

Czegóż to dowodzi? Przedewszystkiém dowodzi to, że źle jest. Ale w czém mianowicie tkwi to złe, które tyle żmudnéj pracy obraca w niwecz, w czczą formalistykę rachunkową? Może ono tkwić tylko w przedmiotowych albo podmiotowych warunkach badania. Gdybyśmy byli w stanie wskazać wszystkie źródła wadliwości badań, toby znaczyło, że samo zagadnienie zupełnie rozstrzygniętém zostało, bo zarówno postępy w poznaniu przedmiotu zależą od umiejętnego badania jego, jak należyty sposób badania zawisł od

---

(1) Legrand du Saulle, *Leçons sur la folie héréditaire*. Paris, 1873.

(2) Marcé, *Traité pratique des maladies mentales*, Paris, 1862.

(3) Luys, *Traité clinique et pratique des maladies mentales*. Paris, 1881.

(4) Billod, *Des effets comparatifs de la chronicité et de l'hérédité* (*Annales médico-psychologiques*. 1879, mars. str. 198).

względnéj znajomości przedmiotu. Do pewnego wszakże stopnia wadliwości badań dadzą się wykazać; a ponieważ w tego rodzaju wątpliwościach najwłaściwiéj jest zaczynać od samych siebie, czyli od krytyki zachowania się umysłu badającego, więc przystąpmy z téj strony do rzeczy.

Możnaby przypuszczać, że tak olbrzymie różnice w oznaczeniu przez różnych badaczy procentowego stosunku chorób psychicznych odziedziczonych do nieodziedziczonych zależą od względnéj liczby przypadków uwzględnianych przez każdego z badaczy, że mianowicie, jak to przewiduje teorya statystyczna, małe liczby zbadanych przypadków przedstawiają większe prawdopodobieństwo błędu, niż liczby wielkie, w których wszelkie wahania, zależne od okoliczności ubocznych, muszą się coraz bardziéj wyrównywać. Możnaby nadto przypuszczać, iż różnice te zależą od okoliczności, że materyał badany pochodził z różnych epok, czerpany był w różnych miejscach, pośród różnych warstw społecznych, grup zawodowych i t. p. Bynajmniéj, dość przejrzéć i porównać różne wywody statystyczne, by się przekonać, że liczby przypadków, uwzględnianych przez różnych autorów, nie zostają w żadnym prawidłowym stosunku do całéj rozległéj skali wypadków procentowych od 4% do 100%. Nadto, badania te zawarte są przeważnie w obrębie 30-letniego okresu, dotyczą głównie ludności francuskiéj i tylko w nieznacznym stopniu niemieckiéj, angielskiéj i włoskiéj; wreszcie w wyjątkowych tylko razach dotyczą one określonych warstw społecznych, żyjących we względnie odrębnych warunkach. Z téj strony nie pada żadne światło na przedmiot. Wogóle, w wymienionych warunkach niepodobna dojrzéć przyczyn obiektywnych, któreby chociaż w przybliżeniu objaśniały tak niezgodne wypadki statystyczne, zwłaszcza w odniesieniu do zjawiska, regulowanego przez przypuszczalnie powszechne prawo biologiczne. Sądzę, że każdy statystyk cofnąłby się przed niwelowaniem takiego szeregu cyfr, jak 4, 10, 25, 28, 30, 40, 50, 75, 85, 90, 100, gdyby z jednéj strony uwzględnił, że cała teoretycznie możliwa skala, zawarta jest pomiędzy 0—100, z drugiéj zaś strony, że zjawisko ma być wyrazem stałego prawa biologicznego, i to w obrębie jednéj rasy rodzaju ludzkiego i jednéj kategoryi chorób psychicznych. Powiedziałby on niewątpliwie, że różni badacze musieli tu miéć do czynienia pozornie tylko z jednym i tym samym faktem, że, innemi słowy, znamion faktu nie znamy.

I w istocie, jakkolwiek wydaje się rzeczą nader prostą, że skoro ojciec był opilcą, syn zaś jest epileptykiem, maniakiem lub idyotą, to mamy tu do czynienia z dziedzicznością, jednakże fą-

ktem jest to tylko, że ojciec był opilcą i syn jest epileptykiem; gdy tymczasem odziedziczanie, czyli przelanie przypadłości patologicznéj z ojca na syna jest domysłem naszym, który uzasadnić należy, zanim się go za fakt uzna. Przypuszczeniu, że syn i ojciec mogli niezależnie od siebie zostać dotknięci chorobą, nic nie stoi na zawadzie, dopóki nie znamy dokładnie natury i przyczyn chorób, z wyjątkiem zarzutu nieprawdopodobieństwa. Zarzut ten wszakże wtedy tylko miałby wagę przekonywającą, gdybyśmy już posiadali jakieś dane do obrachowania stopnia tego nieprawdopodobieństwa. Danych jednak takich nie posiadamy wcale.

Trzeba się tedy uciekać do dróg pośrednich, skoro znamiona faktu dziedziczności nie są oczywiste same przez się. Na obronę możnaby przytoczyć wzgląd, że w razach, gdy po sobie następujące pokolenia bywają dotknięte tą samą lub analogiczną chorobą, nie widzimy najczęściéj żadnych innych przyczyn, któreby miały zgubnie na szereg pokoleń oddziaływać. Argument ten wszakże traci moc wszelką wobec faktu, że wogóle nie znamy przyczyn chorób układu nerwowego, że anatomia patologiczna mózgu i rdzenia jest dopiéro w kolebce. Témbardziéj argument ten jest chybionym, gdy chodzi o domniemane odziedziczanie odmiennych form chorób mózgowo-rdzeniowych: mechanizmu przejść jednéj formy w drugą nie znamy. Dlaczego np. mamy wierzyć, że dziedziczność sama jest w stanie przeobrazić dziwactwo i popędliwość przodka w epilepsyą, obłęd lub idyotyzm potomstwa, skoro zkądinąd ta sama dziedziczność nie jest w stanie przeobrazić form napozór bliższych, pomieszania w manią lub melancholią albo naodwrót, jak to niektórzy autorowie zaznaczają. Tego nie wiemy.

Niewątpliwie znaczną tu rolę odegrała łatwa analogia, wnioskująca wprost z oczywistego faktu powszechnego dziedziczenia cech stałych, gatunkowych, o możliwości dziedzicznego także przelewania wszelkich odmian osobistych, nie wyłączając wyraźnie zindywidualizowanych i umiejscowionych w organizmie odmian patologicznych. Daléj, niemałego znaczenia jest okoliczność, że dość często wobec pewnéj nieprawidłowości morfologicznéj lub fizyologicznéj *a priori* możemy postawić przypuszczenie, iż tę samę lub jéj podobną nieprawidłowość napotykamy u mniéj lub więcéj bezpośrednich przodków, i przypuszczalnie to potwierdza się w wielu przypadkach. Nakoniec, nie bez znaczenia tu jest częstokroć spostrzegana stałość przeobrażeń, głównie chorób psychicznych, w szeregu pokoleń; tak, naprzykład, ród zwyrodniony zmierza do wygaśnięcia przez szczeble wszelkich form nerwic i obłąkania, głupowatości, w końcu idyotyzmu. Wszystkie te względy pozwalają

twierdzić, że dziedziczność stanów psychopatologicznych, a przynajmniéj usposobień do nich, prawdopodobnie istnieje, ale ponad to jakościowe stwierdzenie faktu, nie dostarczają one żadnych podstaw do ilościowego, czyli statystycznego oszacowania rozmiarów faktu. Nietylko bowiem nieznane nam są znamiona, po których niechybnie można byłoby odróżnić przypadki, gdzie choroba została odziedziczoną, od innych, gdzie ona w szeregu pokoleń powstawała niezależnie, być może w związku z jakąś wspólną przyczyną, lecz istnieją o wiele donioślejsze przeszkody.

Główną jest brak spostrzeżeń dokładnych: nie ulega wątpliwości, że każdy ród, zakażony t. zw. dziedzicznością patologiczną, pochodzi od przodków przypuszczalnie zdrowych; zdrowie to jednak, jak postępy dyagnozy świadczą, zależy w znacznym stopniu od umiejętności dostrzegania pewnych subtelnych zboczeń patologicznych, które nietylko uchodzą baczności spostrzegaczy pospolitych lecz i biegłych w swojéj sztuce lekarzy: objawy, w rodzaju drobnych nieprawidłowości w postępowaniu, zmian w usposobieniu i t. p., do niedawna jeszcze powszechnie uchodziły za nic nie znaczące kaprysy i humory; dziś poczytywane one bywają za zwiastunów częstokroć bardzo groźnych zaburzeń. W ten sposób za punkt wyjścia rodowodów psychopatologicznych obiéra się pospolicie, lubo niesłusznie, osobnika o mniéj lub więcéj wybitnych zboczeniach chorobnych. Nadto, rodowodowe wywiady (anamneza) choroby bardzo często bywają niedokładne, tak z powodu fałszywéj drażliwości, ukrywającéj wady przodków, jak z powodu zatracenia dokładnych tradycyi i niemniéj wyobraźni, która jest skora do zabarwiania zgodnie z przypuszczeniami teoretycznemi szczegółów źle zanotowanych i niedających się sprawdzić. Każdy, kto w jakichkolwiek celach, zmuszony był korzystać z materyałów zawartych w księgach szpitalnych, musiał się przekonać, że wywiady spisywane bywają szablonowo, niedbale, na podstawie zeznań pacyenta, lub jego rodziny. Przekonałem się nieraz sam i słyszałem niejednokrotnie od pracujących w zakładzie dla chorych psychicznie w Lipsku, że materyał archiwalny jest małéj wartości i dobrze, jeżeli jest dokładny pod względem dyagnozy choroby pacyenta i epikryzy, lub wyników badań pośmiertnych. A przecież na czele tego zakładu stoi pierwszorzędna powaga naukowa, prof. Flechsig. Zresztą musi to być dość powszechny stan rzeczy, skoro najpoważniejsi badacze dziedziczności chorób psychicznych stale się na to uskarżają w pismach swoich. Nakoniec, zważyć należy, iż badacze dziedziczności chorób psychicznych zagadnienie biologiczne przenoszą najczęściéj na grunt czysto konwencyonalny

przez to, że uwzględniają rodowody w granicach uprawnionych stosunków rodzinnych, chociaż rodowody te często nie odpowiadają rodowodom naturalnym. Jestto uderzające zjawisko, że w tablicach rodowodowych zazwyczaj fakt, iż ktoś nie był żonaty lub nie miał dzieci ślubnych, uważa się za równoznaczny z jego bezdzietnością, i to nietylko pomimo licznéj wogóle statystyki dzieci nieślubnych, lecz nawet pomimo wyraźnych tuż uwag, że pacyent oddawał się nadużyciom *in venere*. Przyznaję, że poznanie rzeczywistego stanu rzeczy w tych razach jest prawie niemożebne, ale właśnie dlatego upatruję w tém jednę z nieprzezwyciężonych przeszkód do dokładnéj statystyki rodowodowéj, nie cywilnéj lecz biologicznéj. W pewnym stopniu zapobiedzby temu mogło ścisłe badanie narządów rozrodczych i ich produktów, ale tego nigdzie nie znajdujemy w badaniach dziedziczności.

Baczniejsze rozejrzenie się w literaturze psychopatologicznéj przekonywa, że od dość już dawna i w coraz silniejszym stopniu uczuwano te niekorzystne dla statystyki warunki i, w miarę coraz głębszego zapuszczania się w przedmiot, przekonywano się coraz bardziéj o potrzebie nasamprzód poznania istotnych znamion faktu dziedziczności. W krótkości możemy tu przebiedz zarys tego pouczającego procesu przechodzenia od empiryzmu naiwnego do krytycznego.

Jeszcze w pierwszéj połowie bieżącego stulecia słynny psychiatra francuski Esquirol (1) zwrócił uwagę na to, że na podstawie zewnętrznéj obserwacyi rysów twarzy pacyenta, jego postawy, jego usposobienia umysłowego i moralnego, można orzec zupełnie trafne rokowanie co do dalszego przebiegu choroby psychicznéj; zdaniem jego, można się obejść w wielu razach bez wywiadów o rodzinie, gdyż z pewnych rysów znamiennych predyspozycya pacyenta bezpośrednio da się wyczytać; chociaż Esquirol bynajmniéj nie twierdził, jakoby w powtarzaniu się téj predyspozycyi od pokolenia do pokolenia główną rolę grała dziedziczność. W każdym razie rzucona tu już myśl badania znamion przedmiotowych faktu. Uczeń Esquirola Falret (2), jakkolwiek uznawał wogóle dziedziczność chorób psychicznych, jednak wątpił czy się da wyodrębnić specyalny typ obłąkania dziedzicznego: „Nigdy nie zdołamy pojąć tego—pisał on—jakim sposobem przyczyna tak ogólna i tak częsta, jak dziedziczność, która piętno swoje wyciska na większości naj-

(1) Esquirol. *Traité des maladies mentales*. Paris, 1838.

(2) Falret. *Leçons cliniques sur les maladies mentales*, 1864.

rozmaitszych form obłąkania, mogłaby być związana z jakimś specyalnym rodzajem choroby psychicznéj o odrębnych cechach znamiennych, z wyłączeniem wszelkich innych form, które także bardzo często bywają dziedzicznemi, chociaż nie noszą odrębnego piętna dziedziczności". Uczeń Falreta, Morel (1), zasłużył się wielce psychopatologii przez swoje próby, wyodrębnienia typu zwyrodnień fizycznych, moralnych i umysłowych, znamionujących grupę tak zw. psychopatów zwyrodnionych (*natures dégénérées*). Różnorodność warunków, towarzyszących chorobom psychicznym, a także zmienność form psychopatologicznych w szeregu pokoleń, zdaniem Morela, stają na zawadzie do pochwycenia rzeczywistéj roli dziedziczności w téj dziedzinie. Przedewszystkiém zaznacza on wielokrotnie, że niekiedy choroby nerwowe w formie niezmienionéj, ze wszystkiemi swojemi cechami znamiennemi, przelewają się dziedzicznie z pokolenia na pokolenie; szczególnie ujawnia się to w popędzie do samobójstwa, gdzie częstokroć katastrofa następuje w tym samym wieku i pod wpływem tych samych okoliczności. Głównie jednak zwraca on uwagę na zmienność form obłąkania w następujących po sobie pokoleniach i na pewną prawidłowość w kolejném następstwie tych form różnych. „Postępowe przenoszenie pewnych pierwiastków chorobnych niezmiennie sprowadza stan zwyrodnienia, które w części objawia się pod postacią głupowatości i idyotyzmu, w części zaś pod postacią specyalnych zaburzeń w sferze umysłowości i uczuć". Dotkniętych dziedziczną chorobą układu nerwowego, dzieli on na cztery typowe kategorye, które kolejno występują w szeregu pokoleń rodu zwyrodnionego: pierwszą kategoryę cechuje wrodzony temperament nerwowy, który może wynikać z najrozmaitszych wpływów dziedzicznych; osoby tego rodzaju łatwo wpadają w obłęd za lada powodem; drugą kategoryę znamionuje niedołęstwo umysłowe i moralne, objawiające się przeważnie w nienormalnych postępkach, dziwactwach, zboczeniach moralnych i słowach, chociaż niekiedy chorzy téj kategoryi pod pewnemi względami okazują normalną sprawność umysłu; w trzeciéj kategoryi widzimy już bierność umysłową i przewrotność moralnych popędów, tak iż ta kategorya dostarcza t. zw. instynktowych przestępców; wreszcie czwarta kategorya, na któréj ród zwyrodniony wygasa, przedstawia osobniki pozbawione wszelkiéj inicyatywy i samoistności; są to idyoci.

---

(1) Morel. *Traité des maladies mentales*, Paris, 1860 (I wyd. 1851); także: *Traité des dégénérescences*. Paris, 1857.

Brierre de Boismont (1) nie wątpi o dziedziczności chorób psychicznych, znajduje jednak, że badacze przesadzają tu pod dwoma względami: nasamprzód na podstawie obliczeń statystycznych wiążą dziedzicznie choroby psychiczne z wszelkiemi chorobami nerwów, z temperamentem skrofulicznym i limfatycznym, z usposobieniem do gośćca i raka, a nawet z suchotami; „tą drogą w dalszym ciągu udowodnimy, że wszystkie zaburzenia fizyczne usposobiają do obłąkania.“ Powtóre, zaprzecza on temu, aby dziedziczność grała rolę czynnika fatalnego; tym sposobem dawno już cała ludzkość byłaby zwyrodnioną; „dają się tu stwierdzić i prądy przeciwne, pośród których przeważa siła twórcza, walcząca każdéj chwili przeciw dziedziczności i z pierwiastków patologicznych wytwarzająca zarodzi pełne siły i zdrowia.“ W sprawie obłędu samobójczego ten sam autor, który ją zbadał wzorowo, pisze: „Spostrzeżenia w rzeczy saméj dowodzą, że są osoby targające się na życie własne bez usposobienia dziedzicznego, z najzimniejszą krwią i po dojrzałym i długim namyśle; ale téż same spostrzeżenia dowodzą, że bywają osoby, zrodzone pod najsmutniejszą wróżbą, u których jednak nigdy nie postała myśl o samobójstwie,“ i daléj dodaje: „Zebraliśmy szereg faktów, świadczących, że dzieci samobójców z kolei pod naciskiem boleśnych zapasów z przeciwnościami życia, usiłowały lub zamyślały przerwać nić życia swego; zkądinąd jednak w znacznie większéj liczbie spotykaliśmy tego rodzaju pacyentów, których rodzice nie okazali nigdy najmniejszego śladu tego zgubnego popędu.“

Uczeń Morela, Doutrebente (2), wierny kierunkowi mistrza swego, pokusił się już o dokładniejsze określenie typu odziedziczonéj choroby psychicznéj i w tym celu zbadał rodowody dwudziestu kilku rodów, ogółem 220 osób zawierających. Chodzi mu o ściślejsze poznanie tego piętna, które znamionuje chorobę odziedziczoną i „nadewszystko o wykazanie znamion fizycznych, moralnych i umysłowych, na mocy których możnaby odrazu rozpoznać wpływ dziedziczności chorobnéj u osób dotkniętych już chorobą psychiczną albo ze skłonnością do niéj.“ Tak tedy wyraźnie chodzi mu o przedmiotowe znamiona faktu dziedziczności. Wie on dobrze, iż metoda statystyczna zastosowana do faktu, którego znamion przedmiotowych nie znamy, doprowadzała zawsze do niezgodnych wypad-

(1) Brierre des Boismont. *Du suicide et de la folie suicide.* 2 wyd. Paris, 1865; 1 wyd. 1855. — (2) Doutrebente. *Etudes généalogiques sur les aliénés héréditaires.* Praca nagrodzona w 1868 r. premium imienia Esquirola i zamieszczona w *Annales médico-psychologiques*, 1869, str. 197—237 i 369—394.

ków i wié również dobrze w czém tkwi przyczyna tego: „Najczęściéj sprzeczne wypadki badań statystycznych dowodzą—są jego słowa,—że zagadnienie rozważane było z odmiennych stanowisk, że niektórzy autorowie zaniechali uwzględnić w poszukiwaniach swoich wpływu nerwic albo jakiegoś innego stanu chorobnego przodków. Łatwo zresztą zrozumiéć, że musimy napotykać moc przeszkód, gdy przychodzi w aktach zakładów obłąkanych szukać zarodku pewnéj choroby dziedzicznéj. Wobec tego staje się naglącą potrzeba zdobycia sobie jakiegoś probierza, albo przynajmniéj oznaczenia ogółu cech znamiennych, przez obserwacyą wykrytych, na mocy których można byłoby prawie niechybnie rozpoznać ów wpływ dziedziczności.“ Jakoż Doutrebente w rzeczy saméj trzyma się zdala od wszelkich obliczeń procentowych i natomiast usiłuje jak najdokładniéj spostrzegać, jakościowo badać fakt nieznany. Na podstawie tych spostrzeżeń przychodzi on do wniosku, że cechy znamienne obłąkania dziedzicznego ujawniają się w rysach twarzy, w wadliwém ukształtowaniu czaszki, uszu, kończyn; w kierunku wyobrażeń, namiętności, popędów; dotkniętych chorobą dziedziczną wyróżnia obecność wyobrażeń panujących (*idées fixes*), peryodyczność napadów chorobnych, szczera otwartość, z jaką rozprawiają o swojéj chorobie i jéj możliwych przyczynach; wreszcie instynktowe popędy do zabójstwa i samobójstwa oraz wszelakich innych postępków dziwacznych i nieobmyślonych.

Od tego czasu temat zbadania cech znamiennych faktu dziedziczności w chorobach psychicznych nie zchodzi z porządku dziennego. Głównie ulubowało go sobie towarzystwo lekarzy i psychologów w Paryżu, *Société médico-psychologique*, na którego posiedzeniach od czasu do czasu toczą się nad tym przedmiotem rozprawy. Zmieniły się tylko warunki, wśród których zagadnienie rozwija się w dalszym ciągu.

Inny uczeń Morela, słynny dziś profesor paryski Magnan, bada w dalszym ciągu wyodrębniony przez Morela typ dziedzicznie zwyrodnionych. Tymczasem stara doktryna manij i monomanij, którym na imię Legion, upada. Była ona w zakresie psychopatologii odpowiednikiém tego, co w psychologii dawniejszéj znamy pod mianem władz duchowych; takie np. manie, jak próżności, prześladowcza, wielkości, samobójstwa, kradzieży, albo monomanie podpalaczy, erotyczna, wynalazców, itp. uchodziły jeszcze do niedawna, a i dziś tu i owdzie uchodzą za zupełnie odrębne, samodzielne typy chorób psychicznych. Magnan ujmuje wszystkie te przypadłości pod mianem *Syndromes épisodiques des dégénérés*, jako objawy epizodyczne, które na tle zwyrodnienia ogólnego mogą w szeregu po-

koleń albo i u tego samego pacyenta występować po sobie w zmiennéj kolei, stosownie do faz, do postępów choroby. W tym stanie rzeczy *Société médico-psychologique* nanowo podejmuje zagadnienie dziedziczności chorób psychicznych i ogłasza temat na premium Aubanela w r. 1884: „Czy istnieją znamiona albo wskazówki, na podstawie których możnaby rozpoznać, że choroba psychiczna jest odziedziczona, wobec braku wiadomości o przodkach? Wykazać cechy znamienne.“

Zadania tego podejmuje się uczeń Magnana, Henryk Saury i wyniki badań swoich ogłasza w r. 1885 w książce, premiowanéj przez rzeczone towarzystwo (1). Drogę obliczeń statystycznych odrzuca on również, jako niemożliwą w danych warunkach. Oparłszy się z jednéj strony na wynikach badań poprzedników swoich nad typem dziedzicznie zwyrodnionych i nad t. zw. przypadłościami epizodycznemi, z drugiéj zaś strony na dokładnie opisanym materyale klinicznym, przekonywa się on, iż należy rozróżniać dwa rodzaje dziedzicznie obłąkanych: *héréditaires simples* i *héréditaires dégénérés*. Pacyenci pierwszéj kategoryi niczém się na zewnątrz nie różnią od osób normalnych dopóty, dopóki się pod wpływem pewnych okoliczności nie objawi w nich choroba, która dotąd była tylko utajoném usposobieniem dziedziczném; nawet rozwinięta już choroba u takiego osobnika nie nosi żadnego wybitnego piętna specyalnego. Zupełnie inaczéj u pacyenta, dotkniętego zwyrodnieniem dziedziczném: tu istnieją znamienne cechy niewątpliwe, dające możność na podstawie badań klinicznych i niezależnie od wadliwych najczęściéj wywiadów rodowodowych, stanowczo rozpoznać naturę dziedziczną choroby i rokować o dalszym jéj przebiegu. Zasadnicze rysy zwyrodnienia dziedzicznego, według wywodów Saury, dadzą się ułożyć w dwie grupy główne: 1° grunt przygotowawczy, który znamionują oznaki fizyczne, jak nieprawidłowości w układzie narządów i nadmierny lub niedostateczny rozwój pewnych czynności fizycznych; oraz oznaki kategoryi umysłowéj i moralnéj, jak brak równowagi w zdolnościach, jak zboczenia moralne wobec zupełnie normalnego poziomu umysłowego, lub też wobec zupełnéj prawidłowości uczuć i popędów—zboczenia umysłowe; wreszcie, obie dziedziny, umysłowa i moralna mogą zostawać w równowadze ale tak dalece chwiejnéj, że lada wpływom zakłócającym oprzéć się ona niezdolna; 2°, stan obłędu, który znamionują: błahość powodów warunkujących nieregularny przebieg obłędu, przechodzą-

(1) H. Saury. *Etude clinique sur la folie héréditaire* (*Les dégénérés*). Paryż (bez daty).

cego najrozmaitsze nagłe zmiany napadów bez widocznéj dążności do rozwoju systematycznego, peryodyczne ich występowanie i znikanie, przewaga pierwiastku popędowego nad zaburzeniami w sferze zmysłów; nadto, popędy instynktowe występują tu wobec zupełnéj sprawności umysłu, przypadłości zaś epizodyczne przybierają najrozmaitsze formy, jak różnego rodzaju monomanie, nerwice mózgowe itp. Wielka ilość odmian typu dziedzicznie zwyrodnionego da się sprowadzić do trzech głównych szczebli, po których się coraz niżéj po pochyłości zwyrodnienia staczają pokolenia: obłęd głupowatość, idyotyzm. Nie zaniechał także Saury w epilogu wygłosić tak charakterystycznego dla Francuza frazesu, którego jednak ani on, ani nikt inny nie dowiódł: „*Qui dit folie, dit hérédité.*“

Takiemi to drogami wiodła kwestyę dziedziczności obłąkania wielka szkoła psychopatologów we Francyi, w nieprzerwanym łańcuchu spadkobierstwa prac i zagadnień z mistrza na ucznia. Naturalnie, ani kierunek prac wymienionych, ani osiągnięte w nich wyniki nie mogą uchodzić za ostateczne i wolne od rzarzutu. Samo zagadnienie zbyt jeszcze jest ciemne. Pomimo tego, pobieżny już przegląd powyższy wskazuje jak dalece studya nad dziedzicznością psychopatologiczną odbiegły od pierwotnéj prostoty w notowaniu faktów oczywistych i procentowego ich obliczania.

Do innych wniosków dochodzą badacze dziedziczności chorób psychicznych, stojący poza obrębem bezpośrednich wpływów szkoły francuskiéj. Określone fazy dziedzicznie przekazywanego zwyrodnienia i nieubłagany fatalizm tego procesu tracą tu na jaskrawości swojéj. Tak, w niemieckiéj literaturze psychopatologicznéj już Tigges i Jung przyszli do przekonania, że w większéj ilości przypadków pokolenie zstępne odziedzicza cierpienie psychiczne w téj saméj formie, w jakiéj ono u przodka występuje; że zatém fatalny proces postępującego zwyrodnienia, gdzie się on spostrzegać daje, nie może być wprost przypisany dziedziczności, lecz musi zależéć od jakichś okoliczności pobocznych. Najgruntowniejszą w tym kierunku pracą jest rozprawa dra Siolego (1). Autor wcale się nie ucieka do metody statystycznéj. Chodzi mu o możliwie dokładne poznanie faktu i dlatego uważa za konieczne poprzestać tymczasem na zbadaniu dziedziczności bezpośredniéj, zwłaszcza że „w przypadkach dziedziczności pośredniéj, albo zwrotnéj zarówno traf, jak i zakłócające wpływy poboczne mogą grać znacznie większą rolę, wykazanie zaś skłonności rodzinnéj wymaga większéj znajomości

---

(1) Dr. E. Sioli. *Ueber directe Vererbung von Geisteskrankheiten.* (*Archiv für Psychiatrie und Nervenkrankheiten*, tom XVI, str. 113—150, 353—409 i 599—638) 1888.

całéj rodziny, niż tego zazwyczaj wymagać wolno od materyału, zbieranego w zakładach.“ Bada on skrupulatnie dwadzieścia rodów, nie pomijając nawet wskazań anatomiczno-patologicznych *post mortem*, przyczém dzieli badane przez siebie rody na dwie kategorye: takie, gdzie pokolenia zstępne cierpią psychicznie jedynie a przynajmniéj głównie wskutek odziedziczania choroby, oraz takie, w których tak wstępne jak zstępne pokolenia dotknięte są chorobą psychiczną, chociaż cierpienie zstępnego pokolenia oczywiście bardziéj zależy od różnych przyczyn zewnętrznych niż od wpływów dziedziczności. Co do pierwszéj kategoryi, przychodzi on do wniosku, że forma choroby psychicznéj zstępnych pokoleń zgadza się z formą choroby wstępnych nietylko w ogólnym charakterze obłąkania, lecz w części także w symptomach szczególnych. Innemi słowy, choroba wstępnych pokoleń okazuje dążność do przelewania się na zstępne jako identyczna lub podobna, o ile przyjmiemy 1⁰, że odziedziczanie jest główną przyczyną obłąkania, gdy innych przyczyn nie ma, albo przynajmniéj małe mają znaczenie w sprawie rozwinięcia się choroby pokolenia zstępnego; 2⁰, że forma obłąkania u wstępnych pokoleń jest możliwie niezłożona i czysta, czyli odpowiada znanym typowym formom obłąkania. Do drugiéj kategoryi odnoszą się formy mieszane, skomplikowane, np. melancholia, albo mania, z towarzyszącemi im obcemi symptomami. Tu istnieje także dążność do odziedziczania i to tém większa, im bliższą jest choroba wstępnego pokolenia do prostéj formy typowéj. Przeciwnie, im mniéj się ona zbliża do typu czystego, tém mniéj typową będzie u pokolenia zstępnego. Ogólnéj jakiejś tendencyi do postępowego zwyrodnienia pokoleń pod wpływem saméj tylko dziedziczności Sioli stwierdzić nie zdołał; owszem, na zasadzie spostrzeżeń swoich utrzymuje, że wszelkie pogorszenia albo polepszenia w następnych pokoleniach zależą nie od dziedziczności, lecz od kombinacyi różnych okoliczności i wpływów pobocznych, działających na osoby, dotknięte niemocą dziedzicznie przekazaną. Pomieszanie pokolenia wstępnego nigdy nie przechodzi w manią lub melancholią i naodwrót, tak iż ze stanowiska dziedziczności obie te grupy form raczéj wykluczają się wzajemnie. Natomiast, melancholia, mania i obłęd cykliczny zastępują się wzajemnie w szeregu pokoleń; z pomieszania, skoro tylko ono było czyste, regularnie wynika pomieszanie w drodze dziedzicznéj.

Jeżeli spostrzeżenia i wywody Siolego są prawdziwe, kwestya fatalnego wpływu dziedziczności na stopniowe pogorszanie się choroby w szeregu dziedzicznie zwyrodnionych pokoleń, z takim naciskiem uwydatniona przez badaczy francuskich, zmienia się dość ist ot-

nie; okazałoby się bowiem, że rola dziedziczności jako czynnika redukuje się wprost do odtwarzania form chorobnych w niezmienionéj postaci, gdy tymczasem kolejne zwyrodnienia zarówno jak i poprawianie się rodów w szeregu pokoleń należy przypisać czynnikom pobocznym i w ich liczbie naturalnie dziedziczności krzyżowanéj, zależnéj od małżeństw osób dziedzicznie chorych z osobami choremi albo zdrowemi, A zatém typowość rodów zwyrodnionych, zarówno jak wyłączna rola dziedziczności w procesie zwyrodnienia, są wątpliwe.

Dotąd na gruncie badań psychopatologicznych zagadnienie dziedziczności daléj posunięte nie zostało. Zastanawialiśmy się nad tém dłużéj dlatego, że tu właśnie najgorliwiéj i z największą ścisłością gromadzono materyał faktyczny i najsystematyczniéj go opracowywano; chociaż osiągnięte wyniki odsłaniają raczéj wątpliwości przedmiotu, uświadomiają słabe strony badań jego, niż podają stanowcze pozytywne odpowiedzi. Nie znane nam są ani znamiona faktu, ani granice jego; przeszliśmy tylko od empiryzmu naiwnego do krytycznego.

By uzupełnić sobie obraz nietyle osiągniętych rezultatów, ile podniesionych trudności przedmiotu i punktów wytycznych w badaniu jego, musimy się z kolei przerzucić na pole ogólno biologiczne i w części psychologiczne, zkąd odsłonią się nowe na to zagadnienie widoki. Tu już nie tyle systematycznie gromadzono fakta, nie tak gorliwie posługiwano się metodą statystyczną, co stanowi czysto jeszcze empiryczną część zadania; lecz za to nie zaniechano licznych prób teoretycznego objaśnienia faktów na gruncie biologicznym, słowem—zbudowania teoryi dziedziczności. Los hypotez tego rodzaju był do przewidzenia: skoro nieznane są znamiona samego faktu dziedziczności, więc nie było żadnéj rękojmi, że do kategoryi dziedziczności nie zaliczamy także całych obszarów faktów, które zgoła nie należą do niéj, że w jednych przypadkach nie przekraczamy rzeczywistych granic tego czynnika, w innych—nie dochodzimy do nich. Tak się téż stało. Wszyscy się dziś godzą na to, że z całego szeregu dawniejszych i świeższéj daty hypotez, mających dziedziczność objaśniać, żadna nie może się wobec krytyki ostać. Najwymowniejszym tego dowodem są znane nam z dokładnych sprawozdań debaty na świeżo odbytych kongresach. W początku sierpnia roku bieżącego obradował w Paryżu kongres psychologiczno-fizyologiczny, który do programu swego włączył aż sześć punktów, specyalnie kwestyi dziedziczności poświęconych; w Plymuth w początku września r. b. odbyły się posiedzenia *British Association*, którego sekcya antropologiczna także rozprawiała nad

kwestyą dziedziczności. Francuzi stoją w tém zagadnieniu na gruncie dogmatycznym, zupełnie niekrytycznie dziedziczność rozciągają do granic dowolnych i gromadzą mniéj lub więcéj prawdopodobne przypadki. Anglicy, którzy także dość daleko zapuścili się w kierunku empiryzmu niekrytycznego i statystyki, okazali się bardziéj do refleksyi skłonnymi; tak, prezes sekcyi antropologicznéj Sir William Turner w obszernéj mowie swojéj o dziedziczności zapoznaje słuchaczy z najnowszą hypotezą frejburskiego prof. Augusta Weismanna i głównie z wątpliwościami, które uczony zoolog niemiecki podniósł na tle hypotezy swojéj co do granic dziedziczności, jako czynnika w sprawie przeobrażeń jestestw organicznych; przyczém anatom angielski krytykuje tę hypotezę. Prof. Weismann, opierając się na najświeższych embryologicznych i histologicznych odkryciach, wysnuł oryginalną hypotezę dziedziczności, która żywo zajęła biologów i z jednéj strony wywołała polemikę, z drugiéj zaś zjednała sobie tu i owdzie zwolenników. Jestto hypoteza jednociągłości plazmy rozrodczéj, jako podstawy dziedziczności. Zarówno dawniejsze hypotezy, jak i ta najświeższa, były już kompetentnie w piśmiennictwie naszém zreferowane (1), tak iż można ich tu nie poruszać, tém bardziéj, że nam chodzi nie o teoretyczną, lecz o empiryczną stronę przedmiotu.

Właśnie w pracach prof. Weismanna, zagadnieniu dziedziczności poświęconych (2), znajdujemy ważny przyczynek do kwestyi empirycznego poznania dziedziczności: z wielkim mianowicie naciskiem twierdzi uczony niemiecki, że odziedziczanie własności przez przodków nabytych, tak wskutek ćwiczenia lub bezczynności pewnych narządów, jak również wskutek uszkodzeń, okaleczeń i zniekształceń, jest niemożliwe, że odziedziczają się tylko te własności, które już potencyalnie zawarte są w plazmie rozrodczéj zarodka, w nieprzerwanéj ciągłości przechodzącéj z pokolenia na pokolenie, i te zmiany, które zaszły w plazmie rozrodczéj albo skutkiem kombinowania się pierwiastków rozrodczych, od osobników różnéj płci pochodzących, albo znów te zmiany w plazmie rozrod-

---

(1) Porównaj: Prof. Aug. Wrześniowski. Przyczyny dziedziczności i zmienności zwierząt i roślin („Ateneum" 1887, III 387—413); tenże, Nowsze poglądy na dziedziczność i zmienność istot ożywionych („Ateneum" 1889, III, 236—264); J. Nussbaum. Najnowsze poglądy na istotę dziedziczności, („Wszechświat", 1887); tenże: Poglądy Naegelego na darwinizm i nowa teorya pochodzenia gatunków, („Ateneum", 1885, IV, str. 146—160 i 488—507; tenże: Zasady ogólne nauki o rozwoju zwierząt. Warszawa, 1889, rozdział VIII, str. 196—219.

(2) Weismann. *Ueber die Vererbung. Ein Vortrag.* Jena, 1883. *Die Continuität des Keimplasma's als Grundlage einer theorie der Vererbung.* Jena, 1885. *Ueber die Hypothese einer Vererbung von Verletzungen. Vortrag.* Jena, 1889.

czéj, które zaszły pod wpływem ogólnych warunków troficznych czyli odżywiania, jakie plazma rozrodcza znajduje w organizmie rodzicielskim. Atoli zmiany, zależne od przyczyn téj ostatniéj kategoryi, nie mogą spowodować ścisłego powtórzenia się w potomstwie cech nabytych przez rozwinięty organizm rodzicielski, lecz będą jakiejś niedającéj się dziś bliżéj określić natury. Zmienność świata jestestw organicznych zależy od zmian zachodzących w plazmie rozrodczéj, z pośród których dobór naturalny oszczędza te tylko, które w daném otoczeniu są dla danego gatunku pożyteczne lub obojętne, pozostawiając sprawę utrwalenia tych zmian dziedziczności. Trzy są podstawy, na których Weismann twierdzenie swoje opiera: dwie natury teoretycznéj i jedna czysto empirycznéj. Popierwsze, sądzi on, że wobec wielce dziś prawdopodobnego faktu embryologicznego, iż organizm przychodzi już na świat z gotową plazmą rozrodczą, przez rodziców mu przekazaną, niepodobna sobie wyobrazić takiego mechanizmu, dzięki któremu własności, nabywane w ciągu życia przez rodziców, mogłyby się przenosić na ich plazmę rozrodczą w ten sposób, aby w rozwiniętém później z téj plazmy potomstwie miały się dokładnie powtórzyć te mianowicie cechy, które rodzice nabyli. Powtóre sądzi on, że jego hypoteza jednociągłości plazmy rozrodczéj dostatecznie tłómaczy mechanizm odziedziczania, zaś jego hypoteza zmian téj plazmy pod wpływem wyżéj wymienionych warunków i przy pomocy doboru naturalnego dostatecznie tłómaczy zmienność świata jestestw organicznych. Potrzecie, i to w danym razie szczególną ma dla nas wagę, krytykuje on dotąd zebrane fakty domniemanego odziedziczania cech przez organizm indywidualny nabytych i usiłuje dowieść, że fakty te niekrytycznie są zebrane, gdyż opierają się albo na niedokładném rzeczy zbadaniu, albo na podaniach zgoła anegdotycznych. Argument pierwszy jest treści negatywnéj i nie dowodzi niczego, gdyż ztąd, iż nie możemy sobie wyobrazić mechanizmu odziedziczania cech nabytych, nie wypada aby mechanizm taki istniéć nie mógł. Argument drugi, czyli właściwa hypoteza, opiera się na dowolném założeniu jakoby zrozumiały nam jest mechanizm narastania plazmy rozrodczéj, któréj cząstka każda ściśle posiada te same własności *in actu* i *in potentia*, jakie cechują pierwotnie daną plazmę. Mechanizmu tego również nie znamy wcale i tylko fakty zmuszają nas do przypuszczenia, że mechanizm taki istnieje; otóż, gdyby istniały niewątpliwe fakta odziedziczania cech nabytych, tobyśmy tak samo zmuszeni byli przypuszczać istnienie mechanizmu odpowiedniego, jakkolwiek go nie znamy. W równym stopniu nie znamy wcale mechanizmu kombinowania się pierwiastków rozrod-

czych, od różnych płci pochodzących, zkąd powstaje nietylko w pewnym stopniu odmienny osobnik, lecz i plazma rozrodcza, jako zaczyn przyszłych pokoleń, również zmodyfikowana. Skoro pierwiastek rozrodczy ojca zawiera *in potentia* wszystkie własności jego rodu i pierwiastek rozrodczy matki — wszystkie własności jéj rodu, to jakiemuż mechanizmowi przypisać mamy fakt, że powstający ze skombinowania tych pierwiastków zarodek rozwija się w dalszym ciągu jako normalny osobnik, złekka zmodyfikowany, nie zaś jako chaotyczna mieszanina? Umysł, bujną wyobraźnią obdarzony, mógłby tu podsunąć analogią składanych fotogramów Galtona, odtwarzających typy przeciętne, ale dość się zastanowić, aby analogią tę uznać za śmieszną. Tak tedy, wogóle mechanizm dziedziczności jest nam nie znany i nawet nie potrafimy dziś objaśnić, dla czego komórka nowa przybiera kształty i rozmiary komórki macierzystéj, nie zaś inne jakieś. Nadto, jak nam się zdaje, hypoteza Weismanna jest wprost zamaskowaną postacią t. zw. *Einschachtelungstheorie*, t. j. przeniesienia całéj zagadki rozwoju, wszystkich w czasie występujących faz ewolucyi filogenetycznéj, do pierwotnéj plazmy rozrodczéj, która już *in potentia* zawiera w sobie wszystkie przyszłe formy. W ostatniéj już chwili znajduję kompetentne poparcie téj nieśmiałéj opinii w dwóch niezależnych źródłach; w nowém dziele Wundta (1) i we wzmiankowanéj mowie Turnera (2) o dziedziczności.

Natomiast trzeci, empiryczny argument Weismanna, jego krytyka domniemanych faktów odziedziczania własności przez organizm rodzicielski nabytych, wydaje się godnym bacznéj uwagi; gdy bowiem w mniemaniu powszechném niemal dziedziczność ma być czynnikiem, dla działania którego szranki nie istnieją, krytyka Weismanna, przeciwnie, usiłuje zakreślić pewne granice faktowi. I nie dlatego odziedziczanie cech nabytych jest wątpliwe, że nie dałoby się ono wytłómaczyć na podstawie hypotezy jednociągłości plazmy rozrodczéj, jak to niekiedy z argumentacyi Weismanna wypada, bo przyjmowanie lub odrzucanie faktu z tytułu jego zgodności lub niezgodności z jakąkolwiek hypotezą byłoby złą gospodarką w nauce, lecz dlatego wprost, że dotąd zebrane fakty domniemanego odziedziczania cech nabytych nie wytrzymują krytyki i w wielu razach mogą być objaśnione z większém prawdopodobieństwem inaczéj. Inne to pytanie, czy nie posuwa swéj krytyki uczony niemiecki za daleko.

---

(1) W. Wundt. *System der Philosophie*, Lipsk, 1889, str. 537.

(2) Sir W. Turner. *On Heredity*. (*Times*, 14 września, 1889).

Wątpliwości co do odziedziczania cech nabytych zaznaczane były już wcześniéj, jak naprzykład przez anatoma Hisa, fizyologa Du Bois Reymonda i botanika Nägelego; dopiero wszakże Weismann zwrócił na nie uwagę należytą i poparł nietylko bardziéj szczegółową krytyką faktów, lecz i racyą swojéj bądź co bądź dowcipnéj hypotezy. Bezwzględnego wyznawcę poglądów swoich znalazł on w osobie profesora patologii w Tybindze Ernesta Zieglera (1). Roztrząsając różne kategorye często cytowanych przykładów odziedziczania cech indywidualnie nabytych, przychodzą oni do wniosku, że przykłady te nie są tém, za co podawane bywają, gdyż albo się dają wytłómaczyć jako odziedziczanie cech nie w ciągu życia przodka nabytych, lecz już w plazmie rozrodczéj tego przodka obecnych, albo są wytworami wyobraźni, która się ze ścisłém badaniem faktu nie rachuje. Syn kowala nie może odziedziczyć rozwiniętych przez pracę mieśni ojca, jeżeli ta skłonność do spotęgowania się mięśni nie była już zawartą w plazmie rozrodczéj ojca; tak samo potomek psa, któremu ogon ucięto, nie odziedzicza okaleczenia ogona, itp. Odziedziczane mogą być tylko zmiany, które już zaszły w plazmie rozrodczéj zarodka, ale nigdy te, które tak lub inaczéj powstały pod wpływem oddziaływania warunków zewnętrznych na rozwinięty organizm przodka. Oto niektóre przykłady zpośród tych, które Weismann w pismach swoich krytykuje. Na zjeździe przyrodników niemieckich w Wiesbadenie w r. 1887 pokazywano kocięta bez ogonów i twierdzono, że anomalią tę odziedziczyły one po matce, która została okaleczoną w ten sposób wskutek przejechania ogona. W danym przypadku niepodobna było stwierdzić ojcowstwa, jak to się zresztą zazwyczaj dzieje u kotów—zauważa Weismann; ale zkądinąd wiadomo, że na wyspie Man i w Japonii istnieje odmiana kotów bez ogona, wielce tam protegowana, oraz że okazy téj odmiany dają się spotykać w Niemczech i również są cenione dla rzekomo większéj zdolności chwytania myszy. Tak, w pewnym przypadku, gdzie kocięta także przyszły na świat bez ogonów, można było stwierdzić, że w okolicy był kot rasowy z wyspy Man, zkąd wolno się domyślać z pewném prawdopodobieństwem jego ojcowstwa. Zkąd u téj rasy kotów powstała rzeczona cecha—niewiadomo; Weismann utrzymuje, że wskutek jakichś zmian w plazmie rozrodczéj protoplasty i następnie doboru sztucznego. By jednak nie opierać krytyki swojéj na przypuszczeniach prawdopodobnych tylko, Weismann ucieka się do ekspery-

(1) Ziegler. *Können erworbene pathologische Eigenschaften vererbt werden und wie entstehen erbliche Krankheiten und Missbildungen?* Jena, 1886.

mentu. W tym celu nie bierze on kotów, gdyż gatunek ten posiada widoczną skłonność do wytwarzania odmian z ogonem zanikowym, wobec czego nie bylibyśmy pewni czy potomstwo zrodzone bez ogonów odziedziczyło okaleczenie rodziców, czy też właściwość ta powstała samoistnie; obiera on do eksperymentu myszy białe, gatunek, który nigdy, o ile wiadomo, nie okazuje rzeczonéj skłonności. Doświadczenia dowiodły, że pomimo systematycznego ucinania ogonów wszystkim osobnikom w ciągu pięciu pokoleń myszy poddanych obserwacyi, na 849 sztuk żadna nie urodziła się z ogonem nienormalnym.

Trzeba zauważyć, iż ten napozór przezornościami obwarowany eksperyment Weismanna w gruncie rzeczy poprawny nie jest: mianowicie, zawiera on w sobie skryty domyślnik, że pod względem dziedziczności jednostajnie muszą się zachowywać analogiczne części ciała u różnych gatunków, a przynajmniéj u różnych gatunków téj saméj gromady ssących. To jednak ani teoretycznie nie jest konieczne ani empirycznie zbadane nie zostało. Owszem, mogłoby się okazać, że nietylko analogiczne części ciała u różnych gatunków, lecz i różne części ciała u tego samego gatunku nie jednostajnie zachowują się pod względem odziedziczania cech nabytych, o ile takie odziedziczanie wogóle istnieje. Ztąd, że u myszy okaleczony ogon nie odziedzicza się, nie można wnosić, że tak samo ma być u kota; jak również ztąd, że u pewnego zwierzęcia odcięty członek ciała nie odrasta, nie można wnosić, że i u innego nie odrośnie. Bardziéj przekonywającym jest dowód oparty na badaniach anatomicznych, które wykazały, że w rasach zwierząt, gdzie się zdarzają osobniki z ogonem zanikowym z urodzenia, zanik ten polega nie na zupełnym braku kręgów, jak się to dzieje w razie ucięcia ogona, lecz na anomalii zupełnie innéj natury morfologicznéj.

Nie mniéj zajmujący jest inny przez tegoż uczonego przytoczony przykład domniemanego odziedziczenia przez syna okaleczenia ucha, którém dotknięta była matka w latach jeszcze dziecinnych wskutek szarpnięcia kolczyka i przerwania płatka usznego. Weismann podaje wizerunki uszu matki i syna, według fotogramów skopiowane; bliższe zbadanie rzeczy wykazuje, że pomimo zewnętrznych pozorów, anomalia ucha syna bynajmniéj anatomicznie nie odpowiada okaleczeniu ucha matki, że ucho syna jest wybitnie inaczéj zbudowane w całości niż ucho matki i domniemany znak dziedziczny znajduje się na płatku, którego ucho syna prawie nie posiada, lecz wyżéj, całe zaś ucho syna jest prawdopodobnie kopią ucha ojcowskiego. Opierając się na tych i tym podobnych rozbiorach przykładów, Weismann przychodzi do przekonania, że dotąd nie

znamy żadnego dokładnie pod każdym względem zbadanego i sprawdzonego faktu, któryby dowodził dziedziczności cech przez organizm w ciągu życia nabytych.

Wprawdzie, Teodor Eimer, profesor w Tybindze, w obronie poglądu wręcz przeciwnego wywodom Weismanna zebrał (1) sporą ilość przykładów, mających dowodzić dziedziczności cech nabytych, pod wpływem działania na organizm czynników zewnętrznych, tudzież powstawania stąd nowych odmian, niezależnie od doboru naturalnego; jednakże Eimer przykładów przez siebie podanych nie osłonił dostatecznie przed znanemi zarzutami Weismanna, a nawet w dobréj wierze podaje przykłady wyraźnie przez Weismanna zakwestyonowane; to téż, jak widzimy z mowy tego ostatniego, wygłoszonéj w dniu 20 września 1888 r. podczas zjazdu przyrodników w Kolonii, dowody Eimera wcale nie zachwiały sceptycyzmu jego w sprawie odziedziczania cech nabytych.

Widzieliśmy tedy, jakie granice zakreśla Weismann dziedziczności; w dalszym ciągu zobaczymy, iż gdyby twierdzenia jego w rzeczy saméj były słuszne, gdyby wogóle odziedziczanie cech nabytych nie istniało, doniosłość następstw teoretycznych tego twierdzenia byłaby olbrzymia. Oczywistą bowiem jest rzeczą, że wszystkie te gałęzie wiedzy, które tak lub inaczéj muszą objaśniać przeobrażenia form i czynności, zachodzące w świecie jestestw organicznych, i które w najnowszym czasie oparły się na biologicznéj teoryi rozwoju, ogromną rolę w sprawie tych przeobrażeń przypisują odziedziczaniu cech przez ćwiczenie lub bezczynność nabytych. Szczególniéj da się to zauważyć o psychologii porównawczéj, objaśniającéj powstanie i rozwój popędów, skłonności, instynktów, przez dziedziczne utrwalanie się cech, które pierwotnie zrodzić się miały w drodze świadomego przystosowania się zwierzęcia do warunków otoczenia i w następnych już pokoleniach miały się zmechanizować, jako czynności celu nieświadome. Wprawa w pewnéj czynności, świadomie nabyta przez przodka, odziedzicza się przez potomka, jako mechanizm gotowy; jeżeli zaś czynność dana jest konieczną, lub ważną wobec danych warunków otoczenia, więc najwięcéj szans do zachowania się przy życiu i pozostawienia potomstwa mają te osobniki, które daną zdolność nabyły lub odziedziczyły; najmniéj szans te, które jéj nie nabyły i nie odziedziczyły. Jestto pogląd bardzo upowszechniony; Spencer, Ribot, Romanes

---

(1) Th. Eimer. *Die Entstehung der Arten auf Grund von Vererben erworbener Eigenschaften.* Jena. tom I. Referat z tego dzieła podał prof. Wrześniowski w sierpniowym zeszycie „Ateneum“ r. b.

i wielu innych nie wątpią, że nabyte przystosowania psychiczne, pewne skojarzenia wyobrażeń i uczuć, przekazują się dziedzicznie, jako popędy instynktowe, bądź takie jak instynkt myśliwski, wędrowny, bądź jako skłonności społeczne, moralne, umysłowe. Charakterystyczny wyraz tego poglądu znajdujemy u Edwarda Heringa (1): organizm może przelewać na potomstwo te nawet cechy, których sam nie odziedziczył, które nabył jedynie dzięki specyalnym okolicznościom swego istnienia: każde jestestwo organiczne przelewa na swoje potomstwo wszelkie nabytki swego życia indywidualnego, i tym sposobem pomnaża ogólne dziedzictwo uzdolnień całego gatunku. Własność tę, na mocy któréj jestestwa organiczne przelewają dziedzicznie cechy nabyte na potomstwo, Hering uważa za zasadniczą własność materyi organicznéj i, nadawszy jéj miano zdolności odtwarzania (*Reproductionsvermögen*), utożsamia z pamięcią, jako specyalną własnością mózgu, który odebrane wrażenia zaregestrowuje i odtwarza następnie.

Za przykładem psychologii porównawczéj poszła antropologia i socyologia; im mniéj widoczną staje się rola i skutki doboru naturalnego w życiu coraz bardziéj uspołeczniającego się człowieka, im bardziéj zawiłemi stają się popędy moralne i instynkty społeczne, tém skłonniejszemi są wymienione nauki do przyznania nieograniczonéj roli dziedziczności cech nabytych w drodze świadomych przystosowań i ćwiczenia. Z odnośnéj literatury możnaby przytoczyć zdumiewającą ilość dowodów tego, że badacze w dziedzinie antropologii i socyologii uważają dziedziczność cech nabytych za klucz do otwierania najzawilszych zagadek rozwoju, za ucieczkę niezawodną w tych wszystkich przypadkach, gdzie chodzi o powstanie i rozwój instynktów właściwych różnym rasom ludzkim, gdzie trzeba objaśnić genezę popędów moralnych i społecznych, upodobań wszelkich i uzdolnień umysłowych. By się ograniczyć, weźmy jedno z najbardziéj w tym względzie typowych i co do doby najświéższe dzieło Letourneau (2): „Komórka nerwowa — czytamy tam — jest przyrządem regestrującym, nagromadzone zaś w niéj ślady wrażeń mogą się dziedzicznie przelewać, skąd powstają dążności wrodzone, skłonności naturalne, instynkta“ (str. 52). „U człowieka, tak samo jak u zwierząt, komórka nerwowa tak jest

---

(1) Hering. *Ueber das Gedächtniss als eine allgemeine Function der organischen Materie.* 1870; drugie wyd. Wiedeń, 1876.

(2) Letourneau. *L'évolution de la morale.* Paris, 1887. Trzeci tom wydawnictwa *Bibliothèque antropologique.* Porównaj także: Guyau. *La morale anglaise contemporaine*, 2 wyd. Paryż, 1885, Rozdziały IX, X części I, i IV części II, ks. 3.

uorganizowana, iż zdolna jest przyjmować i przez mniéj lub więcéj długi czas przechowywać ślady wrażeń, skąd wynika zdolność do układania się, do zaszczepiania się skłonności dziedzicznych, które skoro tylko zaszczepione zostają, kierują postępowaniem jednostki wśród powikłań i przygód życia“ (str. 74). „Skłonności wrodzone i nieokiełznane do kradzieży, do zabójstwa, do gwałtu, do podpalania, do opilstwa, bynajmniéj nie należą do rzadkich w naszych t. zw. ucywilizowanych społeczeństwach i dziedziczność ich nie ulega wątpliwości“ (66). „Instynkta moralne, skoro się tylko zorganizują i utrwalą w ośrodkach nerwowych, przelewają się dziedzicznie, podobnie jak instynkta zwierzęce i funkcyonalne, chociaż naturalnie nie z taką uporczywością. Instynkta moralne są względnie świeższéj daty, tak, iż dziedziczność ich nie jest jeszcze uregulowana, podlega przerwom. Wszelakoż uporczywość, z jaką się one dziedziczą, jest o wiele silniejsza, niż dziedziczność uzdolnień umysłowych, które są najbardziéj ulotne jako ostatnie pod względem daty powstania; ich odziedziczalność rozciąga się zaledwo na kilka pokoleń“ (70). Tak samo dziedziczą się nabyte instynkta wojownicze (71), uzdolnienia do rzemiosł specyalnych i zawodów, czego przykład mamy w Peru (255) i w Egipcie (263). Wogóle, pewne warunki geograficzne, społeczne, ekonomiczne, skłaniają jednostki do określonego postępowania, do ćwiczenia się w pewnych czynnościach, do danych warunków przystosowanych; ćwiczenie i wprawa nabyta w szeregu pokoleń utrwalają się jako cechy dziedzicznie przekazywane potomstwu, jako gotowy mechanizm, który przy zetknięciu się z odpowiedniemi warunkami sam działać zaczyna. Sprobujmy odrzucić dziedziczność cech nabytych, jako czynnik rozwoju w téj dziedzinie, i wnet stanie się oczywistém, że całe szeregi zagadek pozostają bez objaśnienia, że całą ogromną robotę trzeba rozpoczynać na nowo, i to nie wiadomo od czego ją zaczynać, bo nie znamy żadnego innego czynnika, któryby nawet w przybliżeniu obiecywał nam rozwiązanie tych nieuniknionych zagadnień.

Z téj więc strony teza Weismanna musi napotkać energiczny opór, chociaż myśl bezstronna, nie uląkłszy się trudności, które ten odpór nastręczy, powinna należycie ocenić prawdziwy stan sił zbrojnych obu przeciwników. Że Weismann na poparcie swojéj negatywnéj tezy nie może i nie potrzebuje przytaczać faktów pozytywnych, że może on poprzestać na krytyce domniemanych przykładów odziedziczania cech nabytych i na pośrednich spekulacyach embryologicznych i wogóle biologicznych, to rzecz sama przez się oczywista. Ci jednak, którzy bronią tezy przeciwnéj,

mianowicie odziedziczalności cech nabytych, musieliby koniecznie udowodnić, że odpowiednie fakty istnieją. Otóż, żaden taki fakt stanowczo udowodniony nie został. Trzeba to jasno uprzytomnić sobie, że teza odziedziczalności cech nabytych jest przedewszystkiém wymagalnikiem teoretycznym, następnie zaś opiéra się na analogii do pewnego stopnia prawdopodobnéj. Skoro, rozumujemy sobie, rozwój form i czynności organicznych, bardziéj złożonych z form i czynności prostszych jest pewnikiem, tedy należy przypuścić, że formy i czynności przystosowane do warunków istnienia, muszą powstawać w pewnéj zależności od tych warunków. Zależność ta jednak może być dwojakiego rodzaju: albo odmiany powstają w ten sposób, że organizm przystosowuje się do warunków otaczających i nabyte przystosowania dziedzicznie przekazuje potomstwu, które faktycznie rodzi się już z gotowemi przystosowaniami; albo odmiany powstają samoistnie we wszelkich kierunkach i zpośród nich przechowują się i przekazują dziedzicznie te tylko, które przypadkowo otoczeniu odpowiadają. Druga jednak alternatywa przy objaśnianiu specyalnych instynktów, popędów i uzdolnień nastręczyłaby nieprzezwyciężone trudności; gdy tymczasem pierwsza nietylko tych trudności nie nastręcza, lecz nadto znajduje poparcie w pewnych analogiach: codziennie widzimy, że przystosowania, świadomie nabyte przez ćwiczenie i wprawę, ostatecznie u téj samej jednostki stają się automatycznemi; mięśnie muzyka, tancerza, akrobaty, działają jak nieświadomy mechanizm; analogią do téj nieobmyślanéj sprawności wyćwiczonego mechanizmu znajdujemy właśnie w uzdolnieniach, instynktach i popędach wrodzonych, czyli takich, które w danym osobniku nie mogły być nabyte przez ćwiczenie. Stąd wniosek prawdopodobny, że mechanizmy przystosowane, mogą się nietylko wyrabiać w osobnikach, lecz i przekazywać się dziedzicznie od pokolenia do pokolenia. Uczony, który najgłębiéj zbadał fizyologią ćwiczenia i wprawy, Du Bois Reymond (1), w gruncie rzeczy nie inaczéj wywodzi swoją wiarę w dziedziczność cech przez ćwiczenie lub bezczynność nabytych, przytoczone bowiem przezeń nieliczne przykłady faktycznego jakoby odziedziczania widocznie nie są wolne od zarzutów ze stanowiska krytyki Weismanna. Jeżeli przytém Du Bois Rey-

---

(1) Słynna mowa Du Bois Raymonda, wygłoszona w r. 1882 na walném zgromadzeniu Instytutu lekarzy wojskowych w Berlinie, p. t.: *Die Physiologie der Uebung*.— Opinia Herb. Spencera w tym przedmiocie brzmi zgodnie: „Co do mnie — pisze on— ogół faktów rodzi we mnie prawie nieprzezwyciężoną pewność, że odziedziczanie zmian funkcyonalnie nabytych istnieje powszechnie". *The factors of evolutions*, 1886.

mond sądzi, że układ nerwowy i zwłaszcza mózg, przeobraża się łatwiéj, niż mięśnie i inne tkanki pod wpływem ćwiczenia i łatwiéj nabyte zmiany przekazuje dziedzicznie, to i tu pośrednio opiéra się on na analogii, zaczerpniętéj z faktu, że tkanka nerwowa jest najwrażliwszą, najbardziéj jakby plastyczną w organizmie i najwyraźniéj przechowuje ślady nabytych doświadczeń pod postacią wspomnień i nałogów indywidualnych. Co godna uwagi, że tenże uczony wpośród cech nabytych, rozróżnia sztucznie i funkcyonalnie nabyte, i tym ostatnim tylko przyznaje własność przelewania się dziedzicznego, gdyż powiada: „chociaż okaleczenia przez siły zewnętrzne spowodowane, nie są dziedziczne, wszelakoż widzimy, że zmiany wewnętrzne, rzecz prosta nabyte, przekazują się dziedzicznie bez zaprzeczenia". Nie podaje on wprawdzie, na czém się rozróżnienie to, któregoby Weismann nie uznał, opiéra; zdaje się jednak, iż do pewnego stopnia możnaby go bronić: dziedziczność cech funkcyonalnie nabytych przez nikogo, jako fakt obaloną nie została i nadto jest w obecnym stanie wiedzy postulatem teoretycznym; gdy tymczasem dziedziczność sztucznych okaleczeń, nietylko nie jest wcale postulatem, lecz fakty domniemane, które się na jéj poparcie przytaczać zwykło, dotknięcia bardziéj surowéj krytyki nie wytrzymują. Wypadałoby się tylko zastrzedz, że chociaż wszelakiego rodzaju uszkodzenia i zniekształcenia sztuczne być może nie są wprost odziedziczalne, to jednak zmiany czynnościowe w ustroju, które są tych uszkodzeń następstwem, mogą się dziedziczyć, jako w istocie przez ćwiczenie, lub brak ćwiczenia nabyte.

Dziedziczność więc cech funkcyonalnie nabytych jest postulatem teoretycznym, bez którego całe szeregi zawiłych przystosowań do otoczenia nie dałyby się objaśnić na gruncie teoryi rozwoju. Na to mógłby zarzucić Weismann i stronnicy jego poglądów: nie przeczę, że położenie psychologów, antropologów i socyologów, w razie uznania i przyjęcia tezy mojéj o niedziedziczności wszelkich cech przez organizm nabywanych, byłoby niekorzystne; jakkolwiek wzgląd ten nie powinien uchodzić za argument tezę moją obalający. Przecież nie zechcecie panowie zamykać oczu na rzeczywisty stan rzeczy, byle ocalić przez własną wyobraźnię zmyślony gmach pięknych złudzeń. W istocie jednak tak źle nie jest, bo właśnie znamy czynnik, który możecie sobie obrać za punkt wyjścia w przebudowaniu swojego gmachu zachwianego. Tym czynnikiem jest zmienność plazmy rozrodczéj, pod wpływem łączenia się pierwiastków rozrodczych, od osobników różnéj płci pochodzących. Jak zmiany te odbywają się, tego nie wiemy wcale,

tak samo jak i wy; są one, innemi słowy, przypadkowe i mogą zachodzić we wszelkich kierunkach. Że jednak wam potrzebne są takie mianowicie zmiany, któreby były przystosowane do warunków otoczenia, wśród których będzie żył osobnik i jego potomstwo, tedy macie do usług dobór naturalny. Z plazmy rozrodczéj, podlegającéj zmianom w najrozmaitszych kierunkach, powstają osobniki odpowiednio także różne; z pośród nich jednak mają szanse przetrwania osobiście i w potomstwie do nich podobném te tylko osobniki, które się okażą przystosowanemi do nowych warunków.

Na to możnaby odpowiedziéć: prawda, że nie należy utrzymywać chociażby najbardziéj pracowitéj teoryi, kosztem zamykania oczu na rzeczywistość, kłam jéj zadającą; i to również prawda, że w plazmie rozrodczéj mogą powstawać zmiany, zależne od okoliczności przez Weismanna wyłuszczonych, oraz, że zmiany te mogą się w dalszym ciągu dziedziczyć. Ale to pewna, że hypoteza Weismanna przenosi tylko całe zagadnienie do plazmy rozrodczéj, któréj każe tak się zmieniać, aby pośród tych zmian znalazły się i takie, któreby odpowiadały coraz to innym i coraz bardziéj skomplikowanym warunkom otoczenia. Dopóki się nie wykaże dlaczego plazma ma się zmieniać w kierunku odpowiadającym tym czynnikom otoczenia, które na nią oddziaływać nie mogą, dopóty hypoteza owa musi być uważaną za swego rodzaju odwołanie się do cudu. Pomijając już to, że dobór naturalny bynajmniéj nie gra téj olbrzymiéj roli w rozwoju np. rodzaju ludzkiego, jaką mu ze stanowiska hypotezy przypisać wypada, pozostaje jeszcze wzgląd, że niepodobna pojąć, skąd mianowicie mają się brać cechy nowe, odpowiednie do coraz bardziéj skomplikowanych warunków otoczenia fizycznego i społecznego, skoro te cechy nie zależą od odziedziczania przystosowań, nabytych przez organizm w drodze ćwiczenia i mianowicie w kierunku przez otoczenie narzuconym.

Na podstawie tego, co się powiedziało, przyjąć możemy, że w obecnym stanie wiedzy istnieją dostateczne powody do wydzielenia zpośród ogółu cech nabytych, tych mianowicie, które zależą od sztucznych okaleczeń, uszkodzeń i zniekształceń i do powątpiewania o ich dziedziczności. Jestto zasługą Weismanna, że energiczną krytykę swoję na ten punkt skierował, wyrywając empiryzmowi naiwnemu cały obszar faktów domniemanych; ten jeden z wielu przykładów w dziejach nauki jasno dowodzi, jak uzasadniony krytycyzm i zwątpienie może więcéj przynieść pożytku wiedzy, niż całe stosy mozolnie ale niekrytycznie nagromadzonych nibyfaktów. Co się jednak tyczy cech nabytych przez organizm pod

wpływem ćwiczenia lub bezczynności, pod wpływem przystosowań organizmu w drodze ustawicznych działań otoczenia i oddziaływań organizmu, to tymczasem niepodobna odrzucić ich dziedziczności, i to tém trwalszéj, im dłużéj, im większa ilość pokoleń musiała się przystosowywać do danych warunków. Obok nieumotywowanéj opinii Du Bois Reymonda, którą podaliśmy wyżéj, powołamy się tu na zupełnie uzasadnioną opinią Wundta, która o tyle jest ważniejsza, że w niéj uczony ma bezpośrednio na względzie twierdzenia Weismanna, tudzież, że z jéj sformułowania jest widoczne, iż Wundt właściwie również opiéra przekonanie swoje o odziedziczalności cech funkcyonalnie nabytych na tém, że jestto postulat teoretyczny, któremu się nic nie sprzeciwia i który nadto wskazane wyżéj analogie czynią prawdopodobnym: „Że zmiany, pisze Wundt, które w ciągu życia zostały nabyte wskutek wzajemnych oddziaływań przyczyn wewnętrznych i zewnętrznych warunków życia, przechodzą dziedzicznie na potomstwo, to nie ulega wątpliwości, i zdaje się być rzeczą samą przez się niemożliwą, iżby się udało bez przyjęcia odziedziczalności zmian takich objaśnić przystosowywania się do wszystkich tych warunków życia, które dopiéro na rozwinięty organizm działać poczynają. Musielibyśmy w takim razie zupełnie zaniechać powoływania się na psychofizyczny wpływ ćwiczenia, który jedynie dotychczas poniekąd rozjaśniał tę ciemnię, ażeby go zastąpić nieokreśloném przypuszczeniem tylko zmian plazmy rozrodczéj wskutek mieszania się pierwiastków rodzicielskich. W takim razie jednak, sposób, jakim zmiany te wiodą do celowego przystosowania czynności organizmu i warunków otoczenia, dałby się z kolei objaśnić chyba przez dziwne nagromadzenie odmian przypadkowych. Wobec téj śmiałéj gry przypadku ze stanowiska empirycznego wypada przyjąć jedyne tylko przypuszczenie przez doświadczenie potwierdzone, że najważniejsza dźwignia udoskonalenia i wyróżniczkowania czynności tkwi w ćwiczeniu tych czynności i w pozostających skutkach tego ćwiczenia. Skoro jednak następstwa ćwiczenia mają się przekazywać od pokolenia do pokolenia i utrwalać, tedy musi istnieć dziedziczność własności nabytych. Jakoż w rzeczy saméj jest oczywistém, że ze względu na zdolność odziedziczania bynajmniéj nie należy stawiać na równi własności doraźnie i stopniowo nabytych. Tylko te ostatnie, dzięki temu mianowicie, że tu grają swoję rolę wzajemne na siebie oddziaływania różnych części organizmu, wytwarzają przeobrażenia, które, przy sprzyjających okolicznościach i zgodnie z doświadczeniem powszechném, utrzymują się i tém są

trwalsze, im powolniéj występują zmiany w przebiegu rozwoju tak osobnika, jak gatunku" (1).

Pomimo wszakże tego ograniczenia dziedziczności, rozległa literatura badanego tu przedmiotu nastręcza jeszcze jedno ważne zastrzeżenie. Mniéj krytyczni i powściągliwi badacze dziedziczności, z pośród których dość tu wymienić imiona Franc. Galtona (2) i Adolfa de Candolle'a (3), nietylko już przyznają dziedziczność cech przez ćwiczenie nabytych, lecz posuwają się tak daleko, iż nie wahają się przyjąć dziedziczności specyalnych uzdolnień do określonych zawodów i zajęć, jako fakt statystycznie udowodniony. Tak, Galton, opiérając się na pracowicie przez siebie zebranym materyale rodowodowym, przychodzi do wniosku, że takie uzdolnienia, jak do wioślarstwa, prawnictwa, poezyi, malarstwa i t. p., przeléwają się dziedzicznie z pokolenia, które je przez wprawę nabyło, na pokolenia potomne, pod postacią specyficznych skłonności i przystosowań do tych mianowicie zawodów. To samo de Candolle wysnuwa ze swoich badań nad rodowodami uczonych członków akademii w ciągu dwóch ostatnich stuleci. To znaczy tanim kosztem załatwiać się ze sprawą, pomijając wszystkie inne czynniki, których wpływ oczywisty nie da się zaprzeczyć.

To pewna, że nastręczają się tu analogie specyalnych instynktów wrodzonych niektórym zwierzętom: jeżeli pszczoła lub bóbr biorą się instynktowo do właściwych swemu gatunkowi zawiłych czynności budowniczych, i to w warunkach, gdzie ani otoczenie nie narzuca tych czynności, jako koniecznych, ani téż podobna przypuszczać wpływu przykładu dorosłych towarzyszy, tedy, rzecz prosta, trudno tu sobie poradzić bez przypuszczenia, iż instynkt specyalny został odziedziczony. U wielu jednak innych zwierząt a zwłaszcza u człowieka zaznaczone warunki stwierdzić się nie dają przez obserwacyą, tak, iż brak nam jedynéj rękojmi, któraby nas upoważniła do uciekania się do dziedziczności bezpośredniéj specyalnych uzdolnień. Po za tém, najogólniejszy przepis metodologiczny nakazuje, aby w razach, gdzie chodzi o objaśnienie genezy skomplikowanego zjawiska, zjawisko to nasamprzód rozłożyć na poszczególne składniki i badać genezę każdego ze składników. I w rzeczy saméj, w każdém uzdolnieniu specyalném potrzebne są pewne zdolności ogólne, zasadnicze, tak fizyczne jak psychiczne, i wprawa nabyta pod kierownictwem przykładu lub własnéj pomysłowości, poprzednie doświadczenia wyzyskującéj. Skoro się sze-

---

(1) Wundt. *System der Philosophie*, rozdział *Problem der Vererbung*, str. 534—545.

(2) Francis Galton. *Hereditary Genious*, także *English Men of Science* i t. d.

(3) Ad. de Candolle. *Histoire des sciences et des savants depuis deux siècles* etc.

reg pokoleń ćwiczył w wioślarstwie, to bardzo być może, iż nabyta siła mięśni rąk i zborność oraz sprawność odpowiednich części układu nerwowego, przejdą dziedzicznie na potomstwo, chociaż trudno przypuścić, iżby się bezpośrednio odziedziczał popęd do wioślarstwa i zwinność w tym zawodzie; te same właściwości mięśni i nerwów mogą być zastosowane do wielu innych specyalnych czynności z tém samém prawdopodobnie powodzeniem. Tak również zawód prawniczy może się przyczynić do wprawy i zaostrzenia takich zasadniczych właściwości umysłu, jak pamięć, zdolność upatrywania podobieństw, bystrego rozglądania się w zawiłych stosunkach konkretnych, i być może zdolności te są dziedziczne, ale niemniéj mogą się one okazać przydatnemi w handlu, w sztuce wojennéj, w zawodzie lekarskim. Trudność polega na tém, że niepodobna orzec, ile w wypadkach rzekoméj dziedziczności uzdolnień specyalnych należy położyć na karb naśladownictwa, wpływów rodzinnego i społecznego otoczenia, które wprost mogą nastręczać pewne specyalne zajęcia i zawody. Kto twierdzi, że specyalne uzdolnienia rzemieślnicze w Peru i zawodowe w Egipcie były bezpośrednio dziedzicznemi, ten zapomina, że ustrój kastowy tych społeczeństw narzucał potomkom drogą rutyny, przymusu i przykładu, określone specyalne zawody przodków. Ci z psychologów, antropologów i socyologów, którzy z dziedziczności robią zwierzę juczne do ryczałtowego przewożenia bagaży wszelkich przez ciasne wąwozy lub po ścieżkach nadprzepastnych, powinni zważyć, że każde zwierzę ma siłę ograniczoną, że zbyt wielki bagaż może utknąć pomiędzy skałami albo ciężarem swoim zwierzę w przepaść pociągnąć.

Zbierając treściwie wszystko, co się wyżéj powiedziało, można oznaczyć następujące punkta wytyczne w badaniu zjawiskowéj strony dziedziczności, czyli znamion i granic faktu:

Odziedziczanie przez potomstwo cech już przez przodków odziedziczonych, czyli dziedziczność zachowawcza, jest faktem przez powszechne doświadczenie stwierdzonym.

Co do dziedziczności postępowéj, czyli odziedziczania przez potomstwo cech przez przodków nie odziedziczonych, lecz tak lub inaczéj nabytych, istnieją liczne wątpliwości, które się dadzą streścić w zdaniu: nie znamy znamion i granic faktu.

Zmiany albo cechy nabyte mogą być dwojakiego rodzaju: 1° zmiany przypuszczalnie powstałe w pierwiastkach rozrodczych (nasieniu i jajku), czego faktycznie stwierdzić dotychczas nie można; 2° zmiany nabyte przez organizm w ciągu życia.

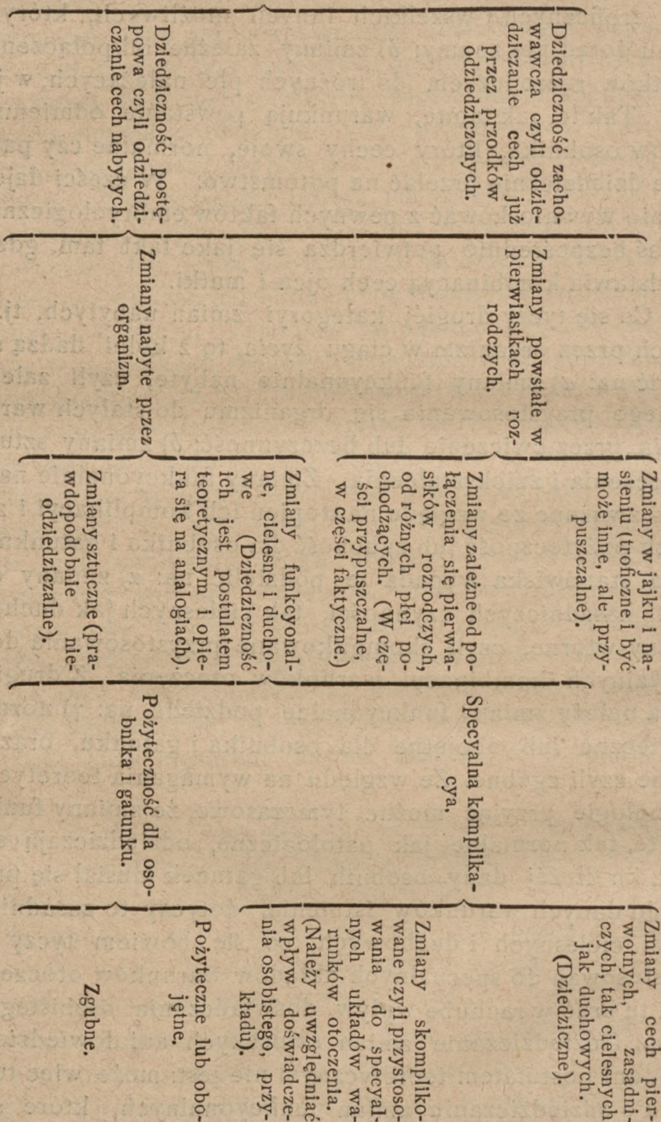
Co do pierwszych, można je podzielić na: *a*) zmiany, zachodzące w pierwiastkach rozrodczych po szczególe, skutkiem wpływów troficznych i wszelkich innych możliwych, których mechanizmu dotąd nie znamy; *b*) zmiany zależne od połączenia się pierwiastków rozrodczych, do różnych płci należących, w jeden zarodek. Tak te, jak tamte, warunkują powstanie odmiennego od rodziców osobnika, który cechy swoje, normalne czy patologiczne, może dziedzicznie przelać na potomstwo. W części daje się to pośrednio wywnioskować z pewnych faktów embryologicznych, w części zaś bezpośrednio potwierdza się jako fakt tam, gdzie dziecko przedstawia kombinacyą cech ojca i matki.

Co się tyczy drugiéj kategoryi zmian nabytych, tj. zmian nabytych przez organizm w ciągu życia, to z kolei dadzą się one podzielić na: *a*) zmiany funkcyonalnie nabyte, czyli zależne od powolnego przystosowania się organizmu do stałych warunków istnienia, przez ćwiczenie lub bezczynność; *b*) zmiany sztuczne, czyli okaleczenia i zniekształcenia. Zmiany funkcyonalnie nabyte mogą być rozważane ze względu na stopień ich komplikacyi i ze względu na ich pożyteczność lub zgubność dla osobnika i gatunkn. Z pierwszego stanowiska wypada je podzielić na: α) zmiany elementarnych, zasadniczych czynności, tak cielesnych jak duchowych, i β) zmiany wtórne, czyli skomplikowane przystosowania do pewnych specyalnych kombinacyi warunków otoczenia. Z drugiego stanowiska należy zmiany funkcyonalne podzielić na: γ) normalne czyli pożyteczne lub obojętne dla osobnika i gatunku, oraz δ) patologiczne czyli zgubne. Ze względu na wymagania teoretyczne i pewne analogie przyjąć można tymczasowo, że zmiany funkcyonalnie nabyte, tak normalne jak patologiczne, odziedziczają się témbardziéj, im dłużéj dany osobnik lub gatunek musiał się przygotowywać do danych warunków istnienia, dotyczy to zasadniczych własności cielesnych i duchowych, co się bowiem tyczy złożonych przystosowań do specyalnych układów warunków otoczenia, to wypada tu brać w rachubę wpływ doświadczenia osobistego, przykładu itp. Odziedziczanie zmian sztucznych ani dowiedzione nie zostało, ani postulatem teoretycznym nie jest: może więc tu być tylko mowa o odziedziczaniu zmian funkcyonalnych, które są następstwem zmian sztucznych.

Wszystko to da się uschematyzować w następującéj tablicy: (patrz str. 342).

Dziedziczność zmian patologicznych układu nerwowego zasługuje dlatego na specyalne wyodrębnienie, że dział ten oddawna stał się przedmiotem gorliwych i systematycznych badań ze strony

Diedziczność.



- Dziedziczność zachowawcza czyli odziedziczanie cech już przez przodków odziedziczonych.
- Dziedziczność postępowa czyli odziedziczanie cech nabytych.
  - Zmiany powstałe w pierwiastkach rozrodczych.
    - Zmiany w jajku i nasieniu (troficzne i być może inne, ale przypuszczalne).
    - Zmiany zależne od połączenia się pierwiastków rozrodczych, od różnych płci pochodzących. (W części przypuszczalne, w części faktyczne.)
  - Zmiany nabyte przez organizm.
    - Zmiany funkcyonalne, cielesne i duchowe (Dziedziczność ich jest postulatem teoretycznym i opiera się na analogiach).
    - Zmiany sztuczne (prawdopodobnie nieodziedziczalne).
- Specyalna komplikacya.
  - Zmiany cech pierwotnych, zasadniczych, tak cielesnych jak duchowych. (Dziedziczne).
  - Zmiany skomplikowane czyli przystosowania do specyalnych układów warunków otoczenia. (Należy uwzględniać wpływ doświadczenia osobistego, przykładu).
- Pożyteczność dla osobnika i gatunku.
  - Pożyteczne lub obojętne.
  - Zgubne.

psychopatologów. I tu także przypuszczać wolno zmiany pierwiastków rozrodczych i zmiany przez organizm nabyte; da się też do nich zastosować to wszystko, co się wyżej wogóle o zmianach patologicznych powiedziało. Specyalnie wszakże jest do zaznaczenia, że:

Dotychczasowe wyniki badań statystycznych nad dziedzicznością obłąkania są sprzeczne z sobą i nieuzasadnione, gdyż nieznane są znamiona, na podstawie których w każdym danym przypadku dałoby się orzec, czy w rzeczy saméj mamy do czynienia z dziedzicznością; gdyż tém samém nieznane są granice faktu.

Spostrzeżenia są nie ścisłe pod względem wywiadów, rozpoznania i epikryzy.

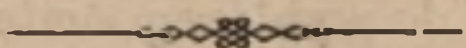
Listy rodowodowe są niedokładne, z powodu iż ród cywilny uchodzi za ród biologiczny, czyli naturalny; a nadto, niepodobna sięgnąć do początku rodu, a przynajmniéj oznaczyć właściwego protoplasty patologicznego i przyczyn, które stan patologiczny wytworzyły.

Szkoła psychopatologów francuskich podniosła kwestyą znamion faktu obłąkania dziedzicznego, niezależnie od niewiarogodnych wywiadów rodowodowych. Opierając się na czysto empirycznéj podstawie, broni ta szkoła dwóch tez zasadniczych: popierwsze, że stany psychopatologiczne od pokolenia do pokolenia mogą ulegać przeobrażeniom form, rozwijającym się na gruncie dziedziczności (*hérédité de métamorphose*); powtóre, że istnieją stałe znamiona, po których można poznać typ obłąkanych, dziedzicznie zwyrodnionych, typ fatalnie zmierzający od idyotyzmu i wygaśnięcia rodu, przez szereg form pośrednich, urozmaiconych przypadłościami epizodycznemi.

Przeciwko tym wywodom podnieść można pewne wątpliwości, również na badaniach empirycznych oparte. Niektóre dokładnie zbadane fakta (Tigges, Jung, Sioli) pozwalają się domyślać, że dziedziczność, jako czynnik w zakresie chorób psychicznych, ogranicza się w roli swojéj do odtwarzania w pokoleniach zstępnych form psychopatologicznych w niezmienionéj postaci; zwyrodnienia zaś i poprawianie się rodów przypisać należy wpływom czynników pobocznych i w ich liczbie dziedziczności krzyżowanéj.

Takim jest stan obecny empirycznych badań nad dziedzicznością. Pierwotny empiryzm naiwny, zasadzający się na domniemanéj oczywistości faktu i przypuszczeniu dogmatyczném, że czynnik dziedziczności w świecie jestestw organicznych jest fatalnym i wpływ jego żadnych granic nie zna, przeobraził się powoli w empiryzm krytyczny, który szuka znamion i granic faktu, posługując się jednocześnie hypotezami.

(*D. n.*) *Adam Mahrburg.*





DRUGI ZJAZD PRAWNIKÓW I EKONOMISTÓW POLSKICH

I JEGO ZNACZENIE.

Na szarém tle codziennych zajęć w życiu naszych prawników i ekonomistów, wyróżniło się niedawno zjawisko poważniejszéj natury, z cechą głębszéj myśli. Mówiąc to, mam na pamięci zjazd, który się odbył we Lwowie pomiędzy 12 a 14 września r. b.

Zjawisko podobne, z natury swojéj nadające się do rozpraw i zastanowień, wywołało rozliczne opisy i sprawozdania a niemniéj szerokie dyskusye po za prasą. Były przytém pochwały i nagany, uniesienia i zarzuty, ba, nawet i ostre krytyki. Strona dekoracyjna, jako to zwykle bywa, znalazła w czasopismach warszawskich bardzo szerokie odzwierciedlenie; były więc biuletyny o balach, telegram o toaście w ręce dwóch warszawianek („Kuryer Warszawski" Nr. 256), nie brakło nawet dokładnych szczegółów, dotyczących „referatu" mazurowego i kontredansowego („Słowo" Nr. 208). Dowiedzieliśmy się nadto, jakie są inicyały piękności lwowskich, i w jakich barwach wystąpiły one na raucie („Kuryer Poranny" Nr. 257), chociaż zapewniać chyba nie potrzeba, że sprawozdań z dziedziny estetyki program zjazdu nie obejmował. Szkoda tylko, że w potoku komunikowanych wiadomości estetycznych tonęły trochę tematy, czy to prawnicze, czy ekonomiczne, nikły prawie z oczu niby pieczeń ukryta pod stosami przypraw i ozdób kulinarnych. W istocie, w niektórych pismach, naprzykład w „Kuryerze Porannym", przy szerokich rozprawach o ucztach, zabrakło miejsca chociażby na współrzędne uwzględnienie rzeczywistych prac zjazdu. Gdyby publiczność opiérała się wyłącznie na opowieściach jakiemi ją karmiono, mogłaby doprawdy zwątpić o zdolności do pracy ze strony téj korporacyi, która z tytułu swych zasobów intelektualnych do wybitnego miejsca w społeczeństwie ro-

ści sobie prawo. Jakoż krytyk z „Głosu“ uwierzył naiwnie na słowo honoru swoim kolegom dziennikarskim, i przybrawszy („Głos“ Nr. 38) szaty ukrytego na zjeździe obserwatora, wylał wiadro żółci na ucztującą jakoby rzeszę, roztrącając przy téj sposobności na prawo i na lewo wszystko, cokolwiek stało na drodze. Oczywiście zaszła tutaj pomyłka co do osób. Ktoś zawinił, trzeba zmyć za to głowę, a więc pędźmy na Soplicę, chociaż winowajca stoi tuż obok.

Godzi się przeto zapytać, czém był zjazd w istocie, i na czém polegał program jego zajęć?

Kiedy przed dwoma laty brałem pióro do ręki dla złożenia sprawy z pierwszego zjazdu prawników i ekonomistów, zrobiłem zaraz na wstępie (1) uwagę, że wspólne zebrania ludzi nauki i praktyków, z przewagą tych ostatnich, nie stanowią zgromadzenia uczonych, pogrążonych w badania tajników nauki, lecz mają na celu wymianę myśli wśród szerszego grona w rzeczach ogółu dotyczących, co téż nadaje im zupełne prawo do bytu. Obecny zjazd co do składu swego nie różnił się od poprzedniego; zachowując charakter zgromadzenia poważnego, nie przybiérał on i przybiérać nie mógł cech ciała uczonego. O takiém stanowisku zjazdów nie należy zapominać, gdy chodzi o ocenę ich działalności. Nie odejmuje to nikomu prawa do krytyki, chociażby bardzo surowéj; dbać by tylko trzeba, żeby krytyka liczyła się z naturą zjawiska, które przychodzi pod jéj osądzenie. W kierunku dotykania różnych kwestyi, w kierunku poruszania różnych zagadnień społecznych i ich ujawniania, mamy prawo po zjazdach spodziéwać się pożytecznego działania i skutku; zjazdy powinny służyć za środek budzenia ludzi, budzenia ruchu, ożywienia zaniedbanéj dziedziny prawa i ekonomii, przez zbliżenie jednostek i zachętę do pracy poważnéj; sam zaś postęp wiedzy i praca w tym kierunku pozostać musi po za zjazdami, jak to z natury rzeczy wynika.

Na szczęście, wbrew doniesieniom niektórych dzienników, uprzedzając szczegóły sprawozdania, mogę z góry powiedzieć, że zjazd obecny okazał dużą ruchliwość, a w porównaniu ze swym poprzednikiem zrobił istotnie krok naprzód.

Zgłoszono na zjazd 16 tematów prawniczych i 13 ekonomicznych, czyli razem 29 referatów. Pomijając tematy, które bądź z powodu nieprzybycia referentów (2), bądź dla braku czasu spadły z porządku dziennego, wysłuchano, lub rozpatrzono na zjeździe 18

(1) Pierwszy zjazd praw. i ekonom. pol. Warszawa 1887, str. 2.

(2) Nie przybyli pp. dr. Tad. Pilat, Kempner, dr. Rosenblat, dr. Krzymuski i dr. Dargun.

prac, dziewięć prawniczych i dziewięć ekonomicznych, co już pod względem ilościowym stanowi bardzo pokaźny rezultat. Na zjeździe z r. 1887 załatwiono 9 referatów z dziedziny prawa i 3 ekonomiczne, czyli znacznie mniéj.

Dodać należy, że z liczby rozpatrzonych na pierwszym zjeździe tematów prawniczych, cztéry podnosiły kwestye, dotyczące stanu prawniczego jako to: o organizacyi wydziałów prawa (prof. Kasznicy), o towarzystwach prawniczych (prof. Kasparka), i dwa pp. Dunina i Balzera w kwestyi słownictwa prawniczego, zatém tylko pozostałe pięć wkraczały istotnie w dziedzinę prawa, mianowicie pochodziły z dziedziny prawa cywilnego lub publicznego.

Pod tym względem zjazd obecny nosił cechę całkiem odmienną, zaledwie jeden temat, mianowicie referat piszącego te słowa w przedmiocie nowego organu prawniczego poruszał sprawę obchodzącą wyłącznie stan prawniczy, wszystkie inne traktowały o rzeczach ze sfery prawa, bądź cywilnego, bądź publicznego, albo wreszcie karnego, jeżeli chcemy odróżnić to ostatnie od publicznego.

Co do rozkładu prac dokonał się on w sposób następujący. Na pierwszém posiedzeniu plenarném, po zagajeniu i odbyciu wstępnych formalności, dr. Skarzyński wygłosił refererat w formie odczytu p. t. Rozwój rolnictwa polskiego i obecne położenie polskiéj własności ziemskiéj w Poznańskiém, poczém na posiedzeniu połączonych sekcyi prawniczéj i ekonomicznéj (urządzoném na żądanie uczestników), przedstawiono dwa referaty: prawniczy prof. Spasowicza o ziemstwach w cesarstwie rosyjskiém i projektowanych w nich reformach, oraz ekonomiczny posła Stan. Szczepanowskiego o potrzebie szkoły polskiéj gospodarstwa społecznego.

Wszystkie inne referaty przestawiane były w sekcyach. Sekcya prawnicza w ciągu trzech odbytych posiedzeń rozpatrzyła następujące referaty:

1) Adolfa Suligowskiego (piszącego te słowa) o potrzebie organu prawniczego, poświęconego teoryi prawa i studyom porównawczym.

Z dziedziny prawa publicznego i karnego:

2) dra Gustawa Roszkowskiego o wydawaniu przestępców;

3) dra Leona hr. Pinińskiego o projekcie nowego kodeksu karnego austryaciego;

4) Henryka Konica o potrzebie gminy zbiorowéj w Galicyi;

5) Karola Listowskiego o międzynarodowém prawie transportu na kolejach żelaznych.

Z dziedziny prawa cywilnego:

6) Stanislawa Boduszyńskiego o dowodzie z przysięgi w procesie cywilnym;

7) Alfonsa Parczewskiego o rzeczach wolnych od egzekucyi (teorya *homestead*'ów);

8) dra Fryderyka Zolla o reformie prawa spadkowego beztestamentowego.

Sekcya ekonomiczna również w ciągu trzech posiedzeń rozebrała następujące referaty:

W przedmiocie drobniejszéj własności ziemskiéj:

1) dra Józefa Milewskiego o reformie prawa spadkowego w odniesieniu do własności ziemskiéj;

2) Adolfa Wayhingera o ustawie dotyczącéj spadków włościańskich i o podzielności gruntów chłopskich;

3) dra Władysława Krasińskiego o kredycie dla włościan w Galicyi.

W związku z tą sprawą:

4) dra Stanisława Kłobukowskiego o emigracyi polskiéj do Ameryki i środkach zapobieżenia złemu z niéj wypływającemu.

W innych kwestyach.

5) dra Mikołaja Fedorowicza, o przemyśle naftowym w Galicyi.

6) dra Włodzimierza Kozłowskiego o zadaniach polityki agraryjnéj wobec przesilenia rolniczego.

7) Filipa Flama o spadkach rolnych.

Już z samego zestawienia tych tematów rzuca się w oczy bogactwo programu i aż nadto obfita treść przerobionego materyału.

§ 2.

Chwila rozpoczęcia zjazdu nosiła zaiste uroczysty charakter. Na prezesa powołano dra Smolkę, niegdy adwokata lwowskiego, dziś znanego męża stanu i prezesa rady państwa w Wiedniu. Sędziwy starzec przemówił, dziękując za wybór, i zachęcając młodsze względem siebie pokolenie do wspólnéj pracy dla dobra nauki i społeczeństwa. W słowach jego brzmiała prawdziwa skromność, cechująca niepospolitych ludzi, a z ducha płynęła żywa miłość dobra ogólnego, bez któréj praca ludzka nie zdoła podnieść się do wyżyn wielkiéj użyteczności. Obok dra Smolki w charakterze wice-prezesów zasiedli: prof. Spasowicz z Petersburga, prof. Kasparek z Krakowa, i p. Simonowicz prezes sądu wyższego we Lwowie, sekretarzami zaś byli dr. Till i dr. Abraham, profesorowie lwowscy. Dodać należy, że w sekcyach zaproszeni zostali na przewodniczących

prof. Zoll i prof. Kleczyński, obaj z Krakowa, pierwszy prowadził obrady w sekcyi prawniczéj, drugi w ekonomicznéj (1). Do podniesienia ogólnego nastroju przyczyniło się téż skutecznie pełne podniosłych myśli przemówienie, jakiém zagaił pierwsze posiedzenie dr. Piętak, rektor uniwersytetu lwowskiego i prezes komitetu, zjazd urządzającego. Powitawszy zebranych, mówca przedewszystkiém zastanowił się nad zadaniem prawa, którego celem jest społeczne uobyczajenie człowieka. Na tém polu, związaném jak najściśléj z całém życiem indywidualném i społeczném, wiele już zdziałał rodzaj ludzki, ale mimo to wyznać trzeba, że jeszcze nam daleko od tego ideału, który streścił prawnik rzymski w słowach: *honeste vivere, neminem laedere, suum cuique tribuere.*

Ustrój prawny istnieje już dzisiaj w państwach ucywilizowanych dla wszystkich, każdy jest podmiotem prawa, ale nad słowami *suum cuique* stoi zawsze znak zapytania. Nie zaprzeczanie słuszności i doniosłości tego zagadnienia, ale niezwykła trudność jego rozwiązania jest głównym tego powodem. Stan, w którymby każdy stosownie do stanowiska, jakie w społeczeństwie zajął, w miarę sił fizycznych i umysłowych znalazł zapewnienie względnéj pomyślności, może nigdy nie da się w zupełności osiągnąć, tém bardziéj, że ciągły ruch sił społecznych wytwarza coraz to nowe stosunki i potrzeby. Dążyć jednak należy do zbliżenia się, o ile można, jak najwięcéj do tego stanu przez rozważne i stateczne kształtowanie urządzeń prawnych i ekonomicznych w duchu zasady, że społeczeństwo istnieje dla uszczęśliwienia wszystkich, że przeto każdy ma prawo do przydatnych mu warunków i środków bytu i doskonalenia się.

Do tego celu zmierzać powinny zarówno umiejętności jak i ustawodawstwo, zarówno teorya jak i praktyka. Umiejętności nadają kierunek pracy ustawodawczéj na podstawie zbadania i ocenienia stosunków, poznanie zaś takowych ułatwia umiejętnościom praktyka, dotykająca się bezpośrednio życia, przyczém ona nawzajem czerpie w naukach uzdolnienie do sprawiedliwego szafowania prawem. W téj łączności i wspólnym celu nauki i praktyki, mówca upatruje potrzebę wymiany myśli i zapatrywań na wspólnych zebraniach, które uważa za środek wzajemnego oddziaływania na siebie

(1) Zastępcami przewodniczącego w sekcyi prawniczéj byli p. Jasiński, prezes sądu krajowego w Krakowie i p. Brzeziński adw. z Warszawy, sekretarzami prof. Balzer, dr. Stebelski, adw. Marczewski i adw. Paszkowski. W sekcyi ekonomicznéj powołano na zastępców: dra Skarzyńskiego, p. Montwiłła i posła Szczepanowskiego, na sekretarzy zaś, dra Bindera, dra Kłobukowskiego, dra Władysława Pilata i dra Milewskiego.

mężów, oddających się teoryi i praktyce. Każda sposobność do spostrzeżeń na polu objawów życia przyczynić się musi w następstwie do postępu umiejętności, a taką sposobnością jest niezawodnie żywa i poważna dyskusya nad sprawami aktualnemi, tocząca się w gronie mężów zasobnych w doświadczenie.

Wprawdzie nie możemy mieć nadziei, aby uchwały zjazdu przyoblekły się w ciała ustaw obowiązujących na całéj ziemi. W życiu tak często się zdarza, że jasno poznane prawdy spotykają się z niemożnością urzeczywistnienia. Lecz zdradzałby małego ducha ten, kogoby podobne trudności odstraszały od prawd tych dociekania lub zrażały do ciągłych usiłowań wprowadzenia ich w życie.

Po usprawiedliwieniu w ten sposób zadania zjazdu, mówca zakończył temi słowy: „Z wiarą więc w pożyteczność pracy naszéj przystąpmy, panowie, do rozbioru zagadnień prawnych i ekonomicznych, umieszczonych na porządku obrad zjazdu. W otwarte ramiona przyjmujemy was, panowie, z sercem gorącém, miłością braterską.

„W serdecznym uścisku, dłoń w ciepłéj dłoni, niech płyną nam dni wspólnéj pracy naszéj!“.

Od pierwszéj chwili zaraz po tém przemówieniu, serca zabiły żywiéj, raźniéj, temperatura się podniosła, skutecznie przysposabiając umysły do poważniejszéj pracy.

W szeregu prac zjazdu pierwsze miejsce, jak już powyżéj zaznaczyłem, zajął odczyt dra Skarzyńskiego w przedmiocie stanu własności ziemskiéj w Wielkopolsce. Przebiegając historyę téj własności w ciągu ostatnich stu lat od chwili rozbioru kraju, dr. Skarzyński zaznaczył trzy okresy, idące jeden za drugim: pierwszy ciągnący się do roku 1831, drugi po rok 1870, a trzeci od téj ostatniéj daty aż dotąd trwający, z których każdy z powodu odmiennych konjunktur społecznych nosił różne cechy i stwarzał odmienne warunki pracy dla rolnika polskiego, wymagając odpowiedniego przystosowania się do nowych okoliczności. Jeżeli potrzeba umiejętnéj pracy, opartéj na zrozumieniu swéj sytuacyi, obowiązuje zawsze człowieka, to tém bardziéj była ona konieczną dla właścicieli ziemskich pod zaborem pruskim, że przypadło im w udziale walczyć z napływem niemczyzny i bronić ziemię ojczystą od przejścia w ręce obce.

W ciągu wskazanych trzech okresów przeszły trzy następujące po sobie pokolenia; otóż zachodzi pytanie, czy i o ile posiadały one zdolność pracy i oporu wobec zewnętrznego nacisku?

Z zestawienia licznych danych okazuje się, że warunki pracy na ziemi stopniowo i ciągle z okresu na okres stawały się trudniejsze-

mi, co rodziło potrzebę coraz większéj przezorności, większéj zapobiegliwości i rozumniejszéj gospodarki. Pierwszy okres oprócz ciężkiego wstrząśnienia z powodu wojen i reformy agrarnéj pod wieloma innemi względami przedstawiał się dla polskiego rolnictwa pomyślnie; drugi okres, przypadający na epokę pracy pokojowéj, pomimo rosnącego współzawodnictwa Niemców, obejmował może najszczęśliwszą chwilę do ugruntowania polskiéj własności w zaborze pruskim; ale przyszedł trzeci, który obok istotnie trudnych konjunktur ogólno ekonomicznych i specyalnie gospodarczych przyniósł z sobą prześladowanie polityczne, połączone z komisyą kolonizacyjną, kredytem stumilionowym i całym aparatem środków eksterminacyjnych. Ziemiaństwo polskie w Poznańskiém pod naciskiem trudnych okoliczności zrobiło kolosalny postęp, nauczyło się pracować, i pracować rozumnie, ale niestety! z małymi wyjątkami, nie stało w dwóch pierwszych okresach na wysokości zadania. Pojedyncze o szerszym poglądzie dawniejsze postaci, jak np. generał Chłapowski i jego zwolennicy, nie byli nawet na razie przez ogół zrozumiani i nie cieszyli się w swoim czasie popularnością. Stało się téż, że ziemiaństwo, mianowicie szlacheckie, oparte na większéj własności, w walce z przemagającą siłą cywilizacyjną, nie umiało stawić dość silnego oporu i zaczęło powoli ulegać obcéj przewadze. Wywłaszczenie przecież nie rozpoczęło się z chwilą ostatniego okresu eksterminacyjnego, datuje się ono znacznie wcześniéj; pierwszy i najcięższy stosunkowo wyłom dokonany został w pierwszym okresie walki; bolesny proces w miarę lepszego przysposabiania się wypieranych do życia nie wzmagał się, przeciwnie malał, słabnąc cokolwiek w swym pędzie, dopóki rozwinięta praca komisyi kolonizacyjnéj nie przyśpieszyła w ciągu kilku lat ostatnich przyrostu rocznych strat i wyszczerbień.

Na ogół jednak cały ten ostatni okres aż do chwili obecnéj, nawet w ostatniém dziesięcioleciu, przyniósł mniejsze straty, niż epoki poprzednie, szczęśliwsze, ale umiejętnie przez polskość nie wyzyskane. Ten stan rzeczy udowodnił prelegent szeregiem dat statystycznych, wykazując doraźnie, że okrzyczana epoka ostatnia w zestawieniu z poprzedniemi nie na potępienie, lecz raczéj na pewne odznaczenie zasługuje. Z cyfr tych okazuje się, że w ciągu pierwszego pięćdziesięciolecia, licząc od końca przeszłego wieku do r. 1848, własność większa utraciła na rzecz germanizacyi 2 miliony morgów, co daje przeciętną 40.000 morgów rocznie. W epoce od r. 1848 do r. 1878, czyli w ciągu lat 3o, ubytki wynosiły milion morgów, czyli 33,000 morgów na rok, a w dziesięcioleciu od r. 1878

do r. 1888 odeszło jeszcze 300,000 morgów, a więc po 30,000 morgów w przecięciu w każdym roku (1).

Szkoda przecież, że p. Skarzyński nie rozłożył cyfr z ostatniego dziesięciolecia na części, i nie odróżnił bieżącego trzechlecia, w którém komisya kolonizacyjna funkcyonuje, od lat wcześniejszych, co dla zobrazowania skutków działania téjże komisyi wydawałoby mi się pożyteczném. I jakaż to siła w téj najcięższéj epoce wpływała na złagodzenie skutków fatalnego projektu, tamując zbyt gwałtowny pochód germanizacyi? Odpowiedź nasuwa się sama przez się. Lepsze przygotowanie się do zawodu i życia, a co zatém idzie umiejętna praca i świadomość potrzeby walki na polu ekonomiczném. Jakkolwiek prelegent, pewny swego zadania, nie uciekał się do formułowania téj fazy, widniała przecież ona jasno pośród jego wywodów, i nadawała specyalnéj rozprawie szersze tło i znaczenie. Nie pominął téż p. Skarzyński w swoich wywodach drobnéj własności ziemskiéj, wskazując na pomyślny rozwój téj klasy właścicieli, i podniesienie w nich ducha obywatelskiego, do czego, zdaniem prelegenta, żywioł szlachecki przez pomoc moralną i materyalną, przez opiekę nad ludem, kółka rolnicze itp. urządzenia, skutecznie się przyczynił. Prawdą jest, że większość szlachty w zaborze pruskim ziemi ojczystéj utrzymać w ręku swych nie potrafiła, niechaj jéj przy najmniéj na *credit* policzone będzie, że schodząc z pola, pozostawia w dwóch drugich stanach zastępców, którzy sztandar, ze słabnącéj ręki jéj wypadający, pochwycić i daléj ponieść potrafią.

W konkluzyi prelegent zaleca: w domu pracę fachową i wytrwałą, w sejmie i parlamencie popieranie interesów rolnictwa krajowego w sojuszu z jakąbądź frakcyą, na każdym zaś kroku pełnienie obowiązków wobec rodziny, społeczeństwa i kraju.

Na szczególne odznaczenie zasługują przemówienia prof. Spasowicza i p. Szczepanowskiego, które po posiedzeniu plenarném stanowiły przedmiot zajęć posiedzenia połączonych sekcyi.

Prof. Spasowicz, w świetnych rzutach myśli z właściwą sobie werwą rozwinął obraz reform w państwie ruskiém, za panowania Cesarza Aleksandra II. Reform tych było trzy: agrarna, sądowa i tak zwana ziemska. Pierwsza przez wyzwolenie, powołała do życia miliony ludu, organizując go zarazem w stan odrębny, złożony z sielskich gromad, które w połączeniu tworzą chłopskie włości.

---

(1) Cyfry tę znaleść można w broszurze L. Żychlińskiego p. t. „Ile naszéj gleby" z r. 1878 i w „Dzienniku Poznańskim" w numerach lipcowych z r. 1889.

Druga przeprowadziła rozdział władzy sądowéj od wykonawczéj, i zapewniła sądom samodzielne podstawy działania. Trzecia wreszcie stanowiła pierwszą próbę decentralizacyi i samorządu, powierzając ludności saméj pieczę w sprawach gospodarstwa miejscowego, jako to: dróg i komunikacyi, oświaty, dobroczynności, zdrowia publicznego, więzień i zabezpieczenia od klęsk elementarnych. Wszystkie zaś dążyły do nadania olbrzymiemu państwu nowych form bytu i wprowadzenia życia na nowe tory. Lecz jak każde dzieło ludzkie, wielkie reformy nie wolne były od usterek; w próbie życiowéj ujawniły różne braki, które wymagały dalszéj pracy, dalszych przeróbek i uzupełnień, dla zastosowania się do ujawniających się potrzeb i pragnień, zwłaszcza, że ustrój administracyjny państwa pozostał bez zmiany taki, jaki był za czasów Katarzyny II, i że istotnego pogodzenia tego ustroju z nowemi reformami, na razie nie dokonano.

Wyodrębnienie stanu włościańskiego wydało słabą gminę chłopską, zależną od władz biurokratycznych i niezdolną do odegrania téj roli, jaka temu początkowemu zawiązkowi społecznemu w życiu narodu przypada w udziale. W ufunkcyonowaniu swém, gmina ta pozostawiała wiele do życzenia, nie zapewniła bezpieczeństwa, ani osobom, ani majątkom; w zakresie działania poruczonego, okazała się niedołężną, w kierunku samoistnego działania nieświadomą, ściągając na siebie powszechne utyskiwania i niezadowolenie. W organizacyi ziemstw również dostrzeżono wiele niedostatków. Niebyło ścisłego odróżnienia zakresu władzy tych instytucyi i organów rządowych. Czyniąc ziemstwo gospodarzem, prawo nie opatrzyło go odpowiedniemi i skutecznemi środkami wykonawczymi, nawet dla ściągania uchwalonych przez nie podatków, a témbardziéj dla wprowadzania w życie swoich uchwał. Najniższą i pierwszą jednostkę samorządu stanowi ziemstwo powiatowe, drugą i ostatnią ziemstwo gubernialne, podstawowéj zaś gminnéj jednostki samorządu reforma nie przewidziała i nie utworzyła.

Ten brak zasadniczego organu, przy jednoczesnéj słabości gminy chłopskiéj uwydatnić się musiał w życiu pod każdym względem, i na każdym kroku. Zrodziło się téż powszechne poczucie potrzeby reformy i to aż u samych podstaw organizacyi społecznéj, z pragnieniem wytworzenia silnego spodniego organu władzy wykonawczéj.

Nareszcie i reforma sądowa ujawniła także pewne braki. Do sądów przysięgłych ludność nie wszędzie okazała się dosyć przygotowaną, a rozdział sądownictwa pokojowego od ogólnego, przy

niedostateczném zespoleniu dwóch odłamów władzy sądowéj, przez wspólny sąd kasacyjny (departamenty kasacyjne senatu) stał na przeszkodzie do ustalenia jednolitego wymiaru sprawiedliwości. Zachodziła więc potrzeba nowéj, uzupełniającéj ale w wielkim stylu reformy, gwoli któréj wysłano w latach 1880 i 1881 cztery komisye, pod wodzą senatorów, dla zbadania stanu rzeczy w guberniach ziemstwami obdarzonych, a zebrane materyały oddano tak zwanéj Komisyi Kachanowa, powołanéj umyślnie do życia, dla należytego opracowania tego trudnego zaiste przedmiotu. Komisya prowadziła swoje prace przez lat cztery przeszło. W ciągu tego czasu uwydatniła się zmiana usposobień, przyszła reakcya i zwrot wstecznym prądem ku restauracyi dawniejszego, poprzedzającego reformy porządku rzeczy. Odmienny kierunek życia odbił się zarówno na składzie komisyi, do któréj powołano różne nowe żywioły, jak i na jéj działalności. Powstała walka sprzecznych poglądów w zasadniczéj kwestyi utworzenia gminy terytoryalnéj, ze wszystkich osiedlonych w niéj obywateli bez różnicy stanów, ze stosownym naczelnikiem u steru. Myśl podobnéj gminy, powzięta w pierwotnym składzie komisyi, napotkała na niepokonany opór ze strony powołanych do komisyi przedstawicieli większéj własności szlacheckiéj i upadła najzupełniéj. Postanowiono zachować odrębną włość chłopską i osobne sądy chłopskie, a dla wytworzenia sprężystéj władzy miejscowéj projektowano podzielić powiaty na cząstki administracyjne drobniejsze i postawić nad niemi jako przewodni organ naczelnika ziemskiego, mianowanego przez rząd z miejscowéj szlachty i sprawującego władzę głównie w interesie wielkiéj własności ziemskiéj. Jednocześnie podniesiono wniosek, aby w powiecie skupić rozproszone władze rządowe i ziemskie, pod przewodnictwem marszałka szlachty powiatowego, ustrój zaś administracyi gubernialnéj zespolić w osobie gubernatora, z wybitniejszym charakterem miejscowego wielkorządcy, przy podporządkowaniu jego władzy różnych gałęzi zarządu.

Co do ziemstw, projektowano wzmocnienie w nich pierwiastku szlacheckiego przez powołanie do nich z głosami wirylnemi, bez wyborów, właścicieli znaczniejszych majątków ziemskich. Zanim komisya zdołała ostatecznie wygotować swoje projekty, z początkiem r. 1885 została zwiniętą. Planu całkowitéj reformy administracyi krajowéj zaniechano, natomiast hr. Tołstoj powziął myśl, bez uprzątnięcia i bez przerabiania staréj machiny administracyjnéj, wytworzyć na miejscu władzę nad ludem silną i sprężystą, przy użyciu w tym celu zrestaurowanego w swojéj powadze pierwiastku szlacheckiego. Na téj drodze powstał projekt naczelni-

ków ziemskich, z nazwą zapożyczoną z prac komisyi Kachanowa, chociaż z charakterem nieco odmiennym, projekt, który w ciągu roku bieżącego, świéżo przyoblekł się w szatę wydanego już prawa. Naczelnicy ziemscy mają administrować gromady i włości chłopskie, a zarazem sądzić pomniejsze sprawy cywilne i karne, ludzi wszelkich stanów, łącząc funkcye rządzenia i sądzenia, i przyjmując na siebie niektóre atrybucye, istniejących organów sądowych i administracyjnych.

Zasada równouprawnienia wszystkich klas poszła na bok, interesy wielkiéj własności ziemskiéj zajęły pierwsze miejsce, do ziemstw wprowadzono bez wyborów z głosami wirylnemi przedstawicieli téj własności, jak to już komisya Kachanowa proponowała.

Sprawozdanie powyższe, treścią i wywodami przekraczające po za ramy zakreślone w tytule, zgodnie z zastrzeżeniem referenta, wysłuchane zostało dla informacyi, bez jakichkolwiek rozpraw i dyskusyi.

Z kolei na katedrę wstąpił p. Szczepanowski i przemówił na temat potrzeby szkoły swojskiéj gospodarstwa społecznego. Biorąc asumpt z obserwacyi nad życiem różnych narodów, i w zgodzie z poglądami ekonomisty Supińskiego, prelegent wyraził przekonanie, że każde zdrowe i dbałe o swą przyszłość społeczeństwo posiada na dnie swego sumienia pewne stałe zasady, wedle których kształci swoje pojęcia ekonomiczne i stwarza własną odrębną szkołę praktyczną ekonomii społecznéj. W poparciu swojego mniemania p. S. zatrzymał się dłużéj nad charakterem i życiem społeczeństwa szkockiego, które wydało pierwszego ekonomistę europejskiéj sławy,. Adama Smitha. Wśród twardych warunków bytu wyrobiło u siebie to społeczeństwo wielką skromność życia, połączoną z głęboką religijnością i surową moralnością, a na tém tle późniéj zrodziła się odrębna w wielu szczegółach, rozwinięta przez własnych pisarzy nauka ekonomii politycznéj, a jak właściwiéj należałoby powiedziéć, polityki ekonomicznéj. Narodowém godłem Szkotów stał się bodjak, a za dewizę służy im zdanie: nikt mnie nie dotknie bezkarnie. Nie pominął téż prelegent sposobności porównania charakteru szkockiego z charakterem słowiańskim, a w konkluzyi doszedł do wniosku, że obawa zagłady powinna stać się podstawą do wyrobienia surowéj szkoły ekonomiki swojskiéj.

Samouk, grzeszył niekiedy p. S. w swoich wywodach brakiem naukowéj ścisłości, za co go téż spotkały w żwawéj dyskusyi ostre docinki, ale po nad te braki widniała zdrowa myśl społeczna, poparta wdziękiem oratorskiego talentu. Miał racyę p. S., wskazując na przykłady cierpienia i abnegacyi u Szkotów, zalecając drogę

wytrwałéj i cierpliwéj pracy, bo po takich szlakach wzmagają się siły pomimo najtwardszych warunków bytu. Preopinańci jego nie całkiem się z tém policzyli i dopiéro końcowe przemówienie prof. Kleczyńskiego, uratowało referenta od potoku zarzutów, kładąc tamę dalszemu wylewowi polemiki.

P. S. pomimo, aż nadto jasnéj z samego tytułu tezy, nie postawił żadnéj do uchwalenia rezolucyi, która téż uchwalona nie została. Z tego powodu sprawozdawcy gazet nie bez słuszności uznali referat jego, a podobnież i referat p. Spasowicza, na równi z referatem p. Skarzyńskiego za proste odczyty, wygłoszone celem informacyi. Przeciwko takiéj kwalifikacyi nie mielibyśmy nic tak dalece do nadmienienia, gdyby nie uwagi, do jakich ona dała powód. Wyrażono poprostu żal do komitetu zjazdowego za odczyty informacyjne, a do tych mdłych trenów przyłączyły się nawet „Przegląd sądowy i administracyjny" (zeszyt październikowy z r. b. oraz „Gazeta Sądowa" (Nr. 40). Gdyby prace zjazdu kończyły się na podobnych sprawozdaniach, możnaby jeszcze zrozumiéć do pewnego stopnia tego rodzaju utyskiwania. Ależ, po za tém przyszło kilkanaście referatów i kilkanaście rozpraw w różnych kwestyach, bardzo poważnych, skąd więc tytuł do płaczu? dla czegóżby takie sprawozdania nie mogły się mieścić w programie obok referatów?

W rzeczywistości, rzeczone odczyty stanowiły prześliczny wstęp do dalszych prac zjazdu, témbardziéj godny podznaczenia i uznania, że górujący podniosłością rzuconych myśli po nad dalszemi referatami specyalnemi. Nie łatwa to rzecz usłyszéć współcześnie trzech wybitnych ludzi, z dalekiéj północy, od zachodu, i z pod gór karpackich i podzięka należy się doprawdy urządzającym zjazd za to, że spragnionym rozumnego słowa dali doskonałą sposobność do zaspokojenia téj potrzeby.

Przejdźmy teraz do prac sekcyjnych.

(*D. n.*) *Adolf Suligowski.*



POWIEŚCI HISTORYCZNE A. KRECHOWIECKIEGO.

(Adam Krechowiecki: Starosta Zygwulski, powieść historyczna, 2 tomy. Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1887, str. 169, 181. — Veto! powieść, 4 tomy, Kraków, Gebethner i Spółka, 1889, str 319, 218, 474, 543).

Rozpatrując się w powieściopisarstwie naszém z ostatnich lat 30, zauważyć można, że od r. 1862, kiedy się ukazała historyczna powieść z XVIII wieku „Dola i Niedola“ Kraszewskiego w odcinku „Gazety Polskiéj“, panuje przez czas jakiś zastój w dziale romansu dziejowego.

Zastoju tego niepodobna tłómaczyć wpływem doktryny literackiéj, potępiającéj ów rodzaj historyczny, gdyż zdaje się, że doktryna ta, głośno przez Hipolita Taine'a w „Historyi literatury angielskiéj“ r. 1863 wypowiedziana, nie doszła nawet natenczas do wiadomości naszych literatów i dopiero znacznie późniéj, bo w najnowszych czasach stała się przedmiotem dyskusyi. Prócz tego pojawienie się ponowne powieści historycznéj po kilku latach przerwy świadczy dość wyraźnie, że nie zasadnicze czynniki, lecz uboczne okoliczności wpływały chwilowo na zaniechanie obrazowania dziejowego.

Istotnie okoliczności związane z datą wspomnianego zastoju nastręczały zbyt dużo pobudek do zastanawiania się nad chwilą bieżącą, do roztrząsania spraw dzisiejszych, ażeby powieściopisarze mieli ochotę zajmować się wiekami ubiegłemi. Gdy te okoliczności minęły; gdy nadto rozbiór najważniejszych zagadnień bytu społecznego nie mógł być wszędzie dokonywany z niejaką swobodą, autorowie nasi wrócili znowu do przeszłości.

Kraszewski i tu nanowo daje hasło i kreśli swe powieści z XVIII, XVII i dalszych wstecz wieków. Było to u niego koniecz-

nością niemal; nie mieszkając bowiem w kraju, nie mógł nowemi spostrzeżeniami nad zmienionym w wielu razach bytem społecznym wzbogacać swéj wyobraźni, ażeby tworzyć rzeczy zgodne z istniejącą rzeczywistością; wolał więc twórczość swą rozwinąć w dziedzinie historycznéj, gdzie się można było oprzéć na zbadaniu śladów życia zawartych i przekazanych w słowie pisaném, a zatém dostępném dla pisarza, choćby zdala mieszkającego od kraju rodzinnego.

Równocześnie z Kraszewskim wziął się do powieści historycznéj nanowo Teodor Tomasz Jeż, który w znacznéj części miał téż same pobudki, co i najpłodniejszy nasz powieściarz, gdyż również mieszkał zagranicą i mógł obserwować bezpośrednio tylko narody południowo-słowiańskie, dopóki i tych nie opuścił. Zazwyczaj wybierał Jeż temata z dziejów Słowiańszczyzny, nadając tem utworom swoim urok nowości; nie pomijał wszakże i historyi polskiéj, starając się zawsze dać jakąś naukę dzisiejszemu pokoleniu przez rozwinięcie wobec niego skutków, jakie wynikły niegdyś z pewnego szeregu czynów, i tém wyróżniając się od Kraszewskiego, który pospolicie w powieściach historycznych, w téj dobie pisanych, nie rozwijał żadnéj tendencyi.

Za tymi dwoma głównymi przedstawicielami romansu historycznego w dobie najnowszéj pośpieszyli młodsi pisarze, z pomiędzy których potęgą talentu na pierwszorzędne wybił się stanowisko Sienkiewicz. I w jego powieściach jak i u Jeża dążność niepowszednią odgrywa rolę, tylko że sięga rozleglejszych widnokręgów. Cykl powieści swoich z wieku XVII pisał Sienkiewicz dla pokrzepienia serc, dla wskazania jak wśród najstraszliwszych nawet położeń nie należy ducha tracić, rąk zakładać, a świetném roztoczeniem przykładu przodków chciał oddziałać na potomków.

Wśród największego entuzyazmu, jaki obudziło opowiadanie „Ogniem i mieczem“, pojawił się nanowo na widowni literackiéj uwielbiany przed laty mistrz powieści dziejowéj, Zygmunt Kaczkowski i dwoma swemi utworami („Abraham Kitaj“, „Olbrachtowi rycerze“) dowiódł, że siła jego talentu nie zmniejszyła się w ciągu długoletniego zaniechania uprawy powieści historycznéj, a rozum różnorodnemi obserwacyami i doświadczeniami życiowemi wzbogacił się ilościowo i pogłębił jakościowo.

Powodzenie powieści Sienkiewicza i ponowne zbudzenie się Kaczkowskiego łączyło się jak najściśléj z bujnym rozrostem badań historycznych, które dziś największą liczbę naszych pisarzów zajmują. Nowoodkryte materyały lub świeże oświetlenie dawniéj znanych wypadków, jednem słowem prace historyków stawały się po-

budką dla powieściopisarzów albo do pójścia za temi nowemi głosicielami prawdy dziejowéj, albo do stawiania ich wywodom oporu przez odmienne rozwinięcie kwestyi.

Wpływ dzisiejszego stanu badań historycznych na powieść dziejową u najznakomitszych jéj reprezentantów jest widoczny i naturalny. Wynika to z konieczności rozwoju umysłowego, który nie dozwala zdolniejszym jednostkom, ażeby jedna tak zwana władza duszy, np. rozum pozostawał w otwartym antagonizmie z drugą, np. fantazyą, ażeby to, co jest prawdą dla jednéj, miało być lekceważoném lub nawet poniewieraném przez drugą.

Nie znaczy to bynajmniéj, jakoby powieściopisarz miał się niewolniczo trzymać tylko faktów zbadanych, gdyż w takim razie czynność jego byłaby zbyteczna, bo już przez historyków wykonywana,—lecz tylko wyraża wymaganie, ażeby powieściopisarz nie tworzył nic takiego, coby się znanéj prawdzie historycznéj sprzeciwiało. Dzisiejszemu autorowi nie uchodzą już takie wybryki fantazyi, jakich się nawet wielcy mistrze poezyi zeszłego wieku, np. Schiller, dopuszczali, twierdząc, że im wcale nie chodzi o materyalną prawdziwość faktu, byleby duchową uchwycić i przedstawić zdołali.

Dziś wiemy dostatecznie, że prawda duchowa może być prawdą jedynie w obsłonie materyalnéj, która w różnych czasach i u różnych narodów nader odmiennie tę samę treść duchową okrywa i wyraża. Dziś „fikcya“ dawnéj estetyki coraz bardziéj ustępuje miejsca „odtwarzaniu“, a to odtwarzanie tém jest lepsze, tém artystyczniejsze (przy innych warunkach jednakowych), im twórca lepiéj rzecz wystudyował czy to w życiu spółczesném przez obserwacyą bezpośrednią, czy w życiu dziejowém przez obserwacyą tych śladów, jakie przeszłość po sobie zostawiła.

Nie sądzę, ażeby dzisiaj znalazł się jaki poważniejszy pracownik na polu powieściopisarskim, któryby zechciał przeczyć zasadności wywodu powyższego; poczucie bowiem rzeczywistości nawet w najidealniéj nastrojonych umysłach stało się obecnie bardzo silném zarówno w stosunku do spółczesnego jak do odległych stuleci. Nie wystarcza już nam sama „barwa miejscowa“, o którą się ubiegali już romansopisarze historyczni doby dawniejszéj; nie wystarczą mniéj lub więcéj dobrze naśladowane mowy ludzi wprowadzonych do powieści; nie wystarcza wymienienie lub zobrazowanie najgłośniejszych postaci historycznych; pragniemy nadto, aby kierunek myśli, sposób objawiania się uczuć, skład okoliczności jak najwięcéj miały w sobie cech życia rzeczywistego w formach téj doby, którą obrał sobie powieściopisarz do odmalowania. Ażeby ego dokonać, potrzeba oczywiście doskonale panować nad ma-

teryałem, by szczegóły nie przeszkadzały całości, by erudycya nie zabiła fantazyi. Jak te trudne warunki spełnić, okazał wybornie Kaczkowski w „Olbrachtowych rycerzach", będących powieścią w swoim rodzaju nieporównaną.

P. Adam Krechowiecki, wychowany i wykształcony wśród najżywszego ruchu na polu badań dziejowych, jaki się szczególniéj za przewodem Ksawerego Liskego we Lwowie rozwinął, mając pod ręką bogate archiwa i biblioteki, przejął się naturalnie głęboko potrzebą wierności historycznéj w romansie i zabierając się do kreślenia powieści dziejowych, zdawał sobie dokładnie sprawę z wymagań sztuki dzisiejszéj. Wywierały nań szczególniéj wpływ co do rozumienia momentów historycznych badania Ludwika Kubali, złożone w szeregu Szkiców i w obszerniejszych pracach dziejowych. Nie zaniedbywał téż naturalnie radzić się, gdzie potrzeba, innych dziejopisów, starając się zawsze dobrze obeznać ze stanem spraw i kwestyi, z charakterem osób, z doniosłością sytuacyi, wśród których miał umieścić swój personel powieściowy.

Czy opanował dostatecznie materyał tak, ażeby mógł zupełnie swobodnie poruszać się wśród lasu faktów; czy się spoufalił z przeszłością do tego przynajmniéj stopnia, aby w formach przejawów duchowych, jakie maluje, niezbyt widocznie przebijała się dzisiejszość? są-to pytania, na które choć częściową odpowiedź podać tu zamierzam.

P. Krechowiecki wystąpił na widowni literackiéj z pierwszą większą powieścią historyczną w r. 1887 wydając „Starostę Zygwulskiego". Widać z niéj było przedewszystkiém, że autor ma upodobanie w kreśleniu charakterów namiętnych, burzliwych, scen gwałtownych i efektownych. Nie delikatny rozbiór spokojnych, łagodnych stanów duszy, nie opis natury w jéj najrozmaitszych, napozór jednostajnych, a w gruncie tak różnorodnych zjawiskach, nie wypadki powszedniego życia, nawet nie zagadnienia społeczno-politycznéj natury; lecz losy i postępki wydatnéj indywidualności „Dyabła" Stadnickiego na tle stosunków rodzinnych i narodowych były przedmiotem głównego starania powieściopisarza. „Starosta Zygwulski" to powieść biograficzna namiętnego gwałtownika, nie znającego wędzidła dla swych popędów, chociaż mającego w głębi duszy niejakie poczucie sprawiedliwości i szlachetności.

Ażeby wyjaśnić luźnie przez historyę podane rysy charakteru swego bohatera, ażeby z jednego niejako ogniska wywieść wszystkie promienie jego ducha uwidocznione w szeregu postępków, powieściopisarz wprowadził do swego utworu zawiedzioną miłość i na niéj oparł psychologią Stadnickiego. Nie tylko bohater, lecz i sam

autor wierzyć się zdaje głęboko, że gdyby Stadnicki otrzymał był rękę Hanny Pileckiéj, z którą się razem wychował i którą pokochał namiętnie, całe jego życie późniejsze przybrałoby inną postać, byłoby pożyteczniejszém i wznioślejszém.

Pomijam kwestyą zawodności, a raczéj zupełnéj bezpłodności wszelkich „gdyby“ w sprawach historycznych. Mamy tu do czynienia, nie z historyą, ale z powieścią; a że umysł ludzki chętnie się zajmuje wszelkiemi przypuszczeniami, które mu wskazują możność wyłamania się z pod prawa konieczności, lub które wyjaśniają rzeczy zagadkowe; nie podobna odmawiać powieściopisarzowi téj swobody przypuszczeń, jaką każdy z nas sobie przyznaje.

Idzie mi natomtast o samo owo przypuszczenie. W czasach romantyzmu kwestya zawiedzionéj miłości była jedną z najpopularniejszych i najczęściéj obrabianych we wszystkich literaturach, a oczywiście i w naszéj. Dogmat miłości tak wtedy stał wysoko w przekonaniu piszących i czytających, że tłómaczenie różnych patologicznych objawów za pośrednictwem teoryi zwichnięcia lub skrzywienia naturalnego uczucia znajdowało niemal powszechne uznanie i mogło liczyć na poklask bezwarunkowy. Była w tém wszelako oczywista przesada. Chociaż miłość stanowi jeden z najważniejszych i najsilniejszych popędów, nie jest przecież jedynym i wyłącznym; są od niego potężniejsze, np. popęd zachowania życia. Tłómaczyć nim najróżnorodniejsze objawy, mające swe źródło nieraz we wprost przeciwnych popędach i namiętnościach, jest takąż samą jednostronnością, jaką było np. wyjaśnianie powstawania religii przez strach (*Timor fecit deos*). Uznali tę jednostronność i niektórzy z wybitniejszych romantyków w późniejszém swém życiu, gdy się doświadczeniem życiowém przekonali, że miłość jak i wszystkie popędy ludzkie może być zarówno, w dodatnim jak ujemnym wpływie na inne sprawy zaobserwowaną. Przypomnę tylko wymowny głos Gabryeli, która zachęcana do kończenia „Książki pamiątek“, przedstawiła w odpowiedzi swe przekonania z przed lat kilkunastu i po nich. Dawniéj opowiadanie swe zakończyć chciała temi słowy: „Bez miłości niéma rodzin, niéma mistrzów, niéma bohaterów, niéma artystów—a gorzéj jeszcze z miłością zaprzeczoną w czyjejś przeszłości, bo z taką są w dalszém życiu dziwacy, skąpcy, systematycy kamienni, łzami przesiąkłe gąbki, woski szkaradnych odcisków biorące piętna, są pijacy, niedołęgi, zbrodniarze lub trupy!“ Po latach zaś bolesnego doświadczenia, w których widziała, jak złe i dobre skłonności jednakowo zupełnie ku „rozkładowi chemicznemu“ dążyły, już takiego morału powtórzyć nie mogła i wpadając chwilowo w drugą ostateczność, zapewniała pessy-

mistycznie, że u nas przynajmniéj, „zaprzeczona czy uznana, podzielona czy odparta, skojarzona czy rozbita—każda miłość z lat koleją, choć innemi ścieżkami, u tegoż samego punktu błotnistéj rozłogi staje.“

Odłączywszy pessymizm, znajdziemy w tém odezwaniu się Gabryeli pogląd zbliżony do trzeźwego zapatrywania się na znaczenie popędów ludzkich.

Teza więc p. Krechowieckiego jest wogólności trochę spóźniona; w zastosowaniu zaś do Stadnickiego wydaje się zupełnie chybioną. Stadnicki był-to charakter despotyczny, a tacy kochają tylko tych, co im bezwzględnie i bez najmniejszego oporu ulegają; samolubstwo góruje w nich aż do potworności, a uczucia sympatyczne zanikają. O wiele prawdopodobniejszą jest rzeczą, iż Stadnicki, ożeniwszy się z Hanną, po jakiejś chwili uspokojenia i złagodnienia, byłby poszedł drogą, na którą go pchał przyrodzony temperament, aniżeli, żeby miał odmienić się stale i nazawsze. Byłby on takim samym tyranem względem Hanny, jak jego ojciec względem drugiéj żony, jak on sam względem swego wiernego towarzysza Jerzego. Czyny zresztą, w których miłość własna, ambicya wygórowana, uczucie zemsty, albo popędliwość i bezbrzeżna lekkomyślność widnieją, są dostatecznym w samejże powieści dowodem, że melodramatyczne sceny, przedstawiające ubolewaniu Stadnickiego nad swą zawiedzioną miłością są tylko efektem teatralnym, obmyślonym przez autora a nie wyprowadzonym z głębin charakteru bohatera. Istotnie, czyż to miłość prawdziwa, głęboka, całą istność człowieka ogarniająca, popycha do najeżdżania, rabowania, niszczenia majątków ukochanéj? Czy nie są raczéj te postępki wynikiem podrażnionéj miłości własnéj, srodze upokorzonéj tém, że ręka Hanny dostała się znienawidzonemu spółzawodnikowi? Czy to zawiedziona miłość doradza unieszczęśliwienie biednego, ufnego dziewczęcia, które Stadnicki poślubia, gdy po raz drugi odmowną od Hanny, już wtedy wdowy, odebrał odpowiedź? Widzieć w tém raczéj musimy kaprys magnata, któremu się zdaje, że robiąc swą małżonką szlachciankę ubogą, dostatecznie ją tém wynagradza za wszelkie późniejsze poniżenia i cierpienia.

Autor mógłby na swą obronę przytoczyć przykład wielkiego wieszcza, który Jacka Soplicę, kochającego Ewę, w ten sam mniéj więcéj sposób przedstawił, bo tak samo dostawszy rekuzę Jacek żenił się z pierwszą lepszą i tak samo pała uczuciem zemsty. Pozorne to atoli podobieństwo. Jacek jest wprawdzie tak popędliwym i gwałtownym jak Stanisław Stadnicki, ale są w nim zarody poświęcenia, które się ujawniają w życiu jego późniejszém, tak że ów szał po

doznanym zawodzie stanowi u niego, zgodnie z przykładami życia rzeczywistego, chwilkę tylko króciutką w porównaniu z okresem jego działalności dodatniéj. U Stadnickiego zaś widzimy ten szał przeciągający się przez całe życie, w którém błyski tylko przelotne dają poznać szlachetniejsze usposobienie. Powtóre, Jacek rekuzę dostał nie od Ewy, ale od jéj dumnego ojca, gdy Stanisław wprost od Hanny dwukrotnie odpowiedź dla swych projektów nieprzychylną otrzymał; w sercu Jacka zatém łatwo zrozumiéć uczucie zemsty dla ciemiężyciela ukochanéj, bo uczucie to było tylko innym wyrazem miłości dla ciemiężonéj; Stadnicki przeciwnie, jeżeli się mścił na téj, którą niby kochał, a która go nie chciała, robił to chyba z pobudek czysto samolubnych.

Analogii też wiele upatrzyć można między „Starostą Zygwulskim", a „Mężem Szalonym", a zwłaszcza „Abrahamem Kitajem" Kaczkowskiego". I tu i tam przedstawiono szereg czynów gwałtownych z pobudek niekiedy podobnych; ale jakaż różnica w psychologiczném oświetleniu tych czynów! W „Mężu Szalonym" zaciętość i podejrzliwość prowadzi do spełnienia zbrodni, a uczucie religijne w połączeniu ze skołataniem umysłu każe odbywać pokutę; w „Abrahamie Kitaju" butna samowola wywołuje cały łańcuch konsekwentnie z siebie wynikających postępków; a w „Staroście Zygwulskim" jest jakaś dziwna mieszanina najsamolubniejszych popędów i czynów z chwiejném, jak liść osiki, ulatniającém się, jak puch, tłómaczeniem ich zawiedzioną miłością...

Pofolgował powieściopisarz zanadto romantycznemu poglądowi i przeniósł go w wieki ubiegłe; nie wprowadził w nie przez to nowego światła, lecz je zmodernizował. Gdy bohaterowie Kaczkowskiego mają prawie wszędzie zarówno w postępkach jak słowach cechę epoki, z któréj są wzięte, u p. Krechowieckiego postępki datują z wieku XVII a ich motywowanie w słowach bohaterów nosi znamię pierwszéj połowy XIX-go.

Tę samę psychologią zastosował p. Krechowiecki i w drugiéj swéj, czterotomowéj powieści, ogłoszonéj w r. bieżącym p. n. „Veto!" Skorzystawszy z pogłoski obiegającéj w wieku XVII o stosunkach miłosnych króla Jana Kazimierza z Elżbietą Radziejowską, osnuł na niéj opowiadanie, zaprawione romantyczną dążnością oczyszczania bohaterek w ogniu uczucia. Ponieważ historya nic stanowczego orzec nie może, ani o stosunku Halszki do pierwszego męża, ani o stosunku do króla, powieściopisarz zrobił przypuszczenie, że Halszka Słuszczanka w młodości swojéj, przed zamążpójściem, ujrzała i pokochała królewicza Kazimierza, że pomimo całéj energii swojéj, ulegając natarczywym prośbom ojca, oddała

rękę ulubieńcowi Władysława IV, Adamowi Kazanowskiemu, lecz zarówno ze względu na pierwszą miłość, jak i na wstręt obudzony widokiem schorowanego męża, żoną mu bynajmniéj nie była; że przez całych lat 14 wytrwale uczuciu swemu dla królewicza pozostała wierną, kiedyniekiedy tylko na wieści o jego bałamuctwach niewieścich, do niéj dochodzące, przysłaniając jego obraz w swém sercu; że na krótko przed zgonem męża, pod działaniem niezwalczonego popędu, oddała się Janowi Kazimierzowi i jego kandydaturę tém między innemi popierała, że kokietowała wpływowego magnata Hieronima Radziejowskiego, któremu téż, również dla dobra królewskiego już wtedy kochanka, w cztery miesiące po śmierci Kazanowskiego oddała rękę, ale mu tak samo, jak pierwszemu mężowi żoną być nie chciała, a w końcu do rozwodu z nim poszła. Taka-to była miłość, grzeszna wprawdzie wobec świata, ale wobec trybunału uczucia uświęcona swą stałością i monogamicznością.

Co tu w téj koncepcyi powieściopisarskiéj na pierwszy rzut oka uderza, to ascetyzm, nałożony przez autora Halszce w ciągu lat 14. Jeżeli bohaterka była tak energiczna, jak ją p. K. wystawia od początku samego i jaką się okazuje wówczas, gdy opuszczając pałac, każe z niego wszystkie sprzęty wynieść, by drugiemu swemu mężowi gołe ściany zostawić, a potém i te ściany szturmem zdobywać: to chyba najwłaściwiéj było energię tę okazać zaraz wobec Kazanowskiego, z którym zresztą nie potrzebowała aż tak gwałtownych chwytać się środków, bo ten kochał czule i był łagodnym. Żyć zaś lat 14 ascetycznie z mężem, który wstręt w niéj budził, żyć z miłością dla królewicza w sercu, bez możności nawet wypowiedzenia swego uczucia, nie przedsiębrać najmniejszego środka, by sobie swobodę ruchów zapewnić, chociaż rozwód z Kazanowskim, przy takich warunkach, jakie powieściopisarz podaje, był daleko łatwiejszym, bo nie wikłał Halszki, jak późniejszy, gdy została Radziejowską, w kolizye z interesem królewskim: — to zaiste psychologiczna szarada bez rozwiązania zadawalniającego zmysł krytyczny.

Nie mniéj dziwne, niemal do teratologii psychicznéj należące jest postępowanie Halszki względem królewicza. Przyjąwszy z zachwytem, jako już narzeczona Kazanowskiego, „długi namiętny pocałunek“, złożony na jéj ustach przez Jana Kazimierza, widzi się z nim potém przelotnie, a następnie przez lat 14 pieści w swéj duszy jego obraz, nie widując go wcale, gdyż kapryśny królewicz włóczył się po różnych stronach świata. Gdy po tak długiéj rozłące, w czasie któréj tylko z wieści o ukochanym swoim się dowia-

dywała, spotykają się znowu, Halszka zrazu chce płonąć tylko wciąż uczuciem idealném, nie przypuszczając nawet do myśli możności innego stosunku. Jeszcze w chwili ostatniéj, znajdując się tuż obok komnaty chorego męża, skąd dochodziły do niéj „bolesne, okropne“ jęki, na gorączkowe a nawiasem mówiąc arcy-romantyczne zaklęcia Jana Kazimierza, Halszka odpowiada „głosem lęku pełnym“, robiąc alluzyę do stanu męża:

— „Nie dziś, nie teraz... nie w tym momencie!... Miejcie litość, królewiczu nade mną i nad nim...“

A niebawem w altanie, jak jakie naiwne, niedoświadczone dziéwczę, oddaje się Janowi Kazimierzowi.

Autor stara się wyjaśnić ten nagły zwrot w duszy swéj bohaterki niezwalczoną siłą popędu. Zanim uległa, mówi p. K. „nie przypuszczała, iżby zabrakło jéj kiedykolwiek siły do stłumienia budzących się pragnień i uczuć. Nie przypuszczała!... aż dziś, nagle ogarnął ją płomień tryskający z roziskrzonych oczu królewicza i rzucił ją w jego objęcia niemal bez walki, pozbawioną woli i siły oporu“ (III, 254, 255).

Z tém tłómaczeniem atoli, w którém niespodzianość wrażenia ma odgrywać nadzwyczajną rolę, nie bardzo harmonizuje wskazanie królewiczowi przez pośrednika drogi do pełnéj uroku altany, gdzie swobodnie można było romansować. Autor rzecz tę trochę niejasno, dwuznacznie wystawia, ale z toku rzeczy wynika, że chyba Halszka świadomie, z wyraźnym celem, ażeby skorzystano, informacyę tę podała. Było więc w niéj obmyślenie sytuacyi i różnych możliwych powikłań. A chyba autor nie przypisuje trzydziestokilkoletniéj kobiécie, która tak jak Halszka żoną mężowi swemu być nie chciała, niewiadomości „złego i dobrego“. Jeżeli u Halszki popęd był niezwalczony, to zapewne szukałby wcześniéj środka zadowolenia, skorzystałby z pierwszéj lepszéj dogodnéj sposobności; a nie czekał dla objawienia się takiego momentu, w którym wszystko zdawało się stawać mu na przeszkodzie. Chociaż jestto rzeczą obrzydliwie wstrętną, nie myślę wszelako przeczyć możliwości sceny, opisanéj przez p. K., tj. uścisków żony z kochankiem tuż niemal obok komnaty boleśnie jęczącego męża, lecz sposób, w jaki autor do przedstawienia téj sceny dochodzi, psychologicznie chybionym mi się wydaje.

Tém mniéj mogę pochwalić zaślepienie dla swéj bohaterki, gdy ją powieściopisarz i po téj scenie z najpochlebniéjszéj strony wystawić usiłuje, pragnąc dla niéj pozyskać sympatyę czytelnika. Nie jako szlachetna kochanka, ale jako wytrawna kokietka działa Halszka, gdy dla zyskania głosów podczas elekcyi ciągnie ku sobie

Radziejowskiego, mając do niego wstręt stanowczy; a jako obłudnicę poznajemy w tym czynie, gdy wyszedłszy za Radziejowskiego, portret swego pierwszego męża, którego w tak haniebny sposób oszukała, czcią otacza dla dokuczenia drugiemu.

Postać Halszki stanowi środkowy punkt powieści. Ku niéj wzdycha główny bohater Władysław Siciński, ją miłują bez wzajemności łagodny i powolny Kazanowski, jéj pożąda królewicz i Hieronim Radziejowski. Zawiedzione w swych uczuciach serca mężczyzn psują się i do nikczemnych dochodzą postanowień, które nie tylko pojedyńczym osobom, ale całemu narodowi grożą zniszczeniem. Gdyby się zawierzyło powieściopisarzowi, to ostatecznie przyczyną zdrady kraju, spełnionéj przez Radziejowskiego, i owego fatalnego *veto*, którém Siciński imię swe potępieniu potomnych przekazał, winna byłaby niezaspokojona w swych dążeniach miłość dla Halszki. Jestto pomysł w duchu doktryny romantycznéj; pod piórem wytrawnego francuskiego powieściopisarza mógłby był wywołać szereg scen zajmujących; ale czy odpowiadał rzeczywistości dziejowéj, mocno powątpiewać można.

Zresztą przyznać należy, że w „*Veto*“ nie odgrywa ta doktryna zawiedzionéj miłości, tak wyłącznéj i przeważnéj roli, jak w „Staroście Zygwulskim“. Autor zamierzywszy sobie wystawić nie życie pojedyńczego człowieka, lecz obraz życia narodu, a przynajmniéj pewnéj jego części w danéj chwili dziejowéj, szeroko uwzględnia różnorodne czynniki psychiczne i polityczne, które na charakter i czyny jego osobników wpływają. Miłość, obudzona przez Halszkę i przez nią doznawana, jest tu nicią wiążącą w jednę całość szereg scen i sytuacyi, stanowi jeden z czynników życia najważniejszych, ale nie wyłączny.

Tłem politycznem, na którém rozwija powieściopisarz obraz stosunków z połowy XVII wieku, jest skuteczna, a w skutkach swoich fatalna walka butnéj i samolubnéj oligarchii z władzą królewską. Wybornie pomyślaném i powiększéj części dobrze przeprowadzoném zostało stopniowanie w wytwarzaniu się samolubnych, anarchicznych żywiołów w Krzysztofie Radziwille i starym Sicińskim z jednéj, a w Januszu Radziwille, młodym Sicińskim i Radziejowskim z drugiéj strony. Starsze pokolenie ma w gruncie rzeczy te same dążenia przewodnie i ten sam nastrój duchowy, przeciwny uległości władzy, co i młodsze; ale tkwią w niém jeszcze głęboko ideały potęgi narodowéj, poczucie potrzeby zgodnego, solidarnego działania wobec spólnego nieprzyjaciela. I ono już rozpoczyna wprawdzie knowania z zewnętrznemi wrogami dla zapewnienia sobie pomocy do walki z królem; i ono działa w widokach ko-

rzyści osobistéj i udaremnia plany królewskie dlatego, że im narazie są niedogodne; ale gdy widzi, do jakich wyników doprowadzić może ta niepohamowana ambicya, ciasny egoizm i zamiłowanie w niekarności, wyrzuca sobie swe postępowanie i żałuje swéj nieopatrzności. Młodsze pokolenie przeciwnie, leci już na oślep za popędem interesu lub kaprysu osobistego, dopuszcza się podłości i nikczemności, byleby cel zamierzony osiągnąć, brnie w złém po uszy, nie doznając nawet wyrzutów sumienia. Na co poprzednikom potrzeba było długiego namysłu i stoczenia z sobą srogiéj walki wewnętrznéj, to następcom przychodzi bez żadnego trudu; co było przedtém środkiem tylko ostatecznym, to staje się teraz hasłem polityczném; co dawniéj oburzało, to wchodzi w zwyczaj i dziwić przestaje.

Ten proces stopniowego zanikania zmysłu politycznego i zepsucia moralnego jest jedną z wielkich i smutnych prawd dziejów ludzkich w pewnych dobach życia narodów; ujęcie go i scharakteryzowanie stanowi największą bodaj zaletę w powieści p. Krechowieckiego, jest bowiem, o ile wiadomo, oryginalnym jego w beletrystyce naszéj pomysłem, wykonanym śmiało i dobitnie.

Szkoda tylko, że wprowadzenie nadmiernie wielkiéj liczby ludzi i wypadków do powieści nie dozwoliło autorowi poświęcić więcéj miejsca zobrazowaniu tego pomysłu tak, ażeby go nie tylko pochwycić było można, lecz nadto miéć przed sobą artystycznie uplastycznionym. Jako pomysł jest ten proces uwydatniony dość wyraźnie, ale jako wcielenie obrazowe niezupełnie utkwić może w pamięci czytelnika, gdyż uwaga jego rozproszona jest na przestrzeni czterech tomów bardzo różnorodnemi i niezawsze koniecznemi epizodami.

Rozumiem powód, który skłonił autora do wprodzenia tego tłumu postaci i zdarzeń: chciał on nam dać obraz mniéj więcéj zupełny życia szlacheckiego w połowie XVII wieku, nie zacieśniając, jak Sienkiewicz, widnokręgu do obrazów bitew prawie samych. A więc ukazuje nam szlachtę, siedzącą i gwarzącą spokojnie w swych wioskach, bawiącą się na zaręczynach i ślubach, rozprawiającą na sejmikach i elekcyach, idącą na kresy dla zebrania grosza, uciekającą przed grozą ruchu kozackiego, bijącą się dzielnie pod Beresteczkiem; maluje oligarchów w różnym stopniu samolubstwa zmawiających się ze Szwedami, Chmielnickim, Rakoczym czy Brandeburczykiem; przedstawia dysydentów i katolików w walce z sobą, w ciągłych kolizyach wzajemnie się szkalujących; kreśli postaci dwu królów, z których jeden, Władysław IV, przewiduje nieszczęścia, na jakie kraj narażony będzie skutkiem braku

siły zbrojnéj i posłuchu, lecz popędliwością i nietrafném postępowaniém przyczynia się do unicestwienia własnych projektów; a drugi, Jan Kazimierz, lekkomyślny fantastyk, ma wprawdzie chwile rycerskiego animuszu i odnosi świetne zwycięstwo, ale niebawem popadnie w bezradność i apatyę.

Wszystkie te stosunki i czynniki zasługiwały niewątpliwie na odtworzenie, ale ażeby sprawić mogły na czytelniku efekt zamierzony, musiałyby mu być przedstawione w plastyczniejszych obrazach, żeby mógł się im spokojnie i dowoli przypatrzyć, oraz rolę ich stosunkową w całości zrozumiéć i ocenić. U p. K. perspektywa nie została należycie zachowana; wszystkie, nawet bardzo podrzędne osobistości cisną się naprzód, wszystkie chcą pierwsze zajmować miejsce; a że tłum mniéj ważnych jest większy od pierwszorzędnych osób, zasłania on je niejednokrotnie; w namyśle czytelnika powstaje zamieszanie, w którém dopiéro dłuższy namysł jakiś ład wprowadzić zdoła. A przecież dzieło sztuki powinno oddziaływać na nas bezpośrednio, nie wymagając tych wysiłków, jakich przy czytaniu dzieł naukowych potrzeba.

Z tą wadą perspektywiczną łączy się druga, że osoby, z początku wprowadzone z pewnym naciskiem, nie biorą następnie w akcyi powieściowéj wybitniejszego spółudziału; nie zapomina o nich autor całkowicie, nie opuszcza ich, ale ukazuje zbyt rzadko, tak, iż czytelnik, który zrazu zapoznawał się z nimi, jako z towarzyszami dłuższéj podróży, czuje pewien zawód, niecierpliwiąc się oczekiwaniem ich ponownego pojawienia się. Takim jest np. Dziembowski, bardzo sympatycznie i szczegółowo w 1-ym tomie odmalowany, takim wielce charakterystyczny i doskonale pomyślany rzecznik kalwinizmu Jan Siciński, takim jest Bogusław Słuszka, Sołokaj, Rymsza, Wojdat i wiele innych osobistości, w których wyprowadzaniu na scenę autor tak się lubuje, że i w ostatnim tomie jeszcze nowe twarze poznać nam daje.

Co się tyczy bohatera głównego, Władysława Sicińskiego, nie możemy go uważać za figurę, któraby się autorowi w zupełności udała. Są w nim rysy dobrze uwydatnione; w pierwszych dwu tomach występuje on wogóle zgodnie ze swém samolubném a ambitném usposobieniem; ale jako całość psychologiczna wiele ma ujemności. Wywód jego pochodzenia z rodu, w którym popełnione było bratobójstwo, jest niejako przygotowaniem do charakteru zbrodniczego, w jakim będzie następnie odmalowany. Autor bardzo słusznie rzecz tę przedstawia tylko nawiasowo, nie mając pretensyi do stawiania jakichś horoskopów z powodu prawa dziedziczności. Ponieważ faktem jednak jest, iż pewne rysy, a nawet pewien sposób

życia powtarza się w rodzinach, korzysta z tego p. K. i wprowadza powtórzoną po raz drugi wśród Sicińskich nienawiść do brata. Władysław był kształtny, a nawet piękny, posiadał całą miłość ojca, gdy Kazimierz brat jego, garbus, niecierpiany przez ojca, żył w zaniedbaniu, a nawet ubóstwie pod słabą opieką matki. Obojętném było zrazu dla Władysława to istnienie chorobliwe brata, z którym bardzo rzadko się widywał, ale gdy Kazimierz przy pomocy obcych ludzi (Dziembowskiego i Sołłohuba) wykształcił się i zaczął brać udział pośredni w życiu publiczném, a odznaczając się prawością i przywiązaniem do króla, krzyżował plany Władysława, ten go znienawidził, ścigał, więził i o mało co nie zabił. A obok tego wszystkiego przez prosty kaprys odebrał mu jedyną istotę, gorąco ukochaną, Oleńkę, która nie zważając na potworny garb, wielbiła piękną duszę Kazimierza.

Pozyskanie miłości Oleńki przez Władysława jest jedynym z tych licznych nieprawdopodobieństw, w które powieść p. K. pod względem psychologicznym obfituje. Oleńka, jak ją z początku przedstawił autor, było to dziewczę niepospolite nie tylko w czasach dawnych, ale i naszych; wyższa uczuciem i siłą woli nad ogólny poziom dziewiczych charakterów, wcześnie nauczyła się cenić w ludziach nie ich wygląd zewnętrzny, lecz treść duchową. Wiele zawdzięczając pod względem moralnym i umysłowym Kazimierzowi Sicińskiemu, a widząc jego miłość dla siebie pełną poświęcenia, chociaż kochała go tylko jak brata, sama przyrzekła mu zostać jego żoną i pomimo nalegań Kazimierza, który z téj szlachetności korzystać nie chciał, postanowiła wytrwać w przedsięwzięciu. Pojawienie się Władysława na razie na nią nie oddziaływa. Zna go ona z rozgłosu i to nie najlepszego; zdaje się, że pomiędzy nią, katoliczką, wykształconą pod okiem Kazimierza, a Władysławem kalwinem, sługą domu Janusza Radziwiłła znanego z wichrzycielskich zamiarów, nie może nastąpić porozumienie. Naraz, gdy autorowi tego potrzeba, Władysław swadą swoją wpływa na nią czarująco i odtąd już niczemu nie wierzy, co o sprawkach ambitnego człowieka do niéj dochodzi, nawet Kazimierza, któremu zawsze i we wszystkiém ufała, teraz podejrzewa o brak miłości braterskiéj. Amor malowany bywa z przepaską na oczach; i przysłowia mówią o ślepocie miłości; ale wszystkie aforyzmy względną tylko mają wartość. Jeżeli Oleńka nagle pokochała Władysława, to nie musiała być taką, jak ją z początku autor nakreślił; albo też zaszły jakieś okoliczności, których nam autor nie przedstawił, a które na zwrot uczuć Oleńki podziałały.

Wpływ bowiem wymowny Sicińskiego za taką okoliczność uważany być nie może témbardziéj, że i w powieści p. K. występuje

ów wpływ niespodzianie tak, że czytelnik z niejakiém zdumieniem dowiaduje się o nim na tém miejscu. Rzeczywiście, chociaż niejednokrotnie słyszymy o wielkich zdolnościach Władysława, nie widzimy go nigdzie zręcznym w działaniu, w czynie. Jakim go zostawiliśmy w 2-im tomie, takim go odnajdujemy po latach 14-u w tomie trzecim. Autor jakby zapomniał o tym znacznym przeciągu czasu, w którym bohater jego jeżeli był tak zdolny, jak nas powieściopisarz zapewnia, powinien był zrobić olbrzymie postępy. Bynajmniéj, po latach 14 widzimy go znowuż na podrzędném stanowisku sługi w domu Kazanowskiego, napróżno wzdychającego do jego żony... Całe dalsze postępowanie Władysława celem wyniesienia się cechuje tylko podłość a nie zręczność. Nieusprawiedliwioném téż się wydać musi czytelnikowi łatwe zjednanie szlachty, rozdrażnionéj przeciwko różnowiercom, na sejmiku w Upicie i pozyskanie mandatu poselskiego przez Władysława, zupełnie tak samo cudownie dokonane jak zwycięstwo nad sercem Oleńki.

To prowadzi nas do innéj kwestyi, która na wiele szczegółów i na całość powieści p. K. wpłynęła ujemnie, tj. do kwestyi układu artystycznego.

W „Staroście Zygwulskim“ kompozycya była bardzo wadliwa, lecz z powodu jednolitości treści czysto biograficznéj nie oddziaływała zbyt źle na wrażenie sprawione przez całość. Rzecz tam nie rozwijała się organicznie z pewnego przez autora obranego punktu chronologicznego, lecz była wyłożona w formie trzech różnéj długości opowiadań, przerywanych scenami, które się niejako wobec czytelnika dzieją. Tym sposobem to co było głównem w powieści, przybrało formę epizodów nad wszelką miarę rozwiniętych; naodwrót zaś to, co było małoznaczącém wystąpiło w formie sprawy pierwszorzędnéj, nadzwyczaj zresztą szczupło traktowanéj.

W „Veto“ wady téj już niéma; epizody mają tu właściwy sobie obręb; akcya zaś główna roztacza się w pewnym związku organicznym, chociaż niezawsze należycie uczłonkowanym. Jest-tu natomiast inna wada, która się odbiła w znacznéj części na psychologicznéj stronie utworu. Dwa pierwsze tomy zawierają opowiadania z lat 1632—1634, a dwa drugie z lat 1647—1652. Samo już takie rozdzielenie akcyi przeciągiem lat kilkunastu nie jest artystycznie dobrém. Nie myślę ja przytém o regułach epopei klasycznéj, które obowiązywały doześrodkowania akcyi w bardzo krótkim przeciągu, ale poprostu jedynie zaznaczam, że artystyczne odmalowanie ludzi i stosunków w dwu chwilach, przedzielonych znacznym przeciągiem czasu nie tylko przedstawia olbrzymie trudności, lecz sta-

nowi, ściśle biorąc, dwa odrębne obrazy złączone tylko spólną ramą. Pomijając atoli to konstrukcyjne zagadnienie i biorąc dwa pierwsze tomy za obszerny prolog do właściwéj powieści, która się w dwu następnych rozwija, zauważyć musimy, że pod względem psychologicznym przedstawiało się autorowi pole do wykazania zmian, jakie w osobistościach jego zajść musiały w ciągu lat 14-u. P. K. wszelako nie zdaje się nawet, ażeby sobie należycie uprzytomnił sam fakt możliwych zmian i nawiązując opowiadanie postępuje z osobami swemi, nie pod względem chronologicznym, lecz psychologicznym tak, jakby one przez owe lat 14-cie spały jednę tylko dobę i obudziły się nazajutrz takimi, jakimi były wczora. Umie on opowiedzieć o zewnętrznych wypadkach, jakie spotkały jego personal, ale o tém, że te osoby, które poznaliśmy na początku w pierwszym kwiecie młodości, musiały się przecie rozwinąć, musiały uledz mniejszym lub większym przewrotom duchowym, prawie nie napomyka, a w każdym razie czyny ich, uczucia i myśli o takich przemianach zgoła nie świadczą. To sprawić musi na bacznym czytelniku wrażenie, że ma w powieści do czynienia nie z ludźmi żywymi, lecz z figurami dowolnie przez autora poruszanemi.

Styl w powieściach p. Krechowieckiego ma lekkie zabarwienie archaistyczne, niezawsze i nierówno utrzymane, przerywane całkiem nowożytnemi wyrażeniami nawet w rozmowie, i nie wszędzie okazujące dokładną znajomość polszczyzny wieku XVII. Nie wynikł on, jak się zdaje, z rozczytywania się w pisarzach tego stulecia, lecz z lektury dawniejszych powieści Kaczkowskiego. Prawie bez wyjątku powtarzająca się i w „Staroście Zygwulskim“ i „Veto“ fałszywa forma l. mn. „suspicya“ zamiast s u s p i c y e od l. pojedynczéj „suspicya“ dowodzi, że autor nawet w tak łatwéj rzeczy nie dołożył większéj pilności i uwagi. Styl ten zresztą jest ubogi we frazeologią; nadmiernie częste powtarzanie tych samych wyrazów i zwrotów (i n f l u e n c y a, ż a c h n ą ł się, i s k r z y ć się w rozmaitych odmianach; t a k i b y ł, t a k a b y ł a itp.) świadczy, że autor pisał pośpiesznie i o piękność mowy się nie troszczył. Niepoprawności gramatycznych jest niewiele, ale jeżeli się zdarzą, to rażące, szczególniéj w użyciu imiesłowów nieodmiennych na wzór francuski przy różnych podmiotach.

Jakkolwiek w rozbiorze moim więcéj poświęciłem miejsca wykazaniu ujemnych niż dodatnich stron powieści historycznych pana Krechowieckiego; jakkolwiek uważam je raczéj za zbiór, poczęści obrobionych, materyałów do utworu artystycznego niż za całości wykończone; zaznaczyć jednak winienem w końcu, że bądź-co-

bądź są to dzieła talentu, umiejącego kreślić dzielnie sceny gwałtowne i lubującego się w niezwykłych objawach ducha ludzkiego. Tkliwość, rzewność, serdeczność, słowem minorowa nuta albo nie istnieje w jego głosie, albo się wypowiada niezręcznie; gdy przeciwnie rubaszność, gwałtowność, namiętność przemawia barwnie i nieraz w bardzo plastycznych pojawia się kształtach. Jeżeli tylko autor zechce więcéj zwracać uwagi na psychologiczną stronę swoich postaci i jeżeli zdoła ująć pomysły swoje w spójniejsze ramy układu artystycznego; to niewątpliwie, przy już teraz widocznych zaletach wyobraźni, możemy się od niego spodziewać dzieł prawdziwie pięknych.

P. Chmielowski.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Władysław Łoziński. Lwów starożytny. Kartki z historyi sztuki i obyczajów.—I. Złotnictwo lwowskie w dawnych wiekach 1384—1640. We Lwowie. 1889.

Jest to praca na wskroś oryginalna i przynosząca zupełnie nowe rzeczy. Badania nad historyą sztuki u nas, datują się wogóle od niedawna, szczególnie mało pracowano, ażeby poznać dawne złotnictwo. Jeżeli jednak o złotnictwie innych miast mamy choć jakie takie pojęcie, to o lwowskiém złotnictwie wiedzieliśmy dotychczas tyle co nic. Nowe pojęcia o niém stwarza powyżéj cytowana książka: jest ona, jak można sądzić z tytułu, pierwszém ogniwem całej seryi podobnych monografii. Autor, znany powieściopisarz, od dłuższego już czasu zajmuje się badaniem dawnéj sztuki i obyczajów na Rusi, a specyalnie we Lwowie, jak widzieliśmy z kilku jego rozpraw, ogłoszonych w ostatnich latach. Obecna praca zupełnie samodzielna i na zupełnie wyzyskanym, a pierwszorzędnéj wartości materyale, bo na aktach archiwalnych miasta Lwowa, oparta, niepospolitą posiada dla nas wartość, daje nam to, co o lwowskiém złotnictwie w tych pisanych źródłach znaleść można. I to jest niewątpliwie najlepsza metoda badania wszelkiego rodzaju sztuk: nim się przystąpi do zbadania i estetycznego ocenienia ich zabytków, wyczerpać wszelkie pisane źródła historyczne do nich się odnoszące; tylko obracając się na pewnym gruncie dat rzeczowych i chronologicznych można się uchronić od nieszczególnych częstokroć hipotez, o które tak łatwo, jeśli się pomija dokumenty piśmienne a ograniczy do właściwych tylko zabytków sztuki. Opiérając więc swą pracę na mozolnych studyach archiwalnych, opowiada nam autor o wysokim rozwoju sztuki złotniczéj we Lwowie w XV i XVI w. W testamentach i inwentarzach rzeczy pozostałych po śmierci rozmaitych mieszczan lwowskich z owego czasu spotykamy zawsze, częstokroć nawet wielkie mnóstwo przedmiotów złotych i srebrnych, będących niejednokrotnie, jak z opisu ich wnosićby można, wysokiéj artystycznéj wartości. Zarówno

mieszczaństwo lwowskie zamożne i skłonne do zbytku, jak i najznakomitsza szlachta rozsiadła na Rusi, dawali zarabiać mistrzom lwowskim, tak że lwowscy złotnicy długo wytrzymywali spółzawodnictwo z krakowskimi i gdańskimi, a towar ich znajdował wielki pokup na najsłynniejszych jarmarkach w całéj Polsce. Z końcem XVI w. widzimy we Lwowie samych mistrzów-złotników 3o, co jest bardzo znaczną cyfrą w stosunku do ludności miasta. Złotnicy lwowscy wykonywują rozmaite prace, wchodzące w zakres ich sztuki od największych do najdrobniejszych; znaną im jest technika szmelcowania czyli emaliowania, kwitnie u nich sztuka inkrustowania srebrem i złotem stali i żelaza, odlewania figurek okrągłych, wychodzą z ich warsztatów przedmioty filigranowéj roboty, a sztuka trybowania i cyzelowania w pełnym znajduje się rozwoju. Z początkiem XVII w. złotnictwo we Lwowie zaczyna coraz bardziéj upadać, a powodem tego wyroby niemieckie, zwłaszcza augsburskie, zalewające coraz bardziéj targi nasze. Pytanie jednak, co się stało z zabytkami tego złotnictwa, które tak świetnie się rozwijało przez dwa wieki przeszło, jak widzimy z pisanych źródeł? Autorowi udało się kilkanaście zabytków, pochodzących z rąk złotników lwowskich odnaleść, kilka z nich pochodzi z własnego zbioru autora—a pięknie wykonane ryciny ich, w liczbie dwudziestu razem (nie licząc 57 gmerków, czyli herbików mieszczańskich na str. 44—5) są prawdziwą ozdobą téj książki i żywo ilustrują zajmującą jéj treść. Ale zabytki takie są nadzwyczaj rzadkie, a powodem tego, klęski wojenne, jakie spadały na Lwów, liczne a olbrzymie nieraz kontrybucye, które wyciskały złoto i srebro z miasta i kraju całego, ażeby je przetopić na pieniądz. Tysiące wyrobów lwowskich złotników rozpłynęły się w ten sposób i w zmienionéj formie poszły w obieg. O wysokim rozwoju téj sztuki złotniczéj znajdujemy świetne świadectwa w aktach, ale żywe jéj okazy zaginęły po większéj części, chociaż nie ulega wątpliwości, że niejedno da się jeszcze odszukać.

Autor objął badaniem swojém czas największego rozkwitu złotnictwa lwowskiego od r. 1384, kiedy występuje po raz pierwszy w znanych nam źródłach Jaczko *aurifaber*, aż do r. 1640, gdyż odtąd sztuka złotnicza we Lwowie gwałtownie chyli się ku upadkowi; szlachta sprowadza towar z zagranicy, a wyroby złotników lwowskich z XVII w. bardzo niekorzystnie o nich świadczą. Z tego czasu zestawił nam téż autor na str. 49—96, nazwiska 176 złotników lwowskich, wraz z licznemi szczegółami dotyczącemi ich życia i sztuki. Że spis ten nie jest zupełnym, o tém sam nas autor przestrzega, nie wciągnął on bowiem wszystkich źródeł z lwow-

skiego archiwum do swéj pracy, ograniczając się głównie do aktów radzieckich, a pomijając akta ławnicze i inne; z wyzyskaniem tych aktów, liczba złotników znacznieby się prawdopodobnie powiększyła. Bardzo mało uwzględnił autor również akta grodzkie lwowskie z archiwum krajowego, kilka szczegółów bowiem, które z nich weszły do jego pracy, odnalazł za przewodem X tomu Aktów grodzkich i ziemskich, tam są jednak zregestrowane same tylko oblaty; wertując księgi grodzkie, możnaby niejedno jeszcze nazwisko dodać do wyżéj wymienionego spisu, i niejeden szczegół do znanych już złotników, jak widzimy z zestawienia tych, które mi się udało odnaleść.

1553. Łukasz *aurifaber*. Jaczko Kowal Holomijeczki „*senior iuris in iudicio sub iurisdictione decanatus S. Joannis Leopoli*“ zeznaje na korzyść Łukasza, złotnika z Podzamcza Lwowskiego, że gość jego Dymitr ze Skały, będąc u niego, prosił go był, aby mu wskazał złotnika „*qui faceret ad vestem argentum alias* abij uczinijl knaffliję czosznokowathe *ex argento*, *videlicet* s pijaczy kolthkow, ze dwu par sponek ij s paczij knafflijow lamanych mijedzy kthoremi bijly bąnij“. Jaczko zawezwał swego sąsiada złotnika Łukasza, a ten podjął się roboty i zrobił zamówione rzeczy ze swego srebra, a połamane zatrzymał sobie. O to właśnie połamane został oskarżony, gdyż miało ono zostać zrabowane Ormianinowi z Kamieńca Herburtowi, lecz za świadectwem Jaczka oczyścił się (Castr. Leop. 28, p. 406).

1577. *Joannes aurifex* (C. L. 69. p. 634). Może Jan Duchna wymieniony pod Nr. 53, albo Jan Koch Nr. 76?

1582. *Andreas aurifaber* (C. L. 46. p. 348). Może Andrzéj Puszczymucha Nr. 80?

1600. 1603. *Sebastianus* „*aufrifaber iurisdictionis Castrensis Leopoliensis*“, „*de subcastro Leopoliensi*“, „*et Anna conjuges de suburbio Leopoliensi nuncupato Crakowskie*“, syn „*olim Famatae Zophiae consortis olim Famati Valentini Molitoris* Ziwnowodzki *dicti* (C. L. 54. p. 17. 59. 95. 174.—t. 56. p. 666.— t. 209. p. 205).

1600. *Christophorus aurifaber* (C. L. 54. p. 17).

1603. *Stanislaus* Gielar (tak zawsze pisany) *aurifaber Leopoliensis* i żona jego Agnieszka (C. L. 56. p. 666); wymieniony w książce pod r. 1598 Nr. 97.

1614. Lesko *aurifaber et Catherina conjuges* (C. L. 62. p. 862).

1614. *Semeon aurifaber et Olexia conjuges legittimi suburbani Leopolienses de suburbio dicto* Krakowskie (C. L. 61. p. 537—t. 215. p. 506).

1616 (½). *Andreas*, *Demetrius filii olim honesti* Kasian *aurifabri de suburbio Leopoliensi* Krakowskie *nuncupato*. (C. L. 62. p.

1144). Jest to zapewne ten sam Andrzéj Kasyanowicz, twórca owych wspaniałych krzyżów, wyrysowanych na str. 88 i 90, pojawiający się w aktach miejskich dopiéro pod r. 1640, a umieszczony w spisie pod Nr. 158. Był on w r. 1616 widocznie jeszcze bardzo młodym chłopcem, skoro nie ma tytułu *aurifaber*. Ojciec jego wymieniony tu bez imienia, nieżyjący już ½ 1616 r. był złotnikiem, tymczasem z aktów miejskich wypływa, że ojciec Andrzéja był Tymoteusz pancernik. Jak to pogodzić? Gdyby to był inny Andrzéj, w takim razie przybyłby nowy Kasyan złotnik.

1617. *Alexander aurifaber* (C. L. 371. p. 773).

1617. *Helias aurifaber* (C. L. 371. p. 841).

1620. *Semion aurifex* (C. L. 373. p. 1393).

1622. *Nicolaus aurifaber* (C. L. 108. p. 3379); może Mikołaj Dortman Nr. 130, albo Mikołaj Rusin 132?

1628. *Adamus aurifex* (C. L. 379. p. 1689).

1628. *Michael aurifaber famulus Illis et Mci Alexandri* Zasławski *Ducis ab Ostrog Palatini Braclaviensis* (C. L. 379. p. 995).

1629. *Joannes aurifaber*: mianowicie „*Zophia honesti Joannis* Ciszowski (w spisie Nr. 143) *aurifabri suburbani Leopoliensis consors legitima*“ okazuje rany zadanéj jéj „*per honestum Joannem aurifabrum in suburbio Leopol.*“ (C. L. 380. p. 3570).

1630. *Martinus aurifaber Civitatis*, mający „*lapideam in circulo eiusdem Civitatis*“ (C. L. 381. p. 134); może Marcin Grygrowicz Nr. 149?

1633. *Christophorus aurifaber* (C. L. 384. p. 1239).

1635. *Paulus aurifaber et civis Leopoliensis* (C. L. 122. p. 2588).

Wreszcie jeszcze jeden szczegół do Mikołaja Siemiradzkiego, którego autor wymienia pod Nr. 95; mianowicie dokumentem dd. Kraków 8/12 1604, Zygmunt III wyjmuje Mikołaja S., mieszczanina lwowskiego „*gemmarumque atque lapidum preciosorum mercatorem*“ z pod wszelkiéj jurysdykcyi miejskiéj, a kamienicę jego w rynku lwowskim stojącą, między domami Jana Nieprzyckiego i Marcina Rottendorfa, z pod wszelkich ciężarów, pozwala mu zarazem handlować wszelkim towarem, sprowadzać wszelkiego rodzaju napoje bez opłaty cła i szynkować je. (C. L. 360. p. 600 i 385. p. 1277). Możeby téż do ciekawych szczegółów o rodzinie złotniczéj Alembeków dało się tu i owdzie coś dorzucić, Alembekowie występują bowiem wcale nie rzadko w aktach grodzkich, jeden z nich jest burmistrzem w r. 1621, a ów słynny rajca Jan, brat złotnika Fryderyka, a ojciec Aleksandra, posiadający dwór „za Łyczakowem“ blisko lasu i pasieki“, niedaleko Lesienic, często miewa sprawy w grodzie lwowskim i to czasami bardzo ciekawe.

Że ta garstka drobnych szczególików, które z aktów grodzkich dało się zebrać, bardziéjby urosła po przejrzeniu innych przez autora nie wyzyskanych źródeł, o tém sam autor każe kilkakrotnie przypuszczać; nie przynosi to jednak ujmy książce, która jest pierwszą i jedyną dotychczas, rzucającą jasne światło na dawną sztukę złotniczą we Lwowie i torującą drogę dalszym badaniom. Pod tym względem téż wartość jéj bardzo wielka nietylko dla Lwowa specyalnie, ale wogóle dla historyi polskiéj sztuki; kto będzie kiedyś o złotnictwie polskiém wogóle pisał, znajdzie tu bogaty i najlepszéj jakości materyał. To téż książka ta przedstawiająca zresztą zarówno pod względem stylu, jak i pod względem zewnętrznym wytworną elegancyą, jak rzadko tego rodzaju monografie, powinna się znaleść w ręku każdego, dla którego dawna sztuka polska nie jest obojętną. *F. Bostel.*

= **Baśń nad baśniami** *napisał Wojciech Dzieduszycki* (Lwów, Gubrynowicz i Schmidt 1889, 2 tomy, razem str. 684). Mitologia nasza nie zdołała się przyoblec w jakąś zaokrągloną całość, nie wypełniła się plastycznemi postaciami bóstw i bohaterów, dokonywających jakichś dzieł, zwalczających przeszkody i przynoszących dobrodziejstwa dla ludzi; chrześciaństwo przytłumiło i przerwało rozwój pojęć o bóstwie, o świecie i istnieniu pozagrobowém, jaki na tle wyobrażeń aryo-europejskich prawdopodobnie byłby się dokonał, gdyby mu pozostawiona była zupełna swoboda. Czyby na podstawie wyrobionych mitów zrodziła się także u nas epopeja, jak u Indusów, Greków, Germanów? P. Dzieduszycki sądzi, że tak, i przypuszcza nawet, że taka poezya „może już dojrzewała w chwili, kiedy zaprowadzenie chrześciaństwa dalszy jéj rozwój powstrzymało.“ Mniemanie to atoli nie jest poparte żadnym dowodem, żadném usiłowaniem usunięcia wątpliwości, które już nieraz były u nas wypowiadane. Gdyby wśród narodu naszego było naprawdę uzdolnienie epiczne, mogłyby pomimo chrześciaństwa, powstać jeżeli nie epopeja w wielkim stylu, to przynajmniéj drobne rapsody opiewające czyny bohaterskie w połączeniu czy pomieszaniu ze wspomnieniami mitycznemi. Wszak pomimo zaprowadzenia chrześciaństwa, Serbia i Ruś rapsody takie posiada, a ich pochodzenie datuje z czasów utrwalenia się nowéj religii. Jeżeli u nas podobnego zjawiska nie spotykamy, to chyba przypuścić wypadnie, że i usposobienia a zarazem uzdolnienia do epiki u nas nie było. Liryczny, dydaktyczny i satyryczny nastrój miał w fantazyi naszego ludu stanowczą przewagę nad spokojną obserwacyą zjawisk przyrody i czynności ludzi. Zdaje się więc, że żale od czasów Zoryana

Dołęgi Chodakowskiego pojawiające się w piśmiennictwie naszém nad zatratą poezyi „rodziméj“ pod wpływem chrześciaństwa, nie mają realnéj podstawy; co miało grunt stały pod sobą, to się i wśród chrześciańska utrzymało, a co nie istniało zgoła albo istniało w formie rozwiewnéj, to się naturalnie przechować nie mogło. Wszelkie usiłowania literackie doby późniejszéj, by chwyciwszy złomki podań utworzyć epopeję ze stosunków przedchrześciańskich były próbami bezowocnemi, które nie znajdowały sympatycznego echa wśród społeczeństwa i tonęły w zapomnieniu. P. Dzieduszycki, poczytując zapewne owe usiłowania za twory sztuczne, sądził że powiedzie mu się lepiéj, gdy się wiernie będzie trzymał i treści i formy tych pozostałości, jakie tradycya ludowa z czasów pogaństwa przechowała. Niewątpliwie, droga to lepsza w tym razie niż ufność we własną fantazyą i wzory epików starożytnych; daje przynajmniéj niejaką pewność, że się znajdziemy w świecie wyobrażeń wyrosłych lub przyswojonych na gruncie ojczystym wśród mas ludowych a nie jednostek tylko, że sposób przedstawienia tego świata będzie nosił cechę fantazyi zbiorowéj. Jeżeli zatém nie będziemy zważali na wartość takiéj rekonstrukcyi mitów rozpadłych w gruzy, to przyznać wypadnie pomysłowi ogólnemu autora trafność. Ale czy mógł go przeprowadzić w szczegółach? Oto zaraz na samym początku, gdy obrawszy bohatera w osobie Krakusa, przyszło p. Dzieduszyckiemu rzecz rozwinąć, musiał się zapożyczyć od pobratymców, biorąc od Małorusinów Czuryłę, od Białorusinów Sapuchę, od Czechów Welindę i nadając babie-Jędzy formę ruską baby-Jagi. W dalszéj opowieści jest naturalnie pożyczek coraz więcéj. Tym sposobem baśń, która miała się osnuć na pierwiastkach rodzimych polskich, w któréj głównymi działaczami są: Krakus, Wanda, Leszek, Piast, Popiel, przemienia się na mieszaninę ogólno-słowiańską, w któréj części składowe nie zostały z sobą dostatecznie spojone i która dla czytelnika wydawać się musi dziwaczną i obcą. Niedosyć jednak na tém, że podania miejscowe uzupełnione zostały podaniami innych plemion słowiańskich; autor uważał jeszcze za potrzebne dodać własny swój domysł o znaczeniu tradycyi o Czechu i przedstawił go jako władcę mórz, ponieważ zdaniem jego „Czech nadał swoje imię ludom, które poszły w kraje giermańskie, u c i e k ł y, c i e k ł y.“ będąc uosobieniem tego „co nie stałe, co upływa i ciecze.“ Wywód ten, godny Dębołęckiego, autor bierze oczywiście za prawdę, a wynik jego przenosi do skarbca mitologii słowiańsko-polskiéj. Czyż to nie dowolność, psująca z gruntu założenie główne, mające polegać na tém, ażeby się od podań gminnych nie oddalać? Wprowadzenie tego indywidualnego pomysłu mści się téż zaraz na jedno-

litości utworu i wywołuje niesmaczny, niby humorystyczny, obraz żony Czecha, Rosy, cieszącéj kołki na głowie potulnego małżonka i wybierającéj się na wycieczkę do Gdańska dla poprawienia zdrowia, jak jaka dzisiejsza gęś parafialna. Popuścił tu autor wodze usposobieniu satyrycznemu ze szkodą ogólnego tonu naiwnie dobrodusznego, jaki innym częściom poematu nadać się starał. Podobnież całkiem indywidualnym, a w dodatku zgoła niezgodnym z umysłowością ludu naszego rysem jest sprowadzenie na turniéj wobec Wandy wszystkich głośniejszych bohaterów starożytności i wieków średnich:

Przybył Odo z Szampańskiéj krainy i Bozo...
Przybył Amadis, dzielny król galskich rycerzy,
A Roland z Persivalem od jasnych puklerzy
W słońcu jaśnieli...
.... Lohengrina tu zaniosły tonie
Morskie z krajów najdalszych; z lutnią stał na łodzi
I śpiewał, a ciągnęły łódź czarną po wodzie
Szumnéj białe łabędzie. Gdzieś z greckiéj krainy
Achilles przybył szybki po rękę dziewczyny
Lackiéj... itd. itd.

Oba te pomysły, tj. obraz pani Rosy wyjeżdżającéj do wód i turniéj „na Wandzinym dworze" mieszczą się w pieśni V-éj i czynią ją w przeważnéj części przykrym rozdźwiękiem wśród reszty. Inny rodźwięk stanowi wprowadzenie do „Baśni" znaczenia allegorycznego mitów opiewanych. Jako wychowaniec nauki spółczesnéj, p. Dzieduszycki nie mógł się obronić chęci podstawiania pod tradycye o osobach—ich pierwotnego źródła tj. wyobrażeń o zjawiskach przyrody antropomorficznie pojętych i uosobionych. Poeta naiwny powtarzający starożytne klechdy wiedzie w duszy autora bój z badaczem naukowym, starającym się wyłuskać prawdę z obsłonki mitycznéj. Ponieważ jednak nie we wszystkich szczegółach doszedł badacz do zadawalniających rezultatów, więc nie może wszędzie z jednakową jasnością i pewnością wykładów swoich zastosować do podania, opuszcza tedy ręce i pozwala poecie bujać dowolnie. A ta dowolność jest istotnie bardzo szeroka i częstokroć niespodziewana. Czytelnik, zgodziwszy się na treść fantastyczną, mimowoli przecież pragnąłby widzieć i w tym świecie fantastycznym pewien ład logiczny. Zaufał poecie jako przewodnikowi po téj krainie i sądzi, że znajdzie zawsze wskazówki, dlaczego się coś tak a nie inaczéj w niéj dzieje. Tymczasem poeta o takie wskazówki zazwyczaj wcale się nie troszczy, pozostawiając wyobraźni rozległe pole do harców. Raz więc zwierzęta, rośliny i głazy przemawiają do ludzi ludzkim głosem, a drugi raz jakiemiś tylko znakami, lub

jakimś właściwym sobie tylko językiem porozumiewają się z człowiekiem; napróżnobyśmy się pytali, dlaczego; potrzeba urozmaicenia opowiadania, chwilowe wymaganie sytuacyi, która się przez takie lub inne zachowanie się nowych stworzeń zmienić się może silnie, bywają tu jedynym powodem. W rozwoju akcyi są skoki i przestanki, spowodowane już to chęcią nagromadzenia w utworze jak największéj liczby klechd, już-to podwójnym charakterem osób wprowadzonych, tj. ich osobowością i znaczeniem allegorycznóm Krakus, reprezentant pierwiastku jasnego, podejmujący walkę z Popielem, przedstawicielem pierwiastku ciemnego, po przemianie w olbrzymiego połoza i zdjęciu czaru przez Dodolę, już w pieśni IV spoczął na laurach w Raju i odtąd osobiście w całym ciągu poematu nie występuje, czasami tylko dopomagając pośrednio swemu potomstwu: Wandzie, Leszkowi, Kupale, Piastowi w walce z potęgami nocy, wichrów i zimy. W pieśni V-éj znika znów na bardzo długo Wanda, by się dopiero przy końcu utworu pojawić; a jéj miejsce zajmują kolejno: Leszek, Piast, Kupało. Popiel w całé „Baśni“ jest postacią mglistą, bez wyraźnych zarysów, bez uwydatnionych cech indywidualnych; stanowi zatém najwybitniéj allegoryczną tylko część utworu. Wskutek takiego niewyraźnego postawienia figury przeciwnika, i czyny bojowników jasności są, z małym wyjątkiem, raczéj przygodami niż działaniem świadomém swych celów. Pod koniec utworu większa panuje spójność w połączeniu tych przygód, aniżeli z początku i więcéj téż budzi zajęcia, jeżeli się ktoś zgodzi wogóle na taką lekturę. P. Dzieduszycki ma niewątpliwie dużo talentu poetyckiego, dużo wyobraźni plastycznéj, ale poczucia artyzmu—bardzo mało, a chęci opracowywania swych dzieł jeszcze mniéj podobno. Dowodem tego jest porwanie się na pisanie wierszy, bez najmniejszego starania o ich harmonijność i rytmiczność, z rymami najczęściéj kulawemi, z powykrzywianemi na różny sposób formami gramatycznemi, z rażącém zaniedbaniem nawet ortografii. Rozwlekłość i gadulstwo psują najczęściéj pomysły dobre i piękne same w sobie i sprawiają, że w całym utworze niema ani jednéj sceny, któraby siłą swoją porywała i wstrząsała. Jednostajny ton gawędziarski, z nielicznemi wyskokami żartu i satyry, panuje w „Baśni nad baśniami“ i czyni jéj czytanie ciągiem nieprzerwanym prawie rzeczą niemożliwą; trzeba ją spożywać porcyami. Czytanie zaś głośne wykazać może odrazu, po kilkudziesięciu wierszach, że mamy do czynienia nie z wierszem prawdziwym, ale z prozą ciężką, wlekącą się jak wóz po obfitym piasku. Nieraz trafi się jakaś rzeczywiście piękna opowieść, jak np. rzecz o dawnych olbrzymach, nie mogących się pogodzić z now-

szym stanem rzeczy na ziemi, albo o Dodoli, która miłością niezwalczoną bramy Raju otwiera i życie budzi w państwie Zmory; ale nie są one w takiéj liczbie, ażeby całość mogła się nazwać piękną i żywotną.

— **Czarna godzina**, powieść przez *J. I. Kraszewskiego*, 2 tomy (Warsz. Lewental, 1888, str. 195, 211). Jestto ostatni większy utwór, jaki Kraszewski napisał; pochodzi z drugiéj połowy r. 1886. Dowodzi ona, jak znakomity powieściopisarz był czynnym w sprawach społecznych, jak chwytał w lot sytuacye i kwestye bieżące. Rzecz w niéj osnuta na fakcie wydalania Polaków z Ks. Poznańskiego. Lubachowski przed 20 laty osiadł na granicy księstwa w Lubachówce, którą dostał od jakichś książąt; był to człowiek marzący idealistycznie o zgodném pożyciu wszystkich narodów, ufający w Opatrzność, iż ku dobremu ludzkość prowadzi, ceniący wysoko poezyą; w wielu rysach sam Kraszewski. Córka jego Marya pokochała Niemca i wyszła zań. Tolerował on z początku jéj polskość, ale następnie pnąc się po drabinie biurokratycznéj i doszedłszy wysokiego stanowiska, zapowiedział żonie, że z rodziną jéj i z Polakami wogóle żadnych stosunków utrzymywać nie chce. Z dwu synów, starszy całkiem wdał się w ojca i Polskę wyśmiéwał, młodszy zaś, Grześ, kochał matkę namiętnie, za nią szedł, uczył się tajemnie po polsku. Zaczęły się rozchodzić wieści o wydalaniu. Lubachowski nie wierzył w nic, ponieważ sprzeciwiały się jego przekonaniom o prawie; kiedy jednak coraz pewniejszemi się stawały, nie próbował nawet kołatać do zięcia. Marya, która przez 20 lat pożycia wśród obcych, zobojętniała dla kraju rodzinnego, teraz pod działaniem grozy, uczuła się znowu Polką i przybiegła do ojca z ostrzeżeniem. Lubachowski rozgląda się wówczas wśród obywatelstwa, lecz niestety, znajduje tylko słowa, a nie czyny. W naradach uwydatniają się tylko sprzeczności opinii, uzdolnienie oratorskie, skłonność do biesiadowania; a równocześnie brak uzdolnienia do działalności spólnéj, lękliwość i służalczość, podłość wreszcie w usprawiedliwieniu postanowień rządu pruskiego, w odgadywaniu i uprzedzaniu jego intencyi, jak to się najdobitniéj widzieć daje w postaci hr. Żarnowskiego. Poznańczycy oglądają się jedynie na pomoc z Królestwa i Galicyi. Lubachowski z powodu, że mógł być wydalonym, uczuł się osamotnionym, unikano go jak zapowietrzonego. On sam również nic nie przedsiębrał, by odwrócić nieszczęście. Jedna tylko piękna ekonomowa za pośrednictwem swéj twarzyczki usiłuje przeciwdziałać, posługując się zresztą całkiem niewłaściwemi środkami; za zdrożne bowiem uznać należy wciśnięcie w akta kościelne metryki Lubachowskiego, dowodzącéj

niby, iż tenże urodził się w Poznańskiém. Zabiegi te zresztą nie osiągają żadnego dodatniego skutku i stanowią epizod wogóle niesmaczny. Dobry natomiast jest obraz tych mętów, jakie drażniąca polityka pruska, wywołała wśród ludności niemieckiéj, zamieszkałéj w Poznańskiém, owego czyhania na majątki polskie, denuncyowania obywateli polskich itp. Ze wszystkich przedstawicieli pierwiastku niemieckiego w okolicy Lubachówki, jeden tylko Solinger przemawia w imię praw ludzkości, lecz i on z sympatyą dla pognębionych ukrywać się musi. Marya opuszcza męża; za nią idzie Grześ, którego ekonomowa wywozi za granicę, lecz który dla widzenia się z matką, przyjeżdża napowrót, wpadłszy w ręce żandarmów, oddany zostaje do fortecy, chce umknąć i ginie od kuli strażnika. Matka wkrótce umiéra; a pod temi ciosami ulega i 80-letni Lubochowski, który sprzedawszy wieś, już się gotował do wędrówki. Obrobienie powieści jest gorączkowo-żywe; ale nie staranne, mianowicie w 2-im tomie; powtarzania, sprzeczności, niepotrzebne sceny, rozwlekłość, wykazują, że umysł, który powieść tę tworzył, był już mocno skołatany, nie tyle może wiekiem, ile nieszczęściami.

= *Mieczysław Baranowski.* **Pedagogika i dydaktyka** *do użytku nauczycieli szkół ludowych i seminaryów nauczycielskich* (Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1888, str. 190). Autor, znany w literaturze pedagogicznéj z paru książek, dotyczących higieny i dyetetyki, oraz z wielu artykułów, pomieszczanych w „Szkole“ lwowskiéj, nie zamierzał w swéj nowéj pracy — jak sam powiada — ani oryginalnych wprowadzać pomysłów, ani wyczerpywać obranego przedmiotu, lecz chciał zebrać i w systematycznym ułożyć porządku zasady uznane powszechnie, oraz przedstawić je w sposób zrozumiały dla kandydatów na nauczycieli szkół ludowych. Korzystał głównie ze wskazówek zawartych w analogicznych dziełach niemieckich, ze szkoły Herbarta, ale nie trzymał się ściśle żadnego; przytém starał się zużytkować „własne doświadczenia poczynione w zawodzie nauczycielskim i inspektorskim w dwóch seminaryach nauczycielskich i dwóch okręgach szkolnych“, nie zaniedbując czerpać także z celniejszych prac pedagogów i dydaktyków polskich, mianowicie zaś Zygmunta Sawczyńskiego. Cel zamierzony autor osiągnął; dziełko jego rzeczywiście jest dobrze uporządkowanym zbiorem zasad i wskazówek ogólnych, tyczących się wychowania i nauczania, wyłożonych językiem i stylem jasnym, zwięzłym i po większéj części całkiem poprawnym. Na wyszczególnienie zasługuje w niém nacisk położony na to, że szkoła nie tylko nauczać, lecz także wychowywać tj. starać się o wywarcie wpływu moralnego powinna, i że—co zatém idzie — nauka w szkole, oprócz innych przymiotów, musi być

jeszcze prawdziwie wychowawczą tj. dawać podwaliny takiemu myśleniu i rozwijać taki zakres pojęć, który zapewnia wyrobienie się u ucznia charakteru moralnego. O téj zasadzie i nauczyciele i szkoła wogóle zbyt często zapominają, uważając za swe zadanie ćwiczenie tylko rozumu wychowańców z zaniedbaniem sfery uczucia i woli; dlatego téż jaknajczęstsze jéj przypominanie i wdrażanie w umysły, poczytujemy za wielką zaletę pedagogiki. Druga uwaga, również niejednokrotnie w praktyce lekceważona, odnosi się do nierównomiernego zajmowania się uczniami przez nauczycieli. P. Baranowski stawia bardzo słusznie jako przepis obowiązujący następną przestrogę: „Wszyscy uczniowie mają w szkole równe prawa: ubodzy i bogaci, zdolni i słabsi, dobrze i źle wychowani; wszystkimi powinien nauczyciel z równym zapałem zajmować się, nad wszystkich rozwojem duchowym zarówno pracować“ (str. 159). Znajdą się w książce p. B. nieraz powtórzenia tych samych myśli, prawie temi samemi wyrażone słowami, ale i tego za wielką wadę nie poczytujemy; są one bowiem usprawiedliwione szczegółowém rozpatrywaniem różnych względów pedagogicznych, które jednak podobnemi do siebie środkami zaspakajane być muszą; a powtóre przypominanie prawd zdrowych przy różnych okolicznościach, choć nie jest zaletą stylową, ma praktyczne znaczenie. Język i styl wogóle są czyste i poprawne; zauważyć tylko należy niewłaściwe używanie często u galicyjskich pisarzów spotykanych wyrażeń a to dlatego, ponieważ (zam. dlatego że), nie śmié w znaczeniu nie powinien, — oraz niepoprawnych form gramatycznych od słów na—*ywać*, np. porówn*uje*, wykon*uje* (zam. porównywa, wykonywa) itp.

= **Prace filologiczne** wydane przez *J. Baudouina de Courtenay*, *J. Karłowicza*, *A. A. Kryńskiego* i *L. Malinowskiego*.—Z zapomogi Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowém imienia Mianowskiego. Tom III. Zeszyt I. Warszawa, 1889. Zeszyt ten obfituje w nowe zupełnie prace, z których pierwszeństwo należy odczytowi Baudouina de Courtenay, O zadaniach językoznawstwa. Autor w sposób popularny mówi o różnicy zachodzącéj między filologią a lingwistyką. Pierwsza jest erudycyą, uczonością, a poniekąd encyklopedyą nauk filozoficzno-historycznych; druga zaś „poznawaniem i badaniem naukowém języka czyli mowy ludzkiéj w całéj jéj rozmaitości“. Lingwistyka zajmuje się nietylko badaniem języka plemiennego i narodowego, ale nawet indywidualnego, gdyż „to, co jest indywidualne, jest zarazem ogólne, ogólnoludzkie“. W dokończeniu biografii ucznia swojego, Mikołaja Kruszewskiego, autor rozbiera niektóre pomysły przedwcześnie zgasłego badacza. Analiza ta jest ważną dla lingwisty, zamierzającego uprawiać swoję specyalność w duchu społecznego krytycyzmu. Trzy prace dyalektologiczne, a mianowicie: p. Ciszewskiego (Przy-

czynek do słownictwa polskiego). Ziemby (Słownik prowincyonalizmów powiatu będzińskiego) i Sembrzyckiego (Przyczynek do narzecza kaszubskiego), stanowią cenny przyczynek do badania mowy żywéj, rozwijającéj się nieświadomie w ustach ludu. P. Ciszewski zebrał zapas wyrazów, po części rolniczych i górniczych, uwzględnionych w pewnéj ilości w „Słowniku górniczym“ H. Łabęckiego. Niektóre wyrazy, pospolite pierwotnie, stały się imionami własnemi np. Cienma Dolina, Bartkowe Doły, Babie Doły, Wielgi Dół i t. p. Dukla, oznaczająca płytki i wązki szybik, służący do wydobywania galmanu, u Wojciechowskiego (Chrobacya 283, z Bibl. Warsz. 1849, III, 347)=„jama skalista“ jest nazwą znanéj miejscowości. Według Łabęckiego „w Wieliczce góra znaczy tyle co szyb“ a daléj nieco oznacza kopalnię. P. Ciszewski, opiérając się na książce żupników sławkowskich z lat 1550—1582, utrzymuje, że pod Sławkowem i Olkuszem szyb nazywa się „górą“ a kopalnia „polem“. Zdaniem naszém język górniczy w każdéj miejscowości inne mógł przedstawiać zjawiska leksykologiczne; dla tego téż twierdzenie p. Łabęckiego co do nazwy „góra“ oznaczającéj nietylko szyb, ale i kopalnię, ma swoję zasadę. Dokumenty czeskie z XIII i XIV w. prawo górnicze mianem „bergrechtu czyli perkrechtu“ obdarzają. Ażali miasto czeskie „Kutná Hora“ nie oznacza kopalni? Pas nadgraniczny „począwszy od Modrzejowa, nad Czarną Przemszą, komory celnéj na granicy Górnego Śląska, aż do Czeladzi nad rzeką Brynicą, także komory celnéj w promieniu siedmiu wiorst“, stanowi przestrzeń, będącą polem obserwacyi dyalektologicznych p. Ziemby, zbierającego wyrazy w miejscowościach: Modrzejowie, Niwce, Klimontowie, Porąbce, Niemcach, Zagórzu, Józefowie, Sielcach, Milowicach, Małobądziu, Ostragórce, Gzichowie, Dąbrowie Górniczéj, Gołonogach i w osadzie Czeladzi. Ludność tutejsza przejęła wiele właściwości dyalektologicznych od Ślązaków górnych np. bantować (stukać), ciarać się (walać się), ciarach (łajdak, oberwaniec), fajfka (fajka), feler, felerny (wada, wadliwy), frelka (panna), galoty (spodnie), kipa (kapelusz żeński), kłobuk (kapelusz męzki) i t. p. Oprócz wielu cech fonetycznych, spólnych wszystkim gwarom ludowym, wymowa *cz* jak *ć* (ćtyrdzieści, ućciwość), *sz* jak *ś* (straśnie), przejście *a* na *e* (redazam rada, rek zam rak) i fleksya *uje* w osobie III l. p. (pomaguje zam. pomaga) należy do osobliwości tamtejszego dyalektu. P. Sembrzycki broni Mrongowiusa od zarzutów ks. Pobłockiego, autora słownika kaszubskiego (1887), utrzymując, iż pastor Mrongowius nietylko, że nie poprzekręcał wyrazów kaszubskich, ale ilością ich nawet ks. Pobłockiego przewyższył. „Zdaniem naszém, mówi p. Sembrzycki, wdzięczność tylko należy się od nas Mrongowiuszowi za to, że on najpierwszy i to nie z innéj przyczyny, lecz jedynie z miłości dla ludu kaszubskiego, troszczył się o jego język, o ile naturalnie liczne inne jego zatrudnienia pozwalały; zarzuty zaś (ks. P. str. VII), że Mr. wcale nie znał narzecza kaszubskiego, że nie badał go, Kaszub nie zwiedził nigdy, uzasadnić się nie dadzą“. Pp. Kryńskiemu, Brücknerowi i Przyborowskiemu, zawdzięczamy ogłoszenie drukiem

cennych i ważnych wielce pomników językowych. P. Zygmunt Wolski, pomocnik bibliotekarza bibl. ordynacyi hr. Krasińskich w Warszawie, zwrócił uwagę p. Kryńskiego na rękopis polski z r. r. 1524 p t. *„Zywot naboszny panny Eufraxyey przez brata Yadama“*. Jest to dosłowny prawie przekład z łaciny. Kodeks ten był pierwotnie własnością J. J. Załuskiego, następnie senatora R. Hubego. W głosowni rzeczonego zabytku często *k* zamienia się na *g* (nygt zam. nikt) i odwrotnie (skrzytacz zam. zgrzytać). Wyrzutnia i wtrącanie spółg. *t* (wloszny w znaczeniu nowszego własny zam. włostny i cielesny zam. cielesny). Spółg. *f* występuje w kilku wyrazach w postaci *chw* (chwalsywy, dvchwaloscz). Ciekawego szczegółów czytelnika odsyłamy do saméj rozprawy p. Kr. P. Brückner (Glossy wrocławskie) na zasadzie kodeksu łacińskiego z XV w., opatrzonego głosami polskiemi między wierszami, utrzymuje, że poczucie różnicy w wymowie między *ą ę*, silnie już było rozwinięte w XV st. Dotąd bowiem nie przypuszczano téj subtelności, gdyż pisownia na *ą* wyrażonego w postaci ǫ utrzymywała uczonych w błędzie. Ciekawe jest również sprawozdanie o trzech książkach do nabożeństwa z XVI w. znajdujących się w bibl. uniwersyteckiéj w Erlangen. P. Brückner sprowadził te zabytki do Berlina i szczegółowo je rozebrał (Trzy rękopisy z wieku XVI-go). Z tych to rękopisów, dwa należały do Jadwigi, córki Zygmunta Starego, a małżonki Joachima brandeburskiego, owdowiałéj w r. 1571, zmarłéj w r. 1573; trzeci zaś był własnością Zofii, siostry poprzedniéj, a małżonki Henryka brunświckiego, zmarłéj w r. 1575. Dwie pierwsze książeczki Jadwigi zawierają 1) przewodnik do spowiedzi i 2) wykład pieśni *„Salve Regina“*. Treścią rękopisu Zofii jest *postyla* czyli wykład ewangelii. Godnym jest uwagi zabytek z XV nazwany przez p. J. Przyborowskiego *„Formulae colloquiorum“*. Pomnik ten będący kroniką Wincentego, ważnym jest dla nas ze względu na rozmowy łacińsko-polskie, zamieszczone przy końcu rękopisu. Radzibyśmy zakończyć sprawozdanie to rozbiorem pracy p. Kaliny (Przyczynek do historyi konjugacyi słowiańskiéj), któréj dokończenie wydrukowano w niniejszym zeszycie, lecz ważność przedmiotu, wymagająca dokładnéj oceny, nie pozwala nam w szpaltach niniejszego pisma zadosyć życzeniom naszym uczynić. W każdym razie, P r a c o m f i l o l o g i c z n y m należy się szczere ze strony prasy i ogółu poparcie. Dotychczas bowiem, o ile nam wiadomo, było ono nader słabe, w czém niemała wina prasy lekceważącéj usiłowania ludzi dobréj woli, których szeregi coraz bardziéj się przerzedzają.

F. J. Gajsler.

SPROSTOWANIE.

W zeszycie październikowym, na str. 118, w wierszu przedostatnim, zamiast „dumki“ czytać należy „druki“.

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w Kwartale IV-tym 1889 r.

1. **Siły przyrody**. Popularny wykład fizyki i główniejszych jej zastosowań. Podług dzieła A. Guillemain'a „Le monde physique“ opracowali Józefowa Nusbaum i Henryk Silberstein. Warszawa, nakł. księgar. H. Olawski, 1889. 8-o, zesz. 6 (str. 161—192), zesz. 7 (str. 193—222).
2. **Bank włościański**. Przepisy, objaśnienia i wzory, zebrał *Emil Weidel*. Warszawa, 1889. 8-o, zesz. I, str. 31 (i ogłoszeń str. XI).
3. **Antropologia**, arkusze 25—27 (dodatek do „Prawdy“. Kwartał III — 1889 r).
4. **Historya rewolucyi francuzkiej**, ark. 1—3 (Dodatek do „Prawdy“).
5. *Edmund de Amicis*. **Pamiętnik chłopca**. Książka dla dzieci. Przełożyła z upoważnienia autora *Marya z Siemiradzkich Obrapalska*. Warszawa, nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1890. 8-o, str. 423 i II.
6. **Sucha asenizacya** przez *K. F.* Petersburg, 1889. 8-o, str. 15.
7. **Życie i listy Karola Darwina**, oraz autobiografia autora, wydana przez jego syna, *Franciszka Darwina*, przełożył *Józef Nusbaum* (premium „Przeglądu Tygodniowego“). Zeszyt II (str. 73—144).
8. *Max Simon*. **Świat snów**, przetłumaczył z francuzkiego *J. K. Potocki*. Warsz. nakł. Gebethnera i Wolffa, 1890. 8-o, str. 263.
9. **Jak pisać po polsku** czyli stylistyka języka polskiego (wyd. Gebethnera i Wolffa), 1889. zesz. 4 (str. 73—96); zesz. 5 (str. 97—120); zesz. 6 (str. 121—144).
10. **Słownik geograficzny** Królestwa polskiego i innych krajów słowiańskich wydany pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego* i *Władysława Walewskiego*. Warszawa, 1889. T. X, zesz. 117 (str. 641—710): Skała—Skryhałów.
11. **Newrozy i pesymizm**. Odczyt wygłoszony w Towarzystwie Naukowem w Clermont-Ferrand przez D-ra *Alberta Deschamps*. Tłómaczył z francuzkiego D-r Med. *L. W.* Warszawa, nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1890. 8-o, str. 28.
12. *Boirac Emil*. **Zasady filozofii**. Tłómaczył *Adolf Dygasiński*. Warszawa wydawnictwo T. Paprockiego i S-ki. 8-o, zesz. I, str. 112 (przedpłata za całość, złożoną z 5 zeszytów, wynosi rs. 3 kop. 50, a z przesyłką rs. 4 kop. 50).
13. **Zdrowa dusza w zdrowém ciele**. Podręcznik sportowy, zawierający naukę gimnastyki, fechtunku, boksowania, pływania, łyżwiarstwa, wiosłowania, jazdy konnej, jazdy welocypedowej i tańce, zebrane z rozmaitych autorów i objaśnione licznemi drzeworytami w tekście. Warszawa nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1890. 8-o, str. IV i 323.
14. **O sposobach wyznaczania biegu ciał niebieskich** przez D-ra *Jana Kowalczyka* (Praca uwieńczona nagrodą z fundacyi imienia M. Kopernika). Krak. wydawnictwo Akad. umiejęt. w Krak. 1889. Wielkie 8-o, str. VIII+414+LXXIII.
15. **Der Werth** in der isolirten Wirthschaft. Von D-r *Joh. v. Komorzynski*. Wien. 1889. 8-o, kart. nlb. 3+str. 105.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzi w roku 1889, jak dotychczas, na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

Дозволено Цензурою, Варшава. 23 Октября 1889 г.